MIECZYSŁAW GOGACZ

CIEMNA NOC MIŁOŚCI

Edycja internetowa wydania pierwszego
Warszawa 1985
© Mieczysław Gogacz

SPIS TREŚCI

(Wstęp) PRZETRWAĆ CIEMNĄ NOC MIŁOŚCI 4
I. TĘSKNOTA I CIERPIENIE 10
1. ZRANIONY MIŁOŚCIĄ 10
2. NIE ZNALAZŁEM GRECJI 40
1) EGION, ATENY I NIEOBECNOŚĆ 40
2) WYSPY I PIĘKNO 45
3) MYKENY, KORYNT I MIŁOŚĆ 48
4) NAFPLION, SPARTA I CODZIENNOŚĆ 53
5) MISTRA, DELFY I POBOŻNOŚĆ 54
6) OLIMPIA I DZIELNOŚĆ 61
7) TYLKO EGION 62
3. SŁOŃCE I NICEA 64
II. ROZPACZ I NADZIEJA 76
1. STRUKTURA ROZPACZY 76
1) POCZUCIE ZAGROŻENIA 76
a) Lęk 78
b) Zawstydzenie 83
c) Ból 87
d) Smutek 89
2) UTRATA CELU ŻYCIA 90
a) Izolacja 91
b) Wygasanie potrzeby pracy 93
c) Dominacja marzenia 95
3) WYGASANIE MOTYWÓW SAMOOBRONY 97
a) Proces długotrwały 97
b) Proces nagły 101
1: Śmierć naturalna 102
2: Śmierć samobójcza 104
2. BUDOWANIE NADZIEI (nie poddawanie się rozpaczy) 107
1) PRZEZWYCIĘŻANIE POCZUCIA ZAGROŻENIA 108

a) Wydobywanie z lęku ... 109
b) Zapobieganie zawstydzeniu ... 111
c) Leczenie bólu ... 113
d) Przełamywanie smutku ... 114
2) OBRONA PRZED UTRATĄ CELU ŻYCJA ... 115
3) OŻYWIANIE MOTYWÓW SAMOOBRONY ... 118
4) DOPOWIEDZENIE ... 120
3. BIERNE OCZYSZCZENIE DUSZY ... 122
1) ASCETYCZNA NOC CIEMNA I BIERNE OCZYSZCZENIE ... 122
2) PRZEJAWY ROZWOJU ŻYCIA RELIGIJNEGO ... 124
a) Pierwsze nawrócenie (droga oczyszczenia) ... 124
b) Drugie nawrócenie (droga oświecenia) ... 125
c) Trzecie nawrócenie (droga zjednoczenia) ... 129
3) ZAGROŻENIA WYWOŁANE NASZĄ INTERWENCJĄ W POWODOWANE PRZEZ BOGA OCZYSZCZENIA ... 130
a) Wydobywanie z zagrożeń w pierwszym nawróceniu ... 133
b) Wydobywanie z zagrożeń w drugim nawróceniu ... 139
c) Wydobywanie z zagrożeń w trzecim nawróceniu ... 143
(Zakończenie) UWAGI O HEROIZMIE ... 147

PRZETRWAĆ CIEMNĄ NOC MIŁOŚCI

(Wstęp)

W wielu swych publikacjach głoszę pogląd, że ascetycznie rozważana miłość jest jedna, że różne są tylko sposoby jej wyrażania zależnie od tego, z kim miłość ta nas wiąże.

Miłość jest zawsze wywoływanym w nas przez kogoś przystosowaniem do niego. Jest swoistym przekształceniem nas, spowodowaniem życzliwości tak podstawowej, że to przystosowanie nas do kogoś i kogoś do nas staje się obdarowywaniem swoją osobą. To nie jest obdarowywanie rzeczami. Jest to właśnie dar, którym wzajemnie stajemy się dla siebie. Powoduje to z kolei, że obdarowujemy się wiarą i nadzieją, rozmową, troską, opieką, cierpliwością, pokojem, łagodnością, wdzięcznością. Potem przynosimy pierwsze wiosenne kwiaty, rzeczy, które ktoś lubi, aby wyrazić radość, zachwyt, wprost miłość.

Wszystko, co nie jest wzajemnym przystosowaniem do siebie, jest sposobem wyrażania miłości. Tym wyrazem lub znakiem miłości jest już rozmowa, troska, opieka, cierpliwość, wnoszony pokój, łagodność, wdzięczność, wiosenny nastrój, z kolei rzeczy, którymi się dzielimy.

Miłość jest pierwszym przejawem lub postacią obecności. Ta obecność jest najgłębszą potrzebą osób, powiązanych tym wywołanym w nas przekształceniem, które jest życzliwością.

Miłość rodzi się wtedy, gdy wywołane w nas przystosowanie do kogoś jest powodowane samym istnieniem oddziałującej osoby. Gdy oddziaływa ona na nas jako byt swą prawdziwością, rodzi się w nas wiara. Gdy oddziaływa jako byt aspektem dobra, rodzi się w nas nadzieja.

Istnienie jest podstawą obecności i zarazem jest teraźniejszością, która domaga się obecności. Jest także tak głęboką potrzebą, że nieobecność kogoś, kogo kochamy, wywołuje cierpienie.

Cierpienie ma źródło w tym, że to przekształcenie, które jest wywołanym w nas życzliwym przystosowaniem do kogoś, jest nieodwracalne. Z tego względu miłość jest nieutracalna. Nigdy nie przekształci się w nienawiść. Zawsze będzie stałą życzliwością. Może tylko wprowadzić w cierpienie, a niekiedy aż w rozpacz. Broni przed cierpieniem i rozpaczą właśnie obecność. Jest ona tak ważna, tak potrzebna, tak podstawowa, że pragniemy także nieutracalności samej obecności.

Wzajemna obecność osób, nigdy nieutracona, stała, to po prostu już zbawienie. Aż tego etapu domaga się miłość. I Bóg obdarowując nas zbawieniem, obdarowuje nas właśnie nieutracalną swą obecnością. I tylko Bóg taką nieutracalność zapewnia, gdyż jest samym istnieniem, wieczną teraźniejszością.

Pragniemy jednak także nieutracalnej obecności ludzi, z którymi wiąże nas miłość. Jak często wszakże zdarza się ich nieobecność, jakże często więc cierpimy.

Przeglądając swoje cztery książki religijne: *On ma wzrastać*, *Błędy brata Ryszarda*, *Idę śpiewając Ciebie*, *Jak traci się miłość* i w związku z tezą, że miłość jest jedna oraz że różne są tylko sposoby jej wyrażania, dochodzę do bardzo prostego wniosku: tą samą miłością kochamy Boga i kochamy człowieka, w różny tylko sposób wyrażamy miłość Bogu i człowiekowi. To prawda, że abyśmy mogli dosięgnąć Boga, musi On przyjść do nas i wnieść w nas swoją miłość, gdyż tylko poprzez to, co Boskie, zetkniemy się z Bogiem. Tą jednak miłością, wniesioną w nas przez Boga, posługujemy się po ludzku, przy pomocy naszych rozumień i decyzji. Z tego względu podobnie przeżywamy miłość do Boga i do ludzi.

Opisywane przeze mnie przeżywanie miłości do Boga, głównie to, co rozważałem w *Błędach brata Ryszarda* i w *Jak traci się miłość*, może stać się propozycją rozwiązywania trudnych losów miłości, wiążącej ludzi, naszego cierpienia, wywoływanego brakiem obecności kogoś, kogo kochamy. Przecież Bóg, realnie obecny w osobie ludzkiej — czego znakiem jest nasze kierowanie się do prawdy i dobra, a przede wszystkim przyjmowanie sakramentów, nieomylnie uobecniających w nas Boga — nie daje się doznawać naszej psychice, potrzebie bezpośredniego patrzenia, wymiany słów, potrzebie wciąż doświadczanej obecności. Bóg jest swoiście nieobecny w naszej psychice. A jednak kierujemy do Niego swą miłość, wierzymy Jego zapewnieniu, że

obdaruje nas swą nieutracalną obecnością. Podtrzymuje nas nadzieja. I trzeba w tym żyć: w wierze, nadziei i miłości tęskniąc i oczekując bezpośredniego spotkania.

Często tęsknimy cierpiąc z powodu braku właśnie obecności kogoś, kto nieodwracalnie przystosował do siebie naszą najgłębszą życzliwość. I może nawet sposób przeżywania w tym życiu miłości do Boga, realnie obecnego w istocie naszej osoby, lecz niedostępnego bezpośrednio naszej psychice, stanie się dla nas perspektywą i drogą do przetrwania zdarzającej się rozłąki lub odejścia tych, których nieodwracalnie ukochaliśmy. Aby tylko uchronić się przed rozpaczą, z której nie ma powrotu.

Nawiązując do *Błędów brata Ryszarda*, do nastroju i problemów książki *Jak traci się miłość*, wszystko, co człowiek mówi Bogu, samą tęsknotę do Boga, uczyniłem W *Ciemnej nocy miłości* treścią odniesień człowieka do człowieka. Marek tęskni do Anny Marii. Może dzieje ich miłości wyraźniej niż *Błędy brata Ryszarda* ukażą, jak uratować miłość mimo cierpień, tęsknoty i nieobecności kogoś nade wszystko ukochanego. Chodzi bowiem o to, aby właśnie uratować miłość.

Przetrwanie tęsknoty do Boga wciąż niedostępnego psychicznemu przeżyciu, przetrwanie tej nieobecności, w samym przeżywaniu nie różni się od sposobów przetrwania tęsknoty do człowieka, przetrwania jego nieobecności. Podobnie też przeżywamy cierpienie, wywołane brakiem bezpośredniej obecności Boga i brakiem bezpośredniej obecności człowieka. Z tego względu opis miłości i tęsknoty Marka do Anny Marii jest zarazem opisem miłości i tęsknoty człowieka do Boga, opisem ciemnej nocy miłości.

Przez „ciemną noc" mistycy rozumieją wywoływane w człowieku przez Boga przekształcenie, które jest oczyszczaniem, takim więc przystosowywaniem do Boga, że chodzi już tylko o Boga, o Niego samego i o Jego obecność, o nic więcej. Czyż takiej miłości nie kształtuje w nas także ukochana osoba? Czyż ciemną nocą miłości nie jest czyjaś długa nieobecność i męka tęsknoty do tej obecności, do ukochanego człowieka: do Anny Marii, gdy tęskni do niej Marek, i do Marka, gdy tęskni do niego Anna Maria? Dodajmy tylko, że w dziejach miłości człowieka do Boga zachodzi ten niezwykły fakt, iż Bóg nigdy nie przestaje nas kochać. W dziejach miłości łączącej ludzi zdarza się, że ktoś przestał nas kochać. Zdarza się jednak także, że człowiek przestał kochać Boga.

Miłość więc jest zagrożona ze strony człowieka. I przedziwny paradoks: zagrożeniem miłości, tego dla nas najcenniejszego dobra, jest sam człowiek.

Głównym źródłem tego zagrożenia jest brak powiązania miłości z prawdą, a związek z prawdą rodzi wiarę. Brak więc powiązania miłości z wiarą, zarówno religijną w miłości człowieka do Boga, jak i naturalną w miłości łączącej ludzi, czyni miłość czymś bezbronnym, właśnie zagrożonym. Źródłem zagrożenia jest także brak powiązania miłości z dobrem, a związek z dobrem rodzi nadzieję. Brak powiązania miłości z nadzieją czyni miłość czymś także bezbronnym i zagrożonym. Miłość związana tylko z emocją lub pięknem nie ma wystarczającej ochrony. Chroni ją właśnie prawda i płynąca z niej wiara oraz dobro i płynąca z niego nadzieja. Chronią miłość. Nie chronią nas przed męką tęsknoty i nieobecności, ale tę obecność zapewniają. Nie chronią przed cierpieniem, stanowią jednak jedyny sposób przetrwania tęsknoty i nieobecności, przetrwania cierpienia.

Pragnę w tej książce opisać najpierw właśnie tęsknotę i cierpienie, wywołane lękiem, że ktoś ukochany nas nie kocha: że nie kocha nas Bóg, do którego tęsknimy, i że nie kocha nas ten ktoś z ludzi, obdarowany całą wiarą i nadzieją naszego serca, darem najgłębszej miłości.

Słyszę przez radio *Czerwone Gitary*. Śpiewają o smutku Anny Marii.

Niech Anna stanie się w tej książce wytęsknioną miłością Marka. Tej miłości nie damy szans przetrwania. To sprawi ból Markowi i dojmujące cierpienie: cierpienie nieodwzajemnionej miłości. A Maria niech będzie próbą ocalenia marzeń, że miłość jest możliwa, że buduje się wśród radości i smutku, w zwykłych i wielkich wydarzeniach życia, że może stać się pięknem zdobiącym dobro świata, gdy spotkają się tęsknoty, nadzieje, dwa biedne, samotne ludzkie serca.

Imię Anny Marii niech więc skupia te dwie perspektywy: nieobecność, tęsknotę, zagrożenie oraz nadzieję, radość, szczęście.

Pragnę z kolei opisać rozpacz i nadzieję: skutki poczucia zagrożenia, wywołanego utratą miłości oraz sposoby przezwyciężania tego poczucia, niepoddawania się rozpaczy.

Książkę *Ciemna noc miłości* stanowią więc dwie części. Pierwsza, pt. „Tęsknota i cierpienie", jest prezentowaniem naszych przeżyć, trudem zrozumienia, co w nas się

dzieje. Część druga, pt. „Rozpacz i nadzieja", to próba analizy, porządkowanie przeżyć, które są procesem rozpaczy, z kolei poszukiwanie sposobów niepoddania się temu procesowi wewnętrznej zagłady.

I może należy wyraźnie zauważyć, że tematem książki nie są osoby i ich przeżycia, lecz miłość zagrożona i smutna oraz jej funkcjonowanie w myśleniu i odczuwaniu człowieka. Jest to bardzo powszechne odczuwanie, umęczające ludzi od dawna, wniesione w przeżycia ludzkie przez teologię zbyt przechyloną w kierunku neoplatońskiej teorii rzeczywistości i teorii człowieka. W myśl tej teorii kontaktujemy się z Bogiem poprzez szereg bytów pośrednich i wobec tego naszą miłość do człowieka trzeba utracić, gdyż; jest ona tylko drogą do ukochania Boga. I często zwolennicy tej teorii sądzą, że nasza pełna miłość do Boga wymaga właśnie rezygnacji z naszej osobistej miłości do człowieka.

Zagadnienie nie jest proste i wymaga szeregu rozróżnień, rozpoznania właściwych relacji między człowiekiem i człowiekiem oraz między człowiekiem i Bogiem. Aby je w jakiś sposób wyjaśnić, posłużę się obrazem konfliktu, jaki zaistniał między Anną Marią i Markiem z tej racji, że Anna Maria kieruje swą miłość jednocześnie do Marka i Witolda. Ten prozaiczny, a właściwie pozornie prozaiczny, lecz typowy trójkąt może ilustrować tę ważną trudność w naszym życiu religijnym: jak pogodzić pełną miłość do ukochanego człowieka z pełną miłością do Boga. Jest to w jakimś sensie prawie podobny trójkąt: ona, on i Bóg. Jak więc przeżyć miłość, gdy kocha się jednocześnie dwie osoby: Anna Maria kocha Marka i Witolda, człowiek kocha człowieka i zarazem Boga. Będę też starał się ocalić marzenie Marka o takiej miłości, która w pełni kierując się do Anny Marii i zostając przy niej ogarnie także Boga. Te dwie miłości, pełne dynamizmu i napięć, przynosząc radość nie uwolnią jednak od cierpienia. Bo miłość jakże często przynosi także cierpienie, pozbawienie światła, zagubienie drogi, tęsknotę, noc duszy, bolesną, noc miłości.

Noc to zagrożenie, splątanie rozumień, ciemność, zagubienie. Noc miłości to zagrożenie naszego przystosowania do osoby kochanej, niepewność, czy zatrzymamy przy sobie wytęsknioną miłość, zagubienie w ciemności, której nie rozjaśnia tęsknota do upragnionej obecności. Zagrożenie, niepojmowanie, ciemność, zagubienie tworzą więc ciemną noc miłości.

Nie wiem, czy powiedzie się w tej książce próba ukazania jednego z ważnych problemów ascetyki na przykładzie zagrożonej miłości Marka do Anny Marii: problemu ciemnej nocy, w której to zagrożenie oczyszcza i pogłębia naszą miłość do ludzi i do Boga. Oczyszcza przez cierpienie, które pozbawia radości zwycięstwa. Pozbawia słusznie, gdyż miłość nie jest zwycięstwem, lecz obecnością: sposobem życia osób.

I może w samej tej zaplątanej miłości ktoś dostrzeże jakiś aspekt, pozwalający mu właśnie przetrwać tęsknotę, nieobecność, zagrożenie, niepewność, zagubienie, cierpienie. Dostrzeże tym samym sposób uratowania nadziei, że niewidzialność Boga, Jego nieobecność w naszej psychice nie wykluczają trwania miłości między człowiekiem i Bogiem i jej utrwalenia kiedyś w nieutracalnej już Obecności, która jest zbawieniem.

I. TĘSKNOTA I CIERPIENIE

1. ZRANIONY MIŁOŚCIĄ

— Jesteś smutny, Marku. Tak zawsze pogodny i radosny Marku, jesteś smutny.

— Wiem tylko tyle (to był głos Marka), że wieczory nie przynoszą odpoczynku. Są najsmutniejszą chwilą życia. Wypełnia je bowiem refleksja nad samotnością miłości. Refleksja wyrywa tę miłość z teraźniejszości i wprowadza w przyszłość. Stawia ją poza odpoczynkiem, gdyż poza obecnością, a Więc w tym, co najdotkliwiej boli.

— Co sprawia ci ból, Marku mój drogi? Czy właśnie ta nieobecność, z powodu której uważasz wieczór za najsmutniejszą chwilę życia? Dlaczego podjąłeś podróż w przyszłość miłości?

— Wieczory nie przynoszą odpoczynku tym, którym refleksja każe rozważać los ich miłości. Tę podróż myślenia na chwilę przerwałem zatrzymując się na przystanku, którym jest smutek, a właściwie ból. Refleksja dotknęła rany, zadanej cierpieniem. Zraniło mnie bowiem cierpienie. I pierwszym odruchem samoobrony, uniknięciem cierpienia jest ucieczka w myślenie o przyszłości, ucieczka do hotelowego pokoju, w którym jestem, w którym przeżywam pusty wieczór: wieczór nieobecności ciebie, Anno Mario.

— Przecież jestem, Marku.

— Jest tylko mój hotelowy pokój, jest myśl o tobie, gdy patrzę na kwiaty, na jeden kwiat w doniczce. Siedzę przy radiu pod lampą i słucham piosenki o smutku oczu, które ktoś kocha i pragnąłby, aby pokochały. Może nie powinienem był zatrzymać się w tym pokoju, w tym mieście, w tym hotelu. Może nie powinienem był uciekać, a właściwie przyjeżdżać tu do swoich marzeń. Przeniosłem się w marzenie, jednak w marzenie, w swój sen o szczęściu, w swoje oczekiwania, w sens swego życia. Moje bose stopy toną w ciepłym dywanie, moje smutne serce przeżywa wieczór, który nie jest wytchnieniem i ciszą. Ten wieczór jest oczekiwaniem, gdyż życie jest oczekiwaniem. Ten wieczór jest najsmutniejszą chwilą życia, gdyż smutek jest bólem rany, zadanej cierpieniem. A zranionemu cierpieniem trudno odpoczywać.

— Dlaczego uciekasz, przed kim, dokąd?

— Może życie jest ucieczką przed bólem. Może więc nie jest oczekiwaniem lub może właśnie polega na oczekiwaniu, że ból minie, że zagoi się rana, że cierpienie ustąpi, że jest ono tylko chwilową nieobecnością miłości.

Tak myśli Marek i usiłuje sformułować swoją myśl, aby przekazać ją Annie Marii. Nie jestem w stanie oddać wiernie natłoku tych myśli, ich przenikania się, plątania, jakiejś ich wędrówki po drogach poezji, i życiowych zdarzeń, po snach i marzeniach, po terenach serca i intelektu, wieczorów i smutku, po ścieżkach szczęścia i cierpienia, oczekiwania i ucieczki. Nie jestem w stanie cierpieć razem z Markiem.

— Zraniło mnie cierpienie w sposób nieoczekiwany. To był sen, kwiat, bukiet jaśminu. Zanurzyłem twarz w jaśminach. Poczułem, że oplotły mi serce, że stałem się jaśminem. Wtedy ty, Anno Mario, położyłaś mi dłonie na ramionach i usłyszałem twoje słowa: „Czemu płaczesz, przecież jestem". Stałaś się kwiatem, ja przestałem być bukietem jaśminu, lecz wszędzie, gdzie były kwiaty, pozostała rana, wiele ran, i najbardziej zranione serce. Zrozumiałem też, że na zawsze, zostałem zraniony cierpieniem. I cierpię. Zakryłem twarz rękami. Ty odchyliłaś mi dłonie i powiedziałaś: „Jestem twoim słońcem, twoje łzy zamienię w perły i wyleczę twoje rany". A potem stałaś w grupie otaczających cię osób i wyciągnęłaś do mnie ręce, gdy nadchodziłem. Zobaczyłem wtedy, że moje zranione serce jest w tobie. Krzyknąłem: „Nie chcę, abyś cierpiała". Staliśmy na asfaltowej drodze. Wyrąbałem w niej otwór z podziemnej rzeki nabrałem w szklankę płynącej tam wody. Podałem ci tę wodę i podałem też dwa kawałki chleba o kolorze złota. Poczułem, że moje serce wróciło do mnie. Pulsując sprawiło mi ból. I od tej chwili już wciąż mnie boli. Nie wiem jednak, czy to zraniły mnie jaśminy, czy raczej cierpienie sprawiło, że jaśmin stał się raną mojego serca. Wiem tylko, że jestem zraniony cierpieniem.

Anna Maria zapytała: — Przed czym więc uciekasz? Przecież nie przed cierpieniem, bo ono jest w tobie i rani cię tak dotkliwie? Jest z tobą wszędzie tam, gdzie jesteś.

Biedna, dobra Anna Maria. Tym pytaniem zmusiła Marka do podróży także w przeszłość, do refleksji nad źródłem cierpienia, do przyczyny jego bolesnych ran. Powiększyła trasę wędrówki. Marek już przecież śledzi zmieniające się kształty życia i

lękiem, niby narzędziem, wnika w losy swej miłości, w przyszłość serca. Teraz musi sięgnąć do motywów ucieczki i oczekiwania. I wszystko to musi z siebie wydobyć, aby zmniejszył się ból, trudny ból cierpienia. Ma przed sobą długi wieczór w pustym pokoju małego hotelu, Nie będzie odpoczywał, bo jest to wieczór najsmutniejszej refleksji, długiej drogi myślenia, podczas której zatrzymał się na chwilę, na moment smutku.

2

— Pamiętasz, Anno Mario, to, co powiedziałaś, że nie możesz zostać ze mną na umówione dni, wtedy, gdy spotkaliśmy się w kawiarni, gdy przyjechałem, aby cię zobaczyć, cieszyć się twoją obecnością, być z tobą. To właśnie było oczekiwanie, moje prawdziwe życie, skądś ucieczka do ciebie. Nie mogłaś ze mną zostać. W swojej ucieczce nie mogłem więc przystanąć, zatrzymać się u celu. Moje oczekiwanie nie mogło się zrealizować, pozostało oczekiwaniem. A ucieczka pozostała ucieczką. Musiałem przeżyć wieczór, który nie przynosi odpoczynku, i smutek, który zamiast ciebie stał się autobusowym przystankiem na długiej trasie myślenia o tym, co teraz właśnie boli. W tej najsmutniejszej chwili życia bez ciebie, w ten wieczór zostałem znowu zraniony cierpieniem. A mówiąc dokładniej, zostałem zraniony miłością. Tak, tym razem ból sprawiła miłość. Odniosłem. wiele ran. Jest ich w mej duszy tyle, ile kwiatów w bukiecie jaśminu. Wszystkie bolą, a każda zadana innym narzędziem, wywołana inną przyczyną. Wszystkie sprawy świata mogą zadać cierpienie, mogą zranić. I mogą nas zranić cierpienia świata. Zraniły mnie dotkliwie. Muszę ich dotknąć, przewinąć delikatnym bandażem współczucia, swoją w tym cierpieniu obecnością, aby odkryć sposób ulżenia męce, aby pokazywać sobie i innym cierpiącym, że jest lekarstwo na cierpienie, ponieważ jest miłość.

— Zapytałaś, czym jest cierpienie. Szukajmy więc odpowiedzi, szukajmy razem. Rozważmy kolejno wszystkie rany, zadane cierpieniem, aby je wykryć. Szukajmy w cierpieniu jego istoty. I rozważmy najpierw to, że miłość, która leczy cierpienie, także je zadaje, miłość, która rani.

— Powiedziałaś wtedy, w ten wieczór, że nie możesz zostać ze mną na umówione dni. Serce zabiło gwałtownie, poczułem ból głowy, słabe echo bólu duszy, której odebrano całą radość, całą nadzieję. Zaczęło się umieranie nadziei, bolesne

cierpienie, wywołane raną, zadaną przez miłość. Ta miłość trwa i dlatego boli, i dlatego sprawia też ból umieranie nadziei. Wiem, Anno Mario, dobra i kochająca, że nie chciałaś zadać tego bólu, musiałaś tylko opóźnić pozostanie ze mną. Ale ranimy niekiedy kogoś nawet nie chcąc tego, wbrew sobie. Kocham cię dalej, bez zmian, może nawet mocniej, bo oprócz miłości połączyło nas cierpienie. Musiałaś być z Witoldem, który cię przywiózł, którego także kochasz, którego listy odczytujesz przed snem wchodząc przy ich pomocy w marzenie o szczęściu, o losie swej miłości. Nie mogę wbiec w twoje marzenie. Nie pytaj jeszcze, dlaczego. Mogę cię tylko kochać. I swoją miłością ogarniam także twoje marzenie, twój przyszły dom z Witoldem.

— Dla ciebie, Anno Mario, Witold jest tym, czym ty jesteś dla mnie: kimś bliskim, całą nadzieją i losem miłości. Kierujesz swe serce i do mnie, i do Witolda. Przy obu nas jesteś, w obydwu sercach i obydwa obrazy: mojej i jego twarzy nosisz w swych oczach.

— A człowiek bliski tym różni się od innych, mniej bliskich nam osób, że towarzyszy nam w cierpieniu. Jest z tego względu kimś niezastąpionym, jedynym, jest naszą miłością w tym sensie, że podejmuje dar naszej obecności.

— Gdy cię nie ma, mój hotelowy pokój jest miejscem męki, zamieraniem serca, odebraniem mowy. Moich słów nikt nie słyszy, moje oczy niczego nie widzą, dywan nie jest ciepły, muzyka wywołuje smutek. I wtedy wieczór nie przynosi odpoczynku, jest najsmutniejszą chwilą życia, brakiem twej obecności w umówione dni, bólem głowy, męczącym, uderzeniem pustki. Jest bólem uniemożliwiającym wytchnienie, ciszę, ład, jest niszczeniem tego, co w człowieku najważniejsze: tej właśnie do ciebie miłości, będącej koniecznym terenem spotkania Boga.

— Jesteś moją miłością, ponieważ jest w mym sercu twoja miłość. I rozumiesz teraz, jak ważna jest twoja obecność, gdyż brak ciebie jest brakiem miłości. I ten brak rani, sprawia ból, jest cierpieniem, jest właśnie pustką, wyrywaniem z serca twojej miłości, która jest moją miłością. Jest więc wyrywaniem czegoś, co stanowi część duszy, naturalne działanie człowieka, jest odbieraniem sensu życia, pozbawieniem osoby ludzkiej jej losu i przeznaczenia. Z tej racji właśnie miłość może zranić, zadać cierpienie, miłość, którą ty jesteś.

3

— W ten wieczór, gdy pozostałem sam na długie godziny myślenia, zrozumiałem, że cofnęłaś swoją miłość. Odczytałem to w bólu serca, w nowej ranie duszy. Moja miłość, ofiarowana ci od dawna, pozostała w twoim sercu i kocham cię nadal, bez zmian, zawsze. Twojej miłości nie ma przy mnie, nie ma jej w mojej duszy. Musiałaś wtedy być z Witoldem, którego także. kochasz. Nie oznaczało to tylko braku twej obecności. Ta nieobecność bolała, ale dotkliwsze cierpienie sprawiła rana, puste miejsce po odebranej sercu miłości. To już było to: cofnięcie miłości. Kochałaś jednakowo mnie i Witolda do momentu, gdy pojawiła się potrzeba trwałego związku serc. Nie pamiętałem lub nie brałem poważnie tego, co mówiłaś, że darzysz mnie przy wiązaniem, także miłością, lecz jak przyjaciela, opiekuna, kolegę, z którym nie kojarzy ci się trwały, rodzinny związek na zawsze. Swoje marzenie o trwaniu miłości związałaś z Witoldem.

— Nie mogę, Anno Mario, wbiec w twoje marzenie. I mogę już teraz powiedzieć ci, dlaczego. A właściwie muszę to powiedzieć sobie: nie dałaś mi swej miłości. Nie mogę wbiec w twoje marzenie, gdyż to tylko ja tak bardzo, tak boleśnie, tak bez reszty pokochałem ciebie. Miłość, którą mnie darzysz, jest przyjaźnią, przywiązaniem. Dopiero w ten wieczór udało mi się odróżnić miłość, która łączy przyjaźnią, od miłości, która pozwala stworzyć wspólny dom, powiązanie na zawsze. Nie obdarzyłaś mnie tą drugą miłością. Nie związałaś ze mną swego losu, swych najgłębszych tęsknot, sensu życia. Nie dałaś mi więc swej miłości. Obdarzyłaś mnie przywiązaniem i przyjaźnią, pięknem miłości, którą kocham.

— Często ci mówiłem, że mnie kochasz, gdyż kierujesz, do mnie swoje serce i nosisz w oczach obraz mojej twarzy. Nigdy mi tego nie potwierdziłaś, nigdy więc nie myślałaś o wspólnym ze mną domu. Te projekty wiążesz z Witoldem. Dałaś mi swą obecność, nie wniosłaś w moje serce daru swej osoby.

— To straszne tak wciąż tylko przeczuwać, że mnie nie kochasz, to straszne dowiedzieć się wreszcie, nagle uświadomić sobie w smutny wieczór, że miałem rację. Teraz już wiem, że tylko w swej dobroci pozwoliłaś mej miłości cię kochać. Wiedziałaś, że nie miałem siły oderwać serca od ciebie. Zostawiłaś czasowi i mnie

rozpoznanie prawdy o nas. Przywykłaś do mnie, obdarzyłaś mnie przywiązaniem. Nie byłaś w stanie pokochać. Rozumiem to i cierpię.

— Moje cierpienie w tym wypadku jest odkryciem prawdy, jest wywołane tą prawdą, której nie chcę, którą pragnę przed sobą ukryć. Jest wywołane brakiem twej miłości we mnie i moją samotną miłością, która wypatruje twoich, śladów, która oczekuje i marzy. Marzę o tym, że będę obecny w twych tęsknotach, że rzeczywiście obraz mej twarzy będziesz nosiła w swych oczach, tak jak ja noszę ciebie w swym marzeniu, w swej tęsknocie, w swej duszy. Aż tam jesteś, Anno Mario, moja Anno Mario. Tam, gdzie rodzi się miłość, gdzie przebywa, gdzie uszczęśliwia lub rani. Jestem zraniony miłością właśnie w głębi duszy, a także swoim i twoim cierpieniem.

— Ty także cierpisz. Cierpisz, bo uświadamiasz sobie sprawianie mi bólu z tej racji, że nie możesz mi ofiarować swej miłości. W głębi serca wiesz o tym, że na dar mojej miłości nie odpowiedziałaś podobnym darem. Boli cię to, martwisz się, z tego powodu cierpisz. A ja cierpię niepokojąc się, że cierpisz, i że nie mogę ci pomóc, bo tak reagujesz: z wielką wrażliwością, delikatnie, z ogromną dobrocią. To cierpienie pozwala ci rozumieć moją mękę, pomaga ci pocieszyć mnie niekiedy słowem, uśmiechem, gałązką jaśminu tak rzadko, tak rzadko przynoszoną. A ten kwiat, znak twej dobroci, w naszym języku symboli znaczy, że pamiętasz, że jesteś przy mnie, że jesteś, Anno Mario, że jesteś. A dopóki jesteś, mogę mieć nadzieję, że darem miłości może kiedyś obdarzysz i moje serce.

— Mylę się, to nie jest tak. Twoja miłość jest w mojej duszy. Wniosłaś ją tam przez dar obecności. Jesteś przy mnie, a z tobą jest twoja miłość. I wnika w moje serce, przyciągana moją miłością do ciebie. Jest przy mojej miłości, bo przecież moja miłość jest w tobie, w twym sercu, przy twojej miłości. Dlaczego więc przypuszczam, że nie dałaś mi swojej miłości, dlaczego twierdzę, że odkryłem prawdę o nas, tę prawdę, że tylko ja ciebie kocham? Czy tylko dlatego nie możesz mnie pokochać, że jest Witold? Przecież twoja miłość do Witolda pojawiła się w kręgu naszej miłości, gdy zatęskniłaś za własnym domem, gdy w twym marzeniu powiązanie na zawsze stało się tęsknotą. Powiązanie z Witoldem spełniało twoje marzenia. Godzę się na te marzenia, na twój dom, na Witolda, ponieważ godzę się na twoje życzenia, nawet na te, których nie mogę spełnić, może właśnie na te ostatnie najbardziej. Abyś była szczęśliwa, abyś dostąpiła

pełni miłości, skoro nie mogę wbiec w twoje marzenia. Wyznaczyłaś mi rolę kolegi, powiernika tajemnic. Czy dlatego nie możesz mnie pokochać, że utrwaliła się w twoim przeżyciu ta wyznaczona mi przez ciebie rolą? Czy może raczej kochasz mnie, a właśnie ja kryję swój niepokój w tym przypuszczeniu, że mego serca nie obdarzyłaś miłością? Jak to jest, Anno Mario, jak to jest? Oczekujesz miłości od Witolda. To jedno cię zmienia, tylko to jedno kieruje cię do niego.

— A ja, czy mam pozostać zraniony miłością, tą moją wielką miłością do ciebie? Samotnością miłości? Jak wybrnąć z tych zaplątań, jak spełnić głos duszy i głos sumienia, a zarazem nie utracić miłości? Czy może być konflikt między miłością i sumieniem? Aż tyle pytań, Anno Mario, aż tyle spraw i problemów, które trzeba podjąć, aby rozstrzygnąć, czy wniosłaś w moje serce dar swej miłości. Nie wiem, jak to jest. Wiem, że cię kocham tak bardzo, tak bez reszty, tak boleśnie. Musimy więc podjąć te pytania, sprawy, problemy, aby zrozumieć los naszej miłości. Czeka nas wiele rozmów. Podejmijmy je, Anno Mario. Rozmowa jest drogą do zrozumienia serca, odczytania go, jest drogą nawet do ukochania.

4

Marek wie, że rozróżnienie porządków, rozpoznanie miejsca każdej ze spraw, która nas boli, zrozumienie tej sprawy, swych przeżyć, nie zawsze zmniejsza cierpienie, nie zawsze przekształca przeżycia, uspokaja, nie zawsze usuwa niepokój, nie zawsze prostuje drogi miłości. Wie jednak, że decyzja na miłość, na ukochanie kogoś, ma swe źródło także w refleksji, w ocenie przywołującego nas czyjegoś piękna, czyichś wartości, jako motywów wyboru, akceptacji, wzruszenia. Rozważa więc wszystko, co może mu pomóc w odzyskaniu miłości Anny Marii, w zrozumieniu swego losu, trudnych dróg miłości, która rani cierpieniem. Musi bowiem przeżyć i przetrwać to cierpienie, bo w tej wersji przyszła do niego miłość, w ten sposób Anna Maria zjawiła się w jego sercu. Usuwając cierpienie usunąłby Annę Marię. Nie chce i nie może tego zrobić, nie jest w stanie nie kochać, odejść od Anny Marii, od swej miłości i swego marzenia, wszystkich nadziei i tęsknot. Anna Maria jest jego miłością, już właśnie jego miłością, kształtującą jego serce. Musiałby odejść od siebie, gdyby odszedł od Anny

Marii. Nie można od siebie odejść, przestać być sobą. Marek więc nie może nie kochać Anny Marii. Cierpliwie wyjaśnia jej wielość relacji i powiązań, które stanowią miłość.

— Może jednak jest błędem odróżnienie miłości, która wyznacza przyjaźń, od miłości, która wiąże na wspólne życie. Jest jedna miłość. Tą jedną miłością, Anno Mario, wszystkich kochamy i tylko każdej z kochanych osób inaczej tę miłość wyrażamy. Przyjaźń byłaby więc sposobem objawiania miłości. Nie może być tylko pięknem miłości, oglądanej w twoim dla mnie otwartym sercu. Jest też miłością. Jest właśnie wzajemną miłością. Rodzice kochają dzieci, nie tylko z nimi się przyjaźnią. Może więc jednak kochasz mnie, Anno Mario, może kochasz, a tylko swoje marzenie o wspólnym życiu związałaś z Witoldem. Dlaczego tej tęsknoty nie związałaś ze mną? Bolesna tajemnica przeżywania miłości, bolesny skutek wyznaczenia mi roli opiekuna twej duszy, smutny powód, dla którego nie obdarzyłaś mnie miłością. Przeszkadza ci problem wyłączności, przeszkadza schemat, w którym rozróżnia się miłość duchową i miłość ciała. Czy są takie dwie miłości? Może jednak jest jedna miłość całej osoby ludzkiej, która tę miłość rozwija i wyraża przy pomocy środków, różnych dla każdej z kochanych osób. Jest ryzyko w podjęciu drogi do granicy tego, co dozwolone przez Boga. Jest to ryzyko wyrażania miłości. Najważniejsze, żeby ją przeżywać, żeby w nas była jako uzyskany dar tego, co w kimś jest najlepsze, żeby takim też darem obdarzać innych. Tylko wtedy jest w nas teren, na którym Bóg czyni mieszkanie.

— Pomyśl, Anno Mario, jak niełatwą drogą idziemy do siebie. Najpierw twoja delikatność, wyrozumiałość zafascynowały moje serce. Wszystko to pomogło nam się spotkać we wspólnocie tęsknot. Ta wspólnota umacniała się, utrwalała, stała się wzajemnym przywiązaniem i przyjaźnią. Łączy nas nadal przyjaźń, która jest trwaniem miłości, uspokojeniem, pewnością, że jesteś, że pozostaniesz. Mówiłaś to w moim śnie, Anno Mario: „Czemu płaczesz, przecież jestem”. Jesteś. Zawsze odnajdzie cię moje serce, zawsze się nad nim pochylisz, udzielisz daru uspokojenia, dobroci, wzmocnienia sił duszy. To prawda. Lecz w przyjaźni są chwile, że nie zostajesz na umówione dni. I w przyjaźni to nie boli, jest zrozumiałe, nie niszczy spokojnej radości. W miłości taka nieobecność rani, sprawia, że wieczór staje się najsmutniejszą chwilą życia, przeżyciem opuszczenia, zagubienia, męką samotności. Radość jest cechą aktualnej obecności, podczas gdy w przyjaźni jest ona cechą trwania miłości. Może tu jest ta jeszcze bliższa

różnica między przyjaźnią i miłością, w tym związaniu radości z różnym jej podmiotem. W przyjaźni radość wiązałaby się z trwaniem miłości, w samej miłości radość jest związana z aktualną obecnością osoby kochanej. Może więc dlatego sądzę, że cofnęłaś miłość, dlatego że nie zawsze jesteś, że nie będzie wspólnoty życia, a więc wszystkich spraw, wszystkich tęsknot i marzeń. Swoje marzenia związałaś z Witoldem, swoją tęsknotę do wciąż aktualnej obecności. I może tylko szukasz środków, które ci zapewnią trwanie miłości, oczekiwanej od Witolda.

— Bo pragniesz właśnie jego miłości, Anno Mario, nie mojej. Mojej miłości nie chcesz. Pragniesz, by Witold zawsze przeżywał miłość do ciebie, a ty abyś zawsze przeżywała miłość, którą do niego kierujesz. Miłość jest w duszy, jest w sercu, w uczuciach, nastawieniach, w tęsknocie, w naszym przeżyciu. I miłość naturalna, ludzka, zależy głównie od naszej woli, od twojej decyzji, Anno Mario, i od decyzji Witolda. Ty odpowiadasz za kierunek swej miłości, za wybór, za trafność wyboru. A jeżeli Witold kocha tylko swoją tęsknotę do miłości, swoje marzenie, które w nim wzbudziłaś, swoje marzenie o trwałej miłości, a nie ciebie, Anno Mario, co wtedy się stanie? Pozostaniesz na uboczu. Nie będziesz kochana i będziesz, jak ja teraz, wyglądała oczu kochanych, tęskniła do serca, które nie zamieszkało w twoim sercu. O twoje zamieszkanie w mej duszy, o twoją tam trwałą obecność zabiegam, o to się modlę, o to proszę Boga i ciebie. Czy można nie cierpieć, gdy się kocha, gdy radość może sprawić tylko pewność obecności serca, gdy zachwyt musi się posilać twoją czułością, ofiarowanym jaśminem, twym serdecznym spojrzeniem słowem, które uspokaja i wyzwala z tęsknoty. Czy można nie cierpieć kochając? Cierpię, Anno Mario.

5

— Ty także cierpisz. Widzę to, a może bardziej jeszcze czuję i jeszcze raz chcę to rozważyć. Znam przecież twoją wrażliwość, delikatność, twoją, dobroć. Boli mnie twoje cierpienie. Jakże dotkliwie musi ono ciebie ranić. Na podstawie twoich powiązań ze mną i z Witoldem wiem, że przynajmniej dwie rany zadała ci miłość. Zraniła cię także miłość. Najpierw przecież martwisz się tym, że kochasz nas obu, mnie i Witolda, i że wiążąc swój los z Witoldem sprawisz mi ból, który jękiem zakłóca melodię naszych rozmów. Sprawia ci mękę to, że nie wiesz, w jaki sposób mnie kochać, by nie ranić

mojej duszy, i w jaki sposób dalej mnie kochając nie sprzeniewierzyć się swojemu marzeniu o Witoldzie, nie skrzywdzić jego miłości. Szukasz, Anno Mario, dróg wyjścia. Rozmawiasz ze mną, radzisz się, pytasz. Darzysz mnie tym zaufaniem, które pozwala ci mówić ze mną o twojej miłości do Witolda. I wspólnie martwimy się, szukamy wyjścia, które ma być uratowaniem twojej miłości. Nie jest obojętne, czy swoją miłość złożysz w moim sercu, czy w sercu Witolda, jeżeli tylko jednego z nas jesteś w stanie pokochać. Ważne jest, przynajmniej dla mnie, czy potrafisz kochać nas obu swoją pełną miłością, tak zawsze radosną, dobrą, będącą uśmiechem, pociechą, moim słońcem. Najważniejsze w tym jest to, żeby rozwijała się twoja miłość, żeby znalazła się w czyimś sercu. Jeżeli jej nigdzie nie złożysz, nie uczynisz darem dla kogoś, zatrzymasz w sobie, ta miłość zmarnieje, nie będzie rosła, dojrzewała, umacniała się, nie będzie szczęściem twej duszy. Musisz w kimś zamieszkać, w czyimś sercu. Nie wystarczy ci do pełnego życia obecna w twym sercu moja miłość. Musisz także kochać. Nie można tylko kochać lub być tylko kochanym. Trzeba przeżywać obie sytuacje: samemu kochać i być kochanym. Tylko wtedy doskonali się człowiek. Wiesz to wszystko, znasz te prawdy z naszych rozmów. Martwisz się więc swoją miłością, która nie umie i nie może zamieszkać w mojej miłości. I martwisz się tym, czy twoja miłość wniknęła w serce Witolda, a także, czy on cię naprawdę kocha. Bo łączy was przecież dopiero marzenie o wspólnym domu i podobna w tobie i w nim tęsknota. Czy łączy was miłość, ta właśnie miłość, którą składa się w czyimś, sercu? Czy umieściłaś, Anno Mario, w swej duszy dar miłości Witolda i czy on przyjął przez ciebie ofiarowaną mu miłość? Tak trudno to rozstrzygnąć, tak trudno mieć pewność. Przecież i ja przez okres tak długi sądziłem, że twoja miłość wypełnia moje serce. Zresztą ona była w moim sercu. Dopiero później cofnęłaś ją, Anno Mario, dopiero wtedy, gdy rozbudzona ciepłem mojej miłości twoja miłość wychylając się ku ludzkim sercom spotkała inne serce. Wydawało ci się, że moja miłość jest klimatem, glebą, naturalnym środowiskiem twej miłości, matką twych tęsknot i twojej refleksji, rodzinnym domem, który zawsze jest, z którego wychodzi się w świat ludzkich serc. Nie pomyślałaś, że moja miłość jest także rówieśnikiem twojej miłości, pukaniem do drzwi twej duszy, prośbą o wspólne życie. Rosłaś w mym sercu, zamieszkałaś w nim. I w pewnej chwili odeszłaś do spotkanego serca, któremu wyznaczyłaś rolę kogoś wybranego na wspólne życie.

Przybiegając swym sercem do mego serca nie widziałaś, że coś się zmieniło. I rzeczywiście nic się nie zmieniło, gdy jednakowo kochałaś nas obu. Teraz jednak wiele się zmieniło. Ta zmiana nie na tym polega, że założysz wspólny dom z Witoldem, lecz na tym, że wyznaczyłaś mi rolę środowiska twej miłości, a za rówieśnika i kogoś, kto we wspólnym życiu utworzy z twym sercem jedność dążeń, tęsknot, marzeń, uznałaś Witolda. Wiązankę jaśminów chcesz stanowić z Witoldem. I piękny bukiet splątanych ze sobą kwiatów, cieszących oczy, utworzą wasze dwa serca. Jestem tylko wodą, która odżywia twą miłość, pozwala jej żyć i rosnąć, nie jestem jaśminem, ku któremu kierujesz oczy, tęsknotę i marzenie. A przecież, Anno Mario, w moim śnie, w moim marzeniu, byłaś jaśminem moich tęsknot. Zanurzyłem twarz w jaśminach i stałem się bukietem tych kwiatów, które przygarnęłaś. Stanowiliśmy jedną wiązankę, którą ci podaję. Bukiet jaśminów, które zdobią świat, stanowisz z Witoldem, Anno Mario moich snów.

— Opowiem ci inny sen, inne marzenie, twój sen. Wyszedłem ze słońca, nadchodziłem i zatrzymałem się przy tobie. I zaczął się mój sen. Widziałem cię wśród greckich posągów Apolla. Po drzewie wiła się jaszczurka, którą Apollo żartobliwie zatrzymywał. Wszystkie posągi zbliżyły się do ciebie. Gdy nadszedłem, wyciągnęłaś do mnie ręce, ubrana w złote serce. Zatrzymałem się przy tobie. To był stadion, pełny ludzi. Czułem, że coś ci zagraża. Widziałem twoje oczy pełne łez. Oddzielona posągami powiedziałaś mi płacząc: „Opiekuj się moim synem, kochaj go tak, jak mnie kochasz”. Zniknęłaś, nie widziałem cię. W miejscu, na którym stałaś, wyrosły jaśminy. Jesteś jaśminem mego serca, pięknem moich marzeń. Potem w każdym śnie rozpoznawałem cię po zapachu jaśminów. Byłaś drzewem, łodzią, przelotem ptaków, słońcem, zwycięzcą na korcie tenisowym, śnieżną zawieją i narciarzem, który mijał mnie na zboczu góry. Byłaś wszystkim. Gdy cię rozpoznawałem po zapachu jaśminów, znikałaś. Stałaś się tęsknotą, pragnieniem zanurzenia twarzy w bukiecie kwiatów, którymi jesteś. Anno Mario, moja Anno Mario.

— Czy jesteś pewna miłości Witolda i czy znalazłaś sposób obdarzenia mego serca miłością? Jeszcze nie wiesz, jeszcze nie znalazłaś, jeszcze cierpisz. Wiem o tym, ponieważ znam twoją wrażliwość, delikatność, twoją dobroć. I boli mnie twoje cierpienie. Jakże dotkliwie rani ono ciebie. Bardzo boli rana, którą zadaje miłość.

6

— Moje zastanawianie się nad przyszłością twej miłości, Anno Mario, rozważanie niebezpieczeństw, które mogą zagrażać twemu powiązaniu z Witoldem, nie zmienia faktu, że kochasz Witolda i że Witold kocha ciebie. To nic, że okazją spotkania się waszych serc jest tęsknota za wspólnym domem. Okazja zawsze jest zapoczątkowaniem dziejów spraw istotnych, waszego wewnętrznego powiązania. Nie musi świadczyć na niekorzyść waszej miłości. Miłość jest osobnym terenem, na który wchodzi się wieloma drogami. I jedną z tych dróg dotarliśmy do siebie. Wiem, Anno Mario, z jaką nadzieją i skwapliwością biegniesz na spotkanie z Witoldem, wiem, że znajdujesz dla niego wiele godzin, że wielokrotnie odczytujesz jego list, że piszesz często. I wiem, że czasem jesteś ze mną, że tak rzadko piszesz, gdy się nie widzimy, że bardzo, bardzo często piszesz do Witolda. Wiem, że Witold nie skąpi ci listów, swego czasu, swej obecności, że otrzymujesz od niego wielokrotne dary czułości i że podobne dary mu przynosisz. To dobrze, Anno Mario, to dobrze. To znak, że wiąże was miłość, że w jego sercu ty mieszkasz, a jego miłość w twoim. Modlę się, aby Bóg utrwalił waszą miłość i modlę się też, aby zostawił cię przy moim sercu. To nie jest tak, Anno Mario, że pragnę twej miłości ze szkodą dla ciebie lub dla Witolda. Marzę tylko, abyś umiała kochając go nie pozbawiać i mego serca daru swej miłości. Wciąż przypuszczam, że problemem jest tu sprawa sposobu ofiarowania serca i wyrażania w widzialnych znakach daru miłości. Marzę wciąż o listach od ciebie, o twoim częstym przybieganiu, o możliwości zobaczenia cię, o darach czułości. Cóż mam zrobić? Te tęsknoty są i oznaczają moje pełne skierowanie ku tobie. Przypuszczam, że w godzinach, w których nie widzisz Witolda, tęsknisz do niego, jak ja tęsknię do ciebie. I może podobnie jak ja, nawet wiedząc, że go nie spotkasz, wychodzisz na drogi, którymi może przechodzić, żeby go choć z daleka zobaczyć. Może i ciebie jego uśmiech raduje tak, jak twój uśmiech mnie pociesza. Usuwa niepokój, troski. Wszystko wydaje się proste i zrozumiałe. Bo kocham cię, Anno Mario. Gdy jesteś, staję się spokojny, wraca chęć do pracy. Gdy cię nie ma, myślę o tobie i nic innego nie mogę robić. Gdy jesteś, omawiam z tobą pomysły rozwiązań tych spraw, które dyskutujemy. Gdy cię nie ma, wraca cały problem naszych powiązań, męczące pytania, jak uratować twoją miłość do

mnie. Najgorzej, gdy mija godzina, w której miałaś się zjawić. Niepokój rośnie, wyobraźnia podsuwa obrazy wszystkich wypadków, którym mogłaś ulec, oczekiwanie staje się męką. Potem przychodzisz, wszystko jest proste, jasne, szczęśliwe. Jeżeli podobnie przeżywasz Witolda, to kochasz go, Anno Mario. Ja przecież tak przeżywam ciebie, a kocham cię najmocniej, jak tylko można. Zresztą twoja miłość do Witolda nie musi mieć tej wersji przeżywania. Może więcej jest w tobie radosnych oczekiwań, więcej pogody, więcej chwil szczęścia. Może jest jeszcze całkiem inaczej. Ale jednak poczucie spokoju i bezpieczeństwa, poczucie dokonania się spraw ważnych, jakaś trwała teraźniejszość życia, widzenie sensowności nawet spraw drobnych, wszystko to są oznaki miłości. Nie jest wtedy groźne przemijanie, ustaje ból, nie budzi lęku nawet możliwość śmierci, czyli rozstania z tobą.

— Jesteś mi potrzebna, Anno Mario. Potrzebna mi jest twoja obecność, ciągła obecność. Jestem spokojny, gdy cię widzę, pracuję, gdy jesteś, żyję, gdy jesteś. Zawsze powinnaś być w moim pokoju, zawsze przy mnie, w moim sercu. Jesteś tam, w moich tęsknotach, marzeniach, w moim niepokoju o ciebie, w moim smutku. Nie ma cię jednak w formie zadomowienia się w mojej miłości. Czy to możliwe, Anno Mario, czy to możliwe? Jeżeli więc podobnie kochasz Witolda, to kochasz naprawdę. Kochasz go i on cię kocha. I ja kocham cię także. Co mamy zrobić w tej sytuacji? Jak rozwiązać ten nietypowy trójkąt? Wiem tylko to, że nie mam siły być bez ciebie.

— Wtedy, w ten wieczór, gdy powiedziałaś, że nie możesz zostać ze mną na umówione dni, serce zabiło mi gwałtownie, poczułem ból głowy. To był znak, że można niekiedy nie unieść ciężaru smutku, który niespodziewanie spada na ludzką duszę i rani cierpieniem. Kochasz nas, Anno Mario, mnie i marzenia, które związałaś z Witoldem. A mimo wszystko czuję się zraniony cierpieniem. I czuję się w tym cierpieniu zagubiony. Jestem raczej zagubiony w twej miłości. Jestem nią objęty, przebywam w twym sercu i nie mogę do ciebie dotrzeć, oczami duszy zobaczyć cię w swym sercu. Bo to ty musiałabyś swą miłością odnaleźć mnie w moim sercu i ze mną pozostać. Ponieważ nie stałaś się duszą mego serca, jesteś w sobie. Moja miłość, przyjęta przez ciebie, wypełnia twoje serce, a twoja miłość jest w duszy Witolda. Nie spotkałem cię więc, Anno Mario, i nie mogę cię znaleźć. Błądzę po obszarach twej miłości i czuję się zagubiony. To tak, jakbyś mi umarła, Anno Mario. Jeszcze cię widzę,

jeszcze jesteś, lecz już cię nie ma, bo już nie odwzajemniasz miłości. Nie odchodź, Anno Mario, zostań! Pomóż, mi cię znaleźć! Jeżeli mnie nie pokochasz, nigdy cię nie znajdę, nawet po śmierci. Nasza wspólna miłość byłaby chwałą Boga, który wprowadza nas w swoją miłość. Zabiegam więc o twoje serce, pragnę daru twej miłości, aby Bóg był uwielbiony także naszą wspólnotą.

— I martwiąc się tym wszystkim usiłuję rozpoznać, czy mnie kochasz i czy kochasz Witolda. Znakiem miłości jest także dobro służenia. Jeżeli troszczysz się o mnie, jeżeli martwisz się moim cierpieniem, jeżeli pragniesz mi pomóc, ulżyć w męce, jeżeli dobroć każe ci kierować się wyrozumiałością, cierpliwością, wybaczeniem, obdarzać mnie obecnością, to kochasz mnie, Anno Mario. Nie bój się, nie krzywdzisz Witolda kochając także mnie. Miłość nigdy nie krzywdzi. Moja więc miłość do ciebie nie może krzywdzić Witolda i nie krzywdzi go także twoja miłość do mnie. Jeżeli nas kochasz, powstaje dobro. Anno Mario, miłość nie krzywdzi. Pomóż mi znaleźć cię w mym sercu!

7

— I popatrz, Anno Mario, co stało się z nami. Coraz mniej od ciebie listów, nasze spotkania coraz rzadsze. Wiem, że wiele, wiele godzin znajdujesz dla Witolda. Do mnie tylko wpadasz na krótką chwilę, na wypicie herbaty. Przyjmuję swój los, cieszę się, gdy cię zobaczę. Przecież nie można zmuszać do miłości. Ona zawsze jest darem dobrowolnie danym i nie ma jej bez zachowania wolności. Uznaję twoją wolność, wciąż cieszę się tobą, wciąż cię oczekuję. I cierpię. Nie mogę nie cierpieć kochając i nie będąc kochanym. To smutny los miłości, smutne dzieje zakochanych, których wybrana osoba nie kocha.

— Wybrałem cię spośród wielu, odkryłem, odszukałem. Wielu innym sercom, garnącym się do mnie, musiałem odpowiedzieć „nie". Czyniłem to delikatnie tłumacząc powody. Teraz wiem, ile nadałem cierpienia sam cierpiąc z powodu twojego „nie", Anno Mario, moja ciągła tęsknoto. Nasze sprawy są jasne, nasze powiązania prawie sprecyzowane. Nie mam żalu do ciebie. Od samego początku przecież mówiłaś głównie o przywiązaniu, przyjaźni. Rzadko mówiłaś o miłości. To tylko ja tak bardzo, tak boleśnie, tak bez reszty pokochałem ciebie. I nie mogę od ciebie odejść, od marzenia,

którym jesteś, od sensu życia, którym się stałaś, wciąż odległa, niezdobyta, dobra, bliska i obca.

— Nie przyszłaś dzisiaj, mimo że czekam, mimo że obiecałaś. Jesteś z Witoldem. Umówiłaś się z nim na godziny, w których zwykle przychodzisz mnie odwiedzić. Tyle marzenia związałem z twoim przyjściem, że wczoraj, gdy się okazało, iż dziś nie przyjdziesz, starałem się walczyć szukając argumentów, które tylko dla mnie coś znaczą. Mówiłem: „Cóż zrobię bez ciebie w te godziny oczekiwania, zamęczy mnie tęsknota, zniszczy ból i smutek". Wtedy, gdy jesteś, mogę na ciebie patrzeć, mogę dotknąć twych dłoni, mogę być z tobą. Zaproponowałaś inną godzinę, pokazanie się na chwilę w drodze do Witolda. Zgodziłem się, lecz nie nalegałem. Bałem się, że sprawi ci to kłopot, że będziesz musiała tłumaczyć się z kilku minut spóźnienia. Myślałem o tobie, Anno Mario, o tym, żeby przyjście do mnie nie stało się dla ciebie czymś koniecznym, czego nie chcesz, lecz co musisz podjąć. Pragnę wciąż, abyś przychodziła, gdy będzie to potrzebą twojej duszy, gdy musisz uspokoić serce, podzielić się zmartwieniami i swoim cierpieniem. Nie przyszłaś jednak. Może wydało ci się, że nie odpowiada mi godzina zaproponowana przez ciebie, może jednak nie mogłaś przyjść, może twoje marzenie skierowało cię wprost do Witolda. Nie ma cię więc. Czekałem o wiele wcześniej, niż zapowiedziałaś. Byłem, jestem. I wciąż czekam, mimo że dawno minął możliwy czas naszego spotkania.

— Na co czekam? Czym jest to czekanie? Jest nadzieją. Nadzieja zawsze zmniejsza cierpienie. Jest nadzieja, że cię zobaczę. Czekam bowiem na ciebie. Ty jesteś tą nadzieją, moim oczekiwaniem, bolesną miłością. Czekam, że mnie pokochasz.

— Wydaje mi się czasem, że nigdy nikt nie kochał cię tak bardzo jak ja i że nikt nigdy tak cię nie pokocha. I jaka szkoda, że nie spotkała się nasza miłość. Wzajemność rozwinęłaby w tobie i we mnie wszystkie dobra miłości. A teraz jest ta moja miłość dla ciebie problemem, dla mnie męką, bolesnym cierpieniem wieczoru, który nie przynosi odpoczynku, który jest najsmutniejszą chwilą życia.

— Znalazłem dziś w książce, w której nie spodziewałem się tego tekstu, jakże prawdziwe i prawie okrutne zdania: „Miłość można wymienić tylko na miłość, zaufanie tylko na zaufanie... Jeśli kochasz nie wzbogacając wzajemnej miłości, tzn. jeśli twoja miłość jako miłość nie wytwarza wzajemnej miłości, jeśli poprzez swój przejaw życia

człowieka kochającego nie czynisz siebie człowiekiem kochanym, miłość twoja jest bezsilna, jest nieszczęściem". Moja miłość, Anno Mario, jest bezsilna wobec twego serca, ale nie jest nieszczęściem. Jest moim losem i moim szczęściem, lecz jakże bolesnym i smutnym. Miłość jednak nie wywołuje miłości. Bolesna tajemnica tych uprzyczynowań. Moja miłość nie zapaliła twego serca. Czy dlatego, Anno Mario, czy dlatego, że bardziej niż miłość, niż przeżycie miłości, objęła twą duszę tęsknota za domem, za własnym dzieckiem? Czy dlatego wyznaczyłaś Witoldowi rolę ojca i męża? Czy ta tęsknota, czy tylko ta tęsknota wyzwoliła w tobie miłość do Witolda? Czy ta tęsknota jest aż tak mocna, czy rzeczywiście jest źródłem miłości? Czy nasza ludzka miłość jest tylko terenem macierzyństwa i ojcostwa? Jak to jest, Anno Mario, jak to jest? Czy kobieta jest tylko matką zawsze i we wszystkich swych działaniach? Czy mężczyzna jest tylko ojcem, który kocha dla ojcostwa? A kochać cię dla ciebie, bez tych dalszych perspektyw, czy nie można, Anno Mario? Tylko kochać? Czy o miłości rozstrzyga fakt rodzicielstwa? Znowu pytania, bo wciąż bez zmian boli brak twej miłości.

— Miłość jest na pewno warunkiem rodzinnego szczęścia, motywem trwałego związku w małżeństwie, atmosferą domu, potrzebnego dzieciom, aby dojrzewały i uczyły się miłości, która wymaga osób i ich wzajemności, ich przywiązania, przyjaźni, dobroci. Ale miłość, Anno Mario, jako przywiązanie, dobroć, czułość, troska, zawierzenie swego losu, obecność, jest czymś więcej niż tajemnicą rodzenia, jest losem osoby ludzkiej, sensem życia, jest całą wartością człowieka, jest człowiekiem jako darem danym tobie, dzięki któremu znajdziesz się w środowisku kochającego serca, w środku świata, jedyna, pierwsza, wybrana, kochana. Dlaczego nie przyjęłaś tej perspektywy, nie włączyłaś swego serca w dobro, które przyniosłem całą swą osobą? Dlaczego miłość nie wyzwala miłości, dlaczego nie pokochałaś mnie, dlaczego? Dlaczego miłość, zbudzona w twym sercu moją miłością, skierowała się gdzie indziej, dlaczego nie pozostała przy mnie, nie wstąpiła w moje serce, które płonęło w twych rękach, przy twojej twarzy, przy twoim sercu? To są tajemnice, Anno Mario, to jest smutny los mojej miłości.

— Były jednak chwile szczęścia. I wydawało się, że „miłość, która była marzeniem, stała się szczęściem". Wydawało się, Anno Mario, że na miłość

odpowiedziałaś miłością. I że odpowiedziałaś miłością na miarę mojej miłości, owszem, w swojej wersji, lecz w sposób podejmujący moje tęsknoty. Zawsze wiedziałem, że możesz mnie kochać tylko na swój sposób i z góry ten sposób aprobowałem. Zgadzałem się na to, co ofiarujesz, gdy podejmowałaś dar mojej miłości. Przyniosłaś swoją obecność, wyrozumiałość, przywiązanie, nie wniosłaś jednak miłości. I „miłość, która była marzeniem", nie stała się szczęściem, tym szczęściem radosnym. Stała się cierpieniem.

— Parafrazuję fragment tekstu innej pięknej książki: „Miłość — najpiękniejszy w życiu koncert — jest przeżyciem i wzruszeniem, radością, wyznaniami dramatycznych napięć i wzburzeń, świeżością wrażliwości, wiarą, zachowaniem bezpośredniości. Miłość — Widzenie prawdy, zdolność odczuwania, wrażliwość na piękno, żywe treści duszy, świat wzruszeń i uczuć, przyjaźni, szczęścia — promieniuje blaskami, rzuca czar, olśniewa, jest świadectwem życia. Miłość, która była marzeniem, stała się szczęściem. Jestem świadkiem szczęścia, kocham życie, kwiaty, jestem szczęśliwy i pokornie wdzięczny za to Opatrzności. Miłość — najpiękniejszy w życiu koncert — była marzeniem i stała się szczęściem". Tak, Anno Mario, droga Anno Mario.

— Moja tęsknota i moja refleksja niczego nie zmieniają. Moja do ciebie miłość, moja więc teraźniejszość jest uwikłana w przeszłość i przyszłość. Jest splotem tych trzech czasów. Jest już na zawsze przyjaźnią, ale jest też miłością i zachwytem, który sprawia cierpienie. Gdybyś mogła nie myśleć o przyszłości, gdyby twoje tęsknoty nie kierowały cię do twoich marzeń, gdybyś nie była w tym, czego oczekujesz, byłabyś ze mną, w mojej i naszej teraźniejszości. Moja teraźniejszość, moja do ciebie miłość, jest twoją przeszłością. Dla mnie nią nie jest. Jest moim teraźniejszym losem.

— Rozważam jednak, Anno Mario, dzieje naszej miłości od chwili, w której cię ujrzałem aż do dzisiejszego wieczoru, który nie pozwala odpocząć, który jest najsmutniejszą chwilą życia. Wieczór bez ciebie, sam smutek. Ten smutek nie stwarza warunków wytchnienia, ciszy, ładu, ale jest jakąś przerwą w bolesnej podróży, stacją kolejową na długiej trasie mojej refleksji, chwilą rozmowy przed twoim odejściem. Potem będę już sam przez długie godziny myślenia o tym, co najbardziej boli.

— Jestem w małym hotelowym pokoju. Siedzę przy radiu pod lampą, patrzę na kwiaty, na jeden kwiat w doniczce i słucham piosenki o smutku oczu, które ktoś kocha i pragnąłby, aby pokochały. Może nie powinienem był zatrzymać się w tym pokoju, w tym mieście, w tym hotelu, możecie powinienem był uciekać do ciebie, do mego marzenia, oczekiwania, losu, którym jesteś. Ale to przecież ty, Anno Mario, powiedziałaś kiedyś w moim śnie, Anno Mario moich snów, gdy płakałem, powiedziałaś wtedy: „Czemu płaczesz, przecież jestem". I tylko tobie podałem szklankę wody i dwa kawałki chleba o kolorze złota, tylko tobie, którą ukochałem tak bez reszty, tak boleśnie, na zawsze. Anno Mario. Anno Mario.

8

— Gdy przyszłaś, radość — jak zwykle — odebrała mi mowę i siły, by ujawnić szczęście twej obecności. Serce zabiło i poczułem ten znajomy ból słodki i gorący, który zjawia się, gdy zobaczymy kogoś ukochanego, gdy zobaczę ciebie. A gdy odeszłaś roześmiana i szczęśliwa swoją miłością do Witolda, już nie mogłem przeciwstawić się smutkowi. Ból opuszczenia, samotności, jednak samotności, zaatakował duszę i serce.

— Obserwuję swoje przeżycia, widzę siebie uwikłanego w tragedię, w której nikt nie jest winny, ani ty, ani Witold, ani ja. I właśnie dlatego jest to tragedia. Jest konflikt, jakaś ogromna krzywda wyrządzona mej duszy, jej bezmierne cierpienie, nie ma winnych. Jest tylko splot zdarzeń, relacji, kierunku dążeń. Widzę to wszystko jakimś swoim drugim ja, które patrzy na moje cierpienie, które tylko, obserwuje, ponieważ nie jest w stanie pomóc. Nie można pomóc. Rana zadana miłością nie da się wyleczyć. To jest bowiem wyrwana część serca. Nie można jej niczym wypełnić. Może ją usunąć ta odebrana część, gdy wróci, gdy uzupełni serce.

— Kocham cię tak bardzo, że cieszę się twoją miłością do Witolda, ponieważ daje ci to radość, ponieważ to cię uszczęśliwia. I jednocześnie jestem u progu rozpaczy, u progu, którego nie przekroczyłem, bo ratuje mnie przed tym nadzieja. Nadzieja, że potrafisz kochać i mnie, i Witolda. Zawsze wyczuwam przebieg twojego spotkania z Witoldem, stopień radości, którą przeżyłaś. Rozpoznaję to po stopniu twojego cofnięcia się wobec mnie, w słowach, których dobierasz, w braku spontaniczności zareagowania

na mój zachwyt, w sposobie podjęcia mojej tęsknoty za twoim uśmiechem. I oczy mówią wszystko. Nawet wiem, przy jakich słowach, które do ciebie skieruję, cofniesz spojrzenie. Widzę też w delikatnym drgnieniu twego ciała, kiedy podczas najżywszej ze mną rozmowy jesteś dnem swej myśli przy Witoldzie. Anno Mario, Anno Mario. Wiem, że unikasz tego tematu, może dlatego, aby mnie nie ranić. Nie ranisz mnie. Tej tragedii nie jesteśmy winni.

— Moją pozorną winą jest to, że cię kocham. A twoja pozorna wina tylko na tym polega, że twoja miłość zbudziła się i dojrzała w mojej miłości. I zapragnęłaś miłości. Chciałaś kogoś ukochać. A ja nie umiałem pokazać ci szans naszej miłości, jej perspektyw, jej realności. Mówisz czasem, że jestem w twym sercu. Nigdy nie powiedziałaś, że mnie kochasz. Wciąż tylko mam nadzieję, że jest w tobie jakaś i dla mnie wersja, miłości. Lecz jaka?

— Byłaś dziś wiele godzin z Witoldem. A potem Witold wymyślił, że musi coś od ciebie zabrać i znowu byliście długo razem. Rozumiem go, chciał przedłużyć spotkanie. I wpadłaś do mnie na krótko, w ostatniej chwili przed początkiem mojej wewnętrznej agonii. Dobrze, że przyszłaś, aby mnie uratować. Czasem myślę, że zostałaś mi dana przez Opatrzność dla ratowania mnie przed wewnętrzną śmiercią, przed śmiercią sensu mojego życia.

— Wiele razy tak było, że w dniach, w których bardziej potrzebowałem twej obecności, gdy wyczuwając zagrażające mi niebezpieczeństwo smutku, czy może rozpaczy, specjalnie o tę obecność prosiłem, gdy ją obiecałaś, przyszłaś dopiero w ostatniej, chwili, u kresu mojej nadziei, na końcu swych radosnych spotkań. Wiem, że czasem więcej niż trzeba, bywasz z innymi, że nie ma w tobie gotowości porzucenia nawet tych mniej ważnych spraw, by przybiec do mojego serca. Wiem o tym. Godzę się na ostatnie miejsce w sprawach twojego dnia. Nie mogę jednak wewnętrznie zgodzić się na utratę twej miłości. To mi realnie zagraża. To mi jednak zagraża. Kim będę bez twojej miłości, co zrobię? I kim ty będziesz, gdy zupełnie cofniesz swoją miłość, Anno Mario, ach, Anno Mario?

— Moja miłość ma moc ukształtowania w tobie twoich uzdolnień na maksymalną miarę. Ma moc poszerzenia twego serca i twej duszy o wielkość spraw istotnie ważnych w kulturze, którą tak wrażliwie odbierasz, o którą się martwisz i którą

chcesz najlepiej tworzyć. Ma moc wzbudzenia w twym intelekcie myśli, którymi wypełnisz teksty przekształcające na lepsze świat i człowieka. Moim doświadczeniem w wiedzy i cierpieniu, gdy je przejmiesz, nadasz swym twórczym pomysłom bieg kosmiczny, na miarę czasów, które są wielkie w swym bólu i w swym pięknie. Beze mnie staniesz w długiej kolejce oczekujących na dar wiedzy i dar dobroci. Upłynie ci życie, zanim dotrzesz do biurka urzędników nauki i administratorów miłości. Będziesz miała swój ubogi dom, małą radość troski o codzienne sprawy, tęsknotę do ciekawszej książki, życzliwszej z kimś rozmowy, do tego wszystkiego, czego zabraknie twojej miłości łączącej cię ze światem Witolda. Widzisz tę swoją miłość w schemacie postulatu, że ona wypełni twoje życie. Jakoś je wypełni. Niełatwo jednak będzie Witoldowi wypełnić twej duszy, tak już bogatej, szerokiej, zbudzonej do spraw, których nie każdy intelekt i nie każde serce potrafi rozwiązywać. Gdy zniszczysz w sobie miłość do mnie, wyznaczysz mi miejsce urzędnika i administratora, od których nie otrzymuje się wiedzy i dobroci. Tylko miłość jest narzędziem przenoszenia w duszę wielkich zachwytów, wielkich odczuć, wielkich spraw, gdy są w kochającym sercu. Kocham cię. I boję się, że gdy odejdziesz, gdy zniszczysz w sobie miłość do mnie, wejdziesz w świat spraw małych, zgaśnie w tobie ogień, którym możesz oczyścić piękno świata, uszlachetnić dobroć, skierować ku człowiekowi rzekę miłości. Anno Mario, moja biedna Anno Mario, nieostrożnie kierująca swoją wolnością. Może tylko dlatego wydaje ci się słuszna twoja droga ku Witoldowi, że go wybrałaś. Może źródło mojej tragedii jest w tym, że nie umiałem poczekać, aż mnie wybierzesz. Może po prostu nie chcesz być przez kogokolwiek wybrana. Chcesz sama wybierać. I może twój opór wobec mnie ma w tym swe źródło, że to jest wielka miłość, wielka miłość mojego życia. Bałaś się wchłonięcia. Ta miłość nie zniszczyłaby twojej. To jest miłość twórcza. Pomogłaby twojej miłości dorość i przewyższyć moją. Jest nastawiona na twoje dobro. A ty, wchłaniając miłość Witolda, zadowalasz się małym tworzeniem, rolą pośrednika w wzbudzeniu kiedyś głosu, który usłyszą wszyscy. Tym głosem możesz się stać ty, moja wielka miłości, której moje przywiązanie mogłoby nadać wielkość, przekształcającą świat. To nie są marzenia, to nie jest złudzenie. To jest tylko moje wyczucie strat, które poniesiesz, i mój niepokój, że nie umiem temu zapobiec.

— Zresztą nie wiem, Anno Mario, nie wiem, co będzie z nami, ze mną, z tobą. Wiem, że w chwili, gdy moje serce odczuje, a tak rzadko się myli w odbiorze ciebie, gdy pozna, że całkowicie cofnęłaś swoją miłość, umrze. Zabije je głód miłości. Puste serce, które całą swą miłość umieściło w twojej duszy i nie zostało zasilone twoją miłością. Umrze z głodu, który ma kształt tęsknoty. Nikt tego nie zauważy, nie dowie się, że zniszczono szansę ulepszenia świata w jego dobroci i pięknie. Nie wie się bowiem o tym, co się nie stało. Nie stała się twoją wielkość, twoja wartość, tak potrzebne czasom, które przyjdą, to znaczy ludziom dążącym, jak my, do szczęścia.

— Tęsknię do ciebie, do twojej duszy, do twej miłości, do twego życzliwego, rozumiejącego spojrzenia, do twych rąk, do ciepła twej czułości, do ciebie, Anno Mario.

— Dlaczego, o Boże! Jeszcze to wspólnie rozważmy. Pozwoliłeś kiedyś Jakubowi walczyć ze sobą. nad rzeką Jabok. Pozwoliłeś się zwyciężyć. Uznałeś jego argumenty. Dałeś się przekonać. Daj się przekonać, Boże, że nie mogę iść ku Tobie bez miłości Anny Marii. Zostaw mi tę miłość.

9

— Co się ze mną stanie, co zrobisz ze mną, Anno Mario, która kochasz nie tylko mnie, która jesteś słońcem także serca, kiedyś spotkanego w jakiejś wczasowej miejscowości. Chcesz być tym słońcem. Dobrze, Anno Mario. Tak być musi, ponieważ tak chcesz. Miłość jest darem wolności. Wiem o tym. Wiem jednak, że we mnie jest ona także cierpieniem. Może jest tak dlatego, że dla ciebie moja miłość jest drugą sprawą twego serca. Dla mnie jest pierwszą. I z tej racji, że właśnie wyznaczyłaś mi to drugie miejsce, nie ma cię dzisiaj, nie ma cię, Anno Mario. Mijają się nasze tęsknoty. Nie czytamy wspólnie ulubionych książek, nie jesteśmy razem.

— Gdybym mógł, jak ty, także kogoś jeszcze kochać, nie byłoby dzisiejszego smutnego popołudnia. Gdybym mógł dać ci w swym sercu to drugie miejsce, jak ty dajesz je w sobie mojej duszy, spotkalibyśmy się na tej samej płaszczyźnie. Nie byłoby cierpienia. Byłaby przyjaźń, byłaby radość, gdy jesteś, nie byłoby bólu, gdy cię nie ma. Ból sprawia to, że nie mogę dotrzeć do dna twej duszy, ogarnąć jej, zatrzymać i swą miłością podnieść ku pełni dobra i szczęścia. Ból sprawia też to, że nie mam piękna

twojego ciała właśnie teraz, zawsze, gdy tęsknię, gdy nieskończony brak twej obecności niszczy bieg i sens mojego życia.

— Wiem, że musisz mieć swoich bliskich, swoich przyjaciół, swój świat. I pragnę być w twoim świecie. Otwieram ci cały mój świat przemyśleń, doświadczeń, uzyskanego dobra. Widzę całe piękno losu naszego odnalezienia się i powiązania. Jaki kształt nadać temu pięknu, abyś je podjęła? To musi być kształt miłości, bo inaczej nie przetrwamy niepokojów, trudności, zagrożeń, kryzysów.

— Wielką wartością jest nasza miłość, Anno Mario. Uratujmy tę miłość, proszę cię całym sercem, bo tylko miłość ocali w nas dobro.

— Nie ma cię, Anno Mario. Konstruuję więc sobie teorię, która mi tłumaczy twoją nieobecność. Popatrz, jak to przeżywam, jak można to przeżyć.

— Jesteś dziś zmęczona, zajęta i wiem, że już nie przyjdziesz. Lecz nie dlatego nie przyjdziesz, że jesteś zmęczona i zajęta. Nie przyjdziesz dlatego, że nie szukasz mojej obecności, nie pragniesz rozmów, wspólnego rozważenia zawiłych spraw ludzkich, nie chcesz mojej wiedzy, przemyśleń, rozumień, wspólnych spacerów, oglądania filmu. Nie przy mnie chcesz przeżyć wzruszenie krajobrazem, rzeźbą, projektem podróży. Nie przyjdziesz, ponieważ dla twej miłości nie jestem kimś pierwszym, oczekiwanym, ukochanym. Wyznaczyłaś mi w swym sercu dalsze miejsce i z tej racji nie nagli cię tęsknota, żeby przyjść, zobaczyć się ze mną, tak jak ja pragnę cię widzieć. Wyznaczyłaś mi miejsce tych przyjaciół, którzy się cieszą, gdy ich spotkamy, do których nie tęskni się, gdy ich nie ma. Wypełniasz serce inną tęsknotą, inną miłością, dla której od dawna, od tak dawna niszczysz w sobie żywsze przywiązanie do mnie. I wiem, że ta inna miłość i inna tęsknota kiedyś mi ciebie odbiorą. Odbiorą mi aureolę twych włosów, aksamit policzków, oczy ciemne, palące, twarz piękną, bliską, ukochaną, twoje ramiona i ich serdeczność. Odbiorą mi ciebie, Anno Mario. I najdziwniejsze jest to, że będziesz przekonana o słuszności swojej drogi i że moją przegraną uznasz za zwycięstwo.

— Jakże to wszystko dziwnie skomplikowane! Wiem mimo wszystko, że na drodze, którą wybierasz, nie uwolnisz się od samotności, że zmęczona sytuacją uciekniesz kiedyś ze swego życia, że będziesz tęskniła do zniszczonej szansy miłości. Wiem też, że nie powinienem ci tego mówić, lecz po prostu chcę cię już teraz bronić

przed smutkiem, który kiedyś cię ogarnie. Wtedy nie martw się, że dziś popchnęłaś mnie w rozpacz. Moim ratunkiem jest to, że cię rozumiem. Wiem, że masz prawo budowania swego życia według swej wizji, według swoich wyborów. Wiem, że nie dowierzasz mojemu rozumieniu ciebie. Przypuszczasz też, że miłość łatwo spotkać, zdobyć, tę miłość prawdziwą.

— Zabiorą mi cię, Anno Mario, twoje rozumienia. Zabiorą mi cię inni ludzie. Ktoś inny będzie się cieszył twoją obecnością, bez której moje życie traci sens. Ktoś inny będzie przedmiotem twych tęsknot, marzeń, dążeń twego serca. Ktoś inny będzie miał twój uśmiech, twoje spojrzenie, twoje dłonie, twoje serce, twoje ciało, które przykuwa mnie do ciebie, które jest ogniem palącym moje oczy, moje uczucia, moją duszę.

— Okrutne, paradoksalne mijanie się tęsknot, napięć, nastrojów. To dlatego nie mogą spotkać się nasze serca na tym samym etapie dążeń i wzruszenia. I miłość, która swym pięknem mogłaby ozdobić świat, nasza miłość, nie może się rozwinąć. Zabroniłaś mej miłości wstępu do swego serca. A gdy się tam pojawi, niszczysz ją, usuwasz. I swojej miłości nie pozwalasz zamieszkać w mej duszy.

— Jakże bardzo kocham cię, Anno Mario! Całą moją winą i całym cierpieniem jest to, że cię kocham. Miłość, której nie chcesz.

— Boli cię też to wszystko. Uciekasz w siebie, w jakiś swój smutek, w swoją, radość i w swoją samotność. Nie dopuszczasz nikogo do najgłębszych tajemnic swej duszy. Mnie też nie dajesz tam wstępu. Nie chcesz mojej miłości, nie chcesz. Wiem jednak, że powinniśmy uratować naszą miłość i naszą przyjaźń wbrew nastrojom, nieufności, wbrew prostym projektom, które przyjmujesz. Ta miłość jest wartością, uroczym pięknem naszego życia. Boję się, że nie trafisz już na miłość. Znajdziesz wzruszenie, rozkosz. Miłość jest rzadką perłą. Świat widzialnego i niewidzialnego zła będzie się wysilał, żeby nam zniszczyć, odebrać tę miłość, która zwiększa dobro świata. Gdy ją zniszczysz, nie podźwignę się z tej klęski.

— Może jednak nie powinienem mówić ci tego wszystkiego. Może powinienem płakać w tajemnicy, przed tobą, samemu rozgrywać walkę dobra ze złem, życia ze śmiercią, miłości z możliwością jej utraty. Nie wiem. Wiem, że niełatwo zapobiec zbliżającej się rozpaczy.

— Widzisz więc, Anno Mario, jak konstruuję teorię i ból, motywy twej nieobecności i swoją tęsknotę. Widzisz, jak tęsknię do ciebie, jak pragnę ocalić marzenie, którym jesteś, marzenie serca, Anno Mario moich marzeń.

10

— A teraz, Anno Mario, w swym marzeniu o tobie pragnę stworzyć, a raczej wymarzyć okoliczności naszego spotkania.

— Najpierw więc pierwszy raz zobaczyłem cię na ulicy lub może gdzie indziej, i zaczęła się tęsknota. Potem widywałem cię z daleka w towarzystwie kolegów i nie umiałem do ciebie się zbliżyć. I gdy już nie miałem siły tęsknić, spotkaliśmy się nagle, przypadkowo w holu biblioteki. Niech więc tak będzie, że coś do ciebie powiedziałem i że może zaprosiłem cię na kawę. Od tej bowiem chwili już rozmawialiśmy, już byliśmy często razem. Gdy siadałaś przy mnie na sąsiednim fotelu, tak nieskończenie odległym, otaczałem cię zachwytem, który odkryłaś, który cię niepokoił. Niepokoiła cię moja tęsknota. Zniknęłaś bowiem, Anno Mario. Wiele razy nie było cię na fotelu, nie przyszłaś, nie przychodziłaś, zniknęłaś. Oczekiwałem cię, szukałem, nie mogłem znaleźć. Musiałem więc kogoś o ciebie zapytać, kogoś, kto cię zna i widuje. Zapytałem o ciebie św. Michała Archanioła, tego właśnie mocnego piłkarza z obrazu w kaplicy na Elmsley Place w Toronto. Zaufałem jego twarzy zatroskanego studenta, który jednak wie, że zaradzi złu. Zapytałem go o ciebie, gdy minęło już wiele tygodni od naszego ostatniego spotkania i gdy nie miałem nadziei, że cię odszukam. Poprosiłem go w jakieś smutne popołudnie, aby ci powiedział o mojej tęsknocie i aby może któregoś dnia przyszedł z tobą tam, gdzie jestem. Nie miałem nadziei, że zgodzi się na moją prośbę, i nie miałem nadziei, że cię odnajdę. I wtedy, Anno Mario, wtedy po dwu godzinach od chwili zgłoszenia tej prośby, gdy skądś wracałem do domu, spotkaliśmy się przed wejściem do biblioteki. Wiedziałem, że to nie przypadkowe spotkanie, że zostałem obdarowany nadzieją odzyskania twej obecności, nadzieją bezpośredniej drogi do twego serca. Byłem wzruszony, wdzięczny Niebu za zgodę na poszukiwanie twej miłości. I czułem, że zostałaś mi darowana, przewidziana dla mnie, wzruszenie moich tęsknot, jasne słońce mojego cierpienia. Opowiedziałem ci to wszystko, ty nic na to nie powiedziałaś, i zrozumiałem, że moja droga do ciebie prowadzi poprzez tamtą

rzeczywistość, przez tam zanoszone prośby, przez rozmowy o tobie ze św. Michałem Archaniołem i przez niego odkrywanie ci mojego serca, przez jego z tobą rozmowy, zmniejszające twoje oddalenie, przez poruszenie twej dobroci, która nie pozwoli ci obojętnie minąć spotkanego cierpienia. I przychodziłaś, Anno Mario. Cieszyłem się twoją obecnością, rozmawialiśmy. Widziałem twoje oczy ciemne, palące, twoje usta o wilgotnej czerwieni, twoją twarz śliczną, bliską, ukochaną, aureolę włosów. Czasem przyniosłaś mi gałązkę jaśminu wiedząc, że tęsknię do tych kwiatów, do ciebie. Mogłem w rozmowach coraz lepiej poznawać twoją duszę, cieszyć się wrażliwością twego intelektu, zachwycać się poezją tego, co mówiłaś, i twym poetyckim widzeniem świata. Cieszyłem się tym, bo dozwalało mieć nadzieję, że odczytasz poezję naszego odnalezienia się i naszej przyjaźni. Martwiłem się też, ponieważ poetyckość widzenia problemów, dostarcza cierpienia. Martwiłem się, że będzie cię bolało zło świata, nie zawsze spotkane piękno, smutek złożonego losu człowieka. Moja miłość mogła już jednak posilać się twoją dobrocią, mogła być nie zawsze smutna.

— Teraz śnieg wezwał cię w góry. Jesteś tam w słońcu i śniegu, jesteś tam z sercem, które kiedyś spotkane w jakiejś wczasowej miejscowości przywołało cię treścią listów.

— Od dawna wiedziałem, że tam pojedziesz. Z całą ostrością i grozą sprawy widziałem też, że ten swój wolny czas nie ze mną chcesz spędzić, mimo że o to prosiłem, że otwierałem przed tobą album pięknych zdjęć innych podróży. Porwało cię piękno śniegu.

— Zanim jednak wyjechałaś, powoli zbliżał się dzień rozstania. Już pożegnaliśmy się, odeszłaś, wieczorem pociąg miał zawieźć cię w góry. I wtedy, po twym odejściu, skierowałem do Nieba prośbę, abym mógł cię jeszcze zobaczyć, abyś dziś nie odjechała, abyś przyszła jutro, aby przedłużyła się twoja obecność i aby opóźniło się rozstanie. Wiedziałem, że prośba ma swe źródło w rozpaczy, że jesteś umówiona, że ustaliłaś terminy, że dziś wyjedziesz. Mimo braku nadziei i w jakiejś sile, nadziei jednak prosiłem o tę nieprawdopodobną zmianę. Z nieśmiałością i męką, w jakimś wahaniu i zażenowaniu skierowałem swą prośbę tym razem do Ducha Świętego, który będąc Miłością rozumie — tak myślałem — zawiłe sprawy mojej miłości. I upierałem się przy tym, że twoje pozostanie choćby na jeden jeszcze dzień, to odłożenie

wyjazdu, byłoby dla mnie znakiem, że Bóg znajdzie sposób ocalenia naszej miłości, tego właśnie dobra, które staje się sensem mojego życia i naszym wspólnym losem.

— I właśnie, Anno Mario, nie pojechałaś owego wieczoru. Ktoś, z kim byłaś umówiona, nie mógł wyjechać, trzeba było jeszcze coś zmienić. I widzieliśmy się, rozmawialiśmy. Byłem wewnętrznie wstrząśnięty zaskakującą, wzruszającą, podbijającą serce odpowiedzią Ducha Świętego, i byłem szczęśliwy.

— Teraz cię nie ma. Jesteś w słońcu i śniegu, i to inne serce cieszy się twoją obecnością. Mnie towarzyszy tylko nadzieja, że nie utracę twojej miłości, że zostawisz ją w moim sercu i że dla mojej miłości znajdziesz miejsce w swej duszy. Mojej teraz samotności towarzyszy także przekonanie, że jesteś darem Nieba przewidzianym dla mnie, że nasza miłość jest wartością, którą Bóg uwzględnił w rachunku dobra, że wiele sił złych może się starać o zniszczenie tego dobra, że powinniśmy wobec tego pogłębić spojrzenie na los i perspektywy naszego spotkania, że powinniśmy uratować, rozwinąć, utrwalić naszą miłość i bronić jej korzystając z wiedzy o skomplikowaniu spotykających się serc, z mądrości teologicznych perspektyw ludzkiego losu, z filozoficznych rozróżnień tego, co istotne i drugorzędne, z wrażliwości intelektu na piękno zdarzeń. Tak, Anno Mario, moja Anno Mario.

11

— Gdybym dla twoich tęsknot był kimś pierwszym, szukałabyś spotkań najpierw ze mną. Z innymi osobami dzieliłabyś się czasem, który pozostał. Jest jednak odwrotnie. To ja otrzymuję resztki chwil, które pozostały ci po obdarowaniu kogoś wieloma godzinami twej obecności. Wiem, że całe dni wolne spędzasz przy innych oczach, w pobliżu innych dłoni. Dla mnie pozostają godziny, w których tamta obecność już nie jest możliwa. Od dawna wiem o tym, jakoś się z tym godzę i pragnę, abyś miała swych przyjaciół, swój świat wielu źródeł twej refleksji. Moja miłość nie odbiera ci twoich przyjaźni. Martwi i boli mnie tylko to, że nie będąc dla twoich tęsknot kimś pierwszym, nie kształtuję twej miłości. Inne serce jest wzorem twych dążeń i ono buduje w tobie marzenia, ono na miarę swych odczuć wyznacza przedmioty twojej radości, tamto serce modeluje twą duszę. I tego mi szkoda. Nie uczysz się miłości ode mnie. Wyczulasz się na dobra może innej hierarchii. Może inaczej bym ci je

prezentował. I jeżeli tak jest, Anno Mario, to nie dziwi mnie, że moich tęsknot, próśb i rozpaczy nie odbierasz w całym ich nasileniu, że nie przybiegasz, gdy rozpacz wdziera się do mej duszy, gdy błagam o obecność lub gdy o niej marząc delikatnie proszę o pociechę. Tak mało wyjaśniasz, tak rzadko uspokajasz. A tu w sercu szaleje burza, cała męka tęsknot i zazdrości. Bolesne pytania jak Erynie spędzają sen z powiek. Dlaczego nie możesz do mnie tęsknić, dlaczego tęsknota nie każe ci szukać mnie, tak jak ja cię szukam, dlaczego tamtemu sercu i innym wielu sprawom dajesz miejsce przede mną, dlaczego nie stanowi dla ciebie pełnej radości nasze spotkanie, dlaczego tyle godzin potrafisz przeżyć bez naszych rozmów, dlaczego nie przybiegasz, dlaczego nie pocieszysz, nie uspokoisz, dlaczego wciąż jestem bez ciebie, bez twoich oczu, przez długie godziny dnia, bez twych dłoni, bez ciebie, dlaczego, Anno Mario, dlaczego, dlaczego?

— A może twój spokój płynie jednak z tego, że nasze powiązanie uważasz za zdecydowane, zrozumiałe i pewne. Może już wiesz, że nasze rozstanie nie jest możliwe, że nasze serca łączy trwała wierność, że wewnątrz nas już wszystko postanowione. Może to wszystko, co tak boleśnie odbieram, jest w tobie bardziej zewnętrznym kontaktem, w którym chodzi o szersze poznawanie świata, o wieloaspektowe z nim zetknięcia, o sumę spraw, pozwalających mienić się naszej miłości wielością barw i wzruszeń. Jak to jest, Anno Mario? Powiedz niekiedy, jak to jest. Pociesz, skoro wiesz, że moja rozpacz stawia mnie u progu agonii.

— Zresztą, czy jest możliwe, aby naszą miłość mogło coś rozdzielić. Złączyły nas lata rozmów, cierpień, radości, modlitwy. Złączyły nas tęsknoty, kształt marzeń, wielość przemyślanych spraw, dostrzeżone perspektywy naszych intelektów, naszych serc, ogromne światy rozwiązanych problemów, dobro, które wyzwala nasza miłość. I sama miłość, która jest, która trwa, wzrasta, potężnieje, która boli i cieszy, która nadaje sens naszemu życiu.

— A może zjawił się wśród nas tylko czas jako oczekiwanie i nadzieja, że wszystko się ułoży, że będzie dobrze, ponieważ miłość, która nas łączy, jest dobrem. Bo kocham cię, Anno Mario. Kocham cię bardzo, najbardziej, tak jak człowiek potrafi kochać, całą mocą, całym sercem. I ty mnie kochasz. Świadczy o tym twoje wbieganie do mego pokoju, czasem na krótko, na chwilę, czasem na dłużej. Świadczy też o tym

dar słuchania moich zmartwień, moich radości i dar jaśminów, wiązanka kwiatów, naszych ukochanych kwiatów, którymi zdobimy radość spotkania.

— Tragizm całej sprawy ma źródło w tym, że kocham cię gwałtownie, szalenie, namiętnie. A ty nie chcesz tej miłości. I jest we mnie jakiś liryzm marzeń o tobie, tęsknot, troski o ciebie. Niepokój, że cię utracę, twoje ciało, twoją częstą obecność, twoje serce, nastawienie na mnie twoich tęsknot, wszystko wprawia mnie w rozpacz, która raz wywołuje płacz, raz znów pasję walki, a ostatecznie zgodę na ciebie, na twoje decyzje. I smutek, który wypełnia mnie do dna. Czasem mi się wydaje, że nie ma nic we mnie oprócz smutku.

— Nie ma cię, Anno Mario, w moim pokoju, nie pracujemy razem, jesteś tu tylko gościem. Nie bywasz ze mną w codziennych sprawach i kłopotach. Inne oczy mają cię przez wiele godzin dnia, inne ramiona tulą twoje serce, gdzie indziej szukasz radości. I muszę z tym wszystkim jakoś pracować, jakoś żyć. Ból, który to wszystko zadaje, ma już jakiś teologiczny wymiar. Męka jest tak wielka, że czyściec chyba już nie może być boleśniejszy.

— Boże, dlaczego nie mogę mieć tej właśnie miłości, do której tak bardzo tęsknię, z taką rozpaczą? Dlaczego muszą mijać się nasze tęsknoty, dlaczego kierujesz jej uwagę gdzie indziej, jej tęsknoty ku innemu sercu, dlaczego zabierasz mi tę jedyną radość mojego życia, jedyną nadzieję, tę jedyną miłość?

— Przyszłaś, Anno Mario, w ten właśnie wieczór, nie zapowiedziana, roześmiana, skupiona. Niosłaś w oczach poezję spraw, które domagały się kształtu pisanego słowa. Przyszłaś, aby mi opowiedzieć o wizji tego, co napiszesz. Odeszłaś, aby pisać, w pachnących słowach oddać innym dobro, którym jest piękno twoich rozumień, nadziei i marzeń. Czyżby moje niepokoje były tylko niepokojem, przeżywaniem tragedii twej nieobecności, czyżby były tylko postacią lęku? Wynika z faktów, że miłość jest poza tym wzburzeniem morza, że trwa głębiej niż warstwa przeżyć, jakże mylących. Jesteś, Anno Mario, jest twoja miłość, jesteś w ten wieczór przed moim wyjazdem, w ostatni wtorek karnawału, dzisiaj, zawsze, gdy tak bardzo pragnę twej obecności, gdy natężenie tęsknot przywołuje, cię głosem lęku o los sensu życia. Jesteś. Wracają wtedy siły. Znika rozpacz. Patrzymy na migotliwy płomień kolorowej świecy, patrzymy w przyszłość. Jest z nami Bóg. Jest miłość.

12

— Boże, ja przecież Tobie opowiadam dzieje tej miłości, dzieje naturalnej miłości człowieka do człowieka, mojej miłości do Anny Marii, do Anny Marii moich tęsknot. I opowiadam Ci dzieje miłości Anny Marii do mnie i jej miłości do Witolda, nasze cierpienie, los ludzkich serc, które boją się samotności i cierpienia, które zabiegają o trwałą miłość, męczą się, gdy ją tracą, i przeżywają także ból, gdy miłość jest w ich duszy. Opowiadam Ci więc dzieje cierpienia.

— Miłość w naszym ludzkim życiu nie jest tylko radością. Radość jest drobną częścią miłości. Miłość jest czymś więcej. Jest naszym losem, sensem życia, naszym przebywaniem w czyimś sercu i nieustanną prośbą o obecność w nas czyjejś miłości. Jest nieustannym, ulepszającym działaniem i jako trud, walka o to, co najlepsze w nas i w kimś kochanym, jest cierpieniem. Może po prostu naturalnym stanem miłości, jej, naturalnym kształtem jest cierpienie.

— Moja miłość nie przywołała miłości Anny Marii. Obudziła tę miłość, otoczyła ją miłością i troską, nie spowodowała daru miłości, tak mi potrzebnej, tak ukochanej, ratującej przyrodzony sens życia, potrzebnej mi, owszem, do wypełnienia serca dla ulżenia mej samotności, lecz także dla przetrwania trudnej tęsknoty do Ciebie, Boże.

— Każda miłość, darowana nam przez człowieka, spełnia zadanie przywołania Cię, Boże, odnalezienia, ukochania, miłość, której nie można pomylić z napięciem uczuć, z fascynacją pięknem, z radością fizycznych kontaktów. Lecz właśnie jestem człowiekiem. I napięcia, uczuciowe, fascynacja pięknem, oczekiwanie czułości, zrozumienia, dobroci, skierowały mnie do Anny Marii. I teraz od niej oczekuję dobroci. Dlaczego Anna. Maria nie może mnie pokochać, dlaczego, Boże mój, dlaczego? I nie wiem, jak przeżywa ona swą miłość do mnie. Wiem, że cierpię. I dlatego opowiadam Ci, Boże, o tym cierpieniu, o tej właśnie miłości, zabiegającej o serce Anny Marii, miłości, która boli, która rani, która jest cierpieniem.

— Tracę miłość Anny Marii. Utraciłem tę miłość. Anna Maria jest pierwsza w mej duszy, a ja nie jestem pierwszy w jej sercu. Nie spotkamy się. Musimy się minąć.

Jakże to ciężkie i straszne. To próg rozpaczy. To agonia nadziei. To straszliwe osamotnienie miłości. To już samo w sobie cierpienie.

— Moja niekochana miłość znalazła się wobec pustki. Nie odebrało jej wytęsknione serce. Dlaczego, Boże, dlaczego nie skierowałeś do mnie miłości Anny Marii? Co zamierzasz ze mną zrobić? Naturalne w nas dążenie do ukochania człowieka nie może pozostać nie spełnione. Miłości do Anny Marii zawdzięczam ukochanie Cię, uzyskanie Twojej miłości, którą dosięgam stworzoną przez Ciebie osobną dla mnie miłością nadprzyrodzoną. Lecz co będzie z moją tęsknotą do Anny Marii? Pozwól, Bożej że zapytam zupełnie wyraźnie: czy zamierzyłeś zachować moją miłość dla kogoś innego, tak jak miłość Anny Marii dajesz Witoldowi? To prawda, że stworzyłeś nas, że dar istnienia jest Twoją własnością. Dałeś mi jednak także dar wolności. I wybierając Annę Marię korzystam z tego daru. Ona też korzysta z wolności i zbudzoną przez moje serce swoją miłością wybiera Witolda. A ja, Boże, co ze mną? Nie mam siły nie cieszyć się miłością Anny Marii. Nie potrafię żyć nie będąc kochany. Co my teraz zrobimy, Boże mój? Jak wybrniesz z tych moich powikłań? Co ze mną zrobisz? Czy zechcesz kogoś pocieszyć moją miłością? Czy potrafię pokochać kogoś, kogo postawisz na mojej drodze? Przecież obdarowałeś mnie wolnością i mogę nie pójść za Twoim życzeniem. Chyba że ozdobisz kogoś tymi wartościami, które porwą moje serce, moją duszę. Chyba, że ktoś wkroczy w moje serce z całą swą miłością, wypełni je i przeniesie w swoje serce całą moją ludzką miłość, rozkwitłą w słońcu miłości Anny Marii. Nie wiem, co się stanie. Teraz tylko cierpię. Teraz miłość ma we mnie kształt cierpienia. Jest tym samym co cierpienie. Opowiadam Ci, Boże, o tym cierpieniu, o swojej miłości, ponieważ Cię kocham. Naprawdę wiąże mnie z Twym sercem dana mi przez Ciebie dla ukochania Cię nadprzyrodzona miłość. Ponieważ kocham Cię, mam odwagę zwierzyć Ci mękę swego ludzkiego serca, swoją miłość, swoje cierpienie. Czy chcesz, Boże, tylko tego cierpienia, tej właśnie mojej samotnej, niekochanej miłości, którą Ty kochasz? Jak to wszystko pojąć, przeżyć, przetrwać? Wiem, że kocham Cię, Boże, i że mi nieskończenie brak miłości Anny Marii.

2. NIE ZNALAZŁEM GRECJI

1) EGION, ATENY I NIEOBECNOŚĆ

Nie ma Grecji, tej Grecji, którą znam z historii, z literatury, z przejętej myśli filozofów. Są ruiny miast, świątyń, teatrów. Jest nowa Grecja o innej atmosferze spraw, stylu życia, psychice ludzi. I tylko te same są góry, morza, ogień słońca. W nich szukam śladu tego, co było, szukam Grecji.

Nie ma Grecji moich marzeń. Jestem więc sam w żarze słońca, w groźnym pięknie wody, w bezkresie powietrza, jest pełna samotność mojej myśli, tak bolesna, że wylękniony szukam, lecz nie znajduję wokół siebie znajomych rąk, oczu, twarzy, by związać z ludźmi to, co widzę, przeżywam, czuję, związać z tobą, Anno Mario, i nie być tylko na ruinach piękna, wielkości, miłości. Tęsknię do tego, co było, do ciebie. Szukam Grecji, szukam ciebie. Nie znalazłem Grecji. Nie ma ciebie.

Jestem sam w hotelowym pokoju. Pokój przestronny, z oknem na wschód. Po lewej stronie widzę błękit Zatoki Korynckiej, po prawej stronie pasmo gór o szczytach podobnych do Giewontu. Wyżej jest słońce bezlitośnie gorące, przenikający wszystko ogień. A jeszcze dalej, już nie wiem gdzie, może ponad słońcem lub tylko na północ od Zatoki Korynckiej ty jesteś i potrzebna mi twoja łagodność, twój głos, który wywołuje skupienie, podana w pytaniu refleksja, mobilizująca moją refleksję. Nie ma chroniącej życia łagodności, nie ma skupienia, nie ma ciebie. Jest hotelowy pokój w Egion. Otaczają mnie sprzęty, góry, morze, przenika słoneczny ogień.

Może kiedyś Anaksymander to doświadczenie właśnie wciskania, się wszędzie słonecznego żaru sformułował w tezę, że ogień jest zasadą świata, tym, co wszędzie występuje, wszędzie jest. Nie można bowiem uciec od obecności słońca, staje się ono elementem życia. Tales, wcześniej niż Anaksymander, myślał inaczej. Nie przetwarzał w regułę doznawanego doświadczenia. Szukał racji umożliwiającej samoobronę, swoistą odrębność rzeczy przenikanych słońcem. Tą racją i zasadą świata uczynił wodę. Ona właśnie wyzwala życie, chroni, oczyszcza, przygarnia, obejmuje, życzliwie oddziela od umęczającego ognia. Anaksymenes umieścił ogień i wodę w ogarniającym wszystko powietrzu, w jego bezkresie. Powietrze jest więc zasadą świata, tym, co szersze, warunkujące doznawanie ognia i wody. Jest nieskończone. Poddane ruchowi, staje się ogniem lub wodą.

Oddycham powietrzem Grecji, chroni mnie przed słońcem woda Zatoki Korynckiej w Egion, przenika słoneczny ogień. Szukam powietrza w gajach oliwnych, pod drzewem figowym obok kwitnących oleandrów, szukam wody i słońca. Doświadczam tych żywiołów, ich narzucającej się obecności, wyznaczającej sposoby życia i doświadczam jakby wprost myśli pierwszych uczonych ze szkoły eleackiej. Nie mogli nie zareagować na rolę wody, ognia i powietrza w opisie świata. Lecz, jak Tales wyodrębniał wodę, tak ja teraz wyodrębniając te żywioły, idę dalej, może właśnie ponad słoneczny ogień, wodę i powietrze, gdzieś na północ, ku tobie, umiejącej ogarnąć moją refleksję i wyznaczyć w jej bezkresie widzialne punkty, określające los człowieka. Bez tych punktów błądzi się w bezkresie samotności, nie ukierunkowuje życia woda, ogień, powietrze. Kierunek tego życia, jego sens i radość ty wyznaczasz, Anno Mario. Bez ciebie jestem na pozycjach Anaksymenesa: w bezkresie samotności. Jestem sam w hotelowym pokoju, wśród sprzętów, w wodach zatoki, w słonecznym ogniu, w całym powietrzu Grecji, pod oliwnymi i figowymi drzewami obok oleandrów.

Szczyty gór przypominają mi Giewont, doświadczane żywioły w całej ich intensywności kierują mnie do ciebie. I właśnie tak zwiedzam Grecję. Widzę ją przez ciebie i dla ciebie, Grecję odniesioną do człowieka.

Samolot oderwał się od pasa startowego na Okęciu, szybko uniósł nas w górę. Przez chwilę widziałem Warszawę, potem już tylko śnieg chmur i niebieski horyzont. Dopiero nad Grecją można było odróżnić ląd i morze, płynący statek jak dziecięcą zabawkę. Dwie i pół godziny lotu, dziesięć tysięcy metrów wysokości i ogarnął nas gwar i upał ateńskiego lotniska. Zakwaterowanie w hotelu i pierwszy, wieczorny spacer po ulicach Aten od placu Omonia do katedry katolickiej i do Parlamentu z piękną płaskorzeźbą umierającego hoplity na grobie nieznanego żołnierza.

Roślinność Egionu nie umiera od słonecznego żaru. Dojrzewają oliwki i figi na swych zielonych drzewach, kwitną oleandry. Tylko trawa jest mniejsza i słaba. Dusi ją ogromny kurz, gdy drogą przejedzie auto, wyniszcza słoneczny ogień. Zabija ją prawie wszędzie: na zboczach Akropolu, w Sparcie, wśród cerkiewek Mistry, na wyniosłym wzgórzu Myken, na stadionie Olimpii, na świętej drodze w Delfach. Zabija ją też w Egionie. Trawa żyje, lecz umiera. Brakuje jej wody i powietrza. Nie wystarcza jej żar słońca. Nie miał racji Anaksymander.

Nie wystarcza mi przenikająca mnie myśl o tobie, Anno Mario. Potrzebna mi, jak woda, łagodność twojej obecności, twoje słowo ukazujące drogę w bezkresie samotności. Obecność i słowo, dwa widzialne punkty wyznaczające mój los.

Myśl o tobie to swoiste widzenie ciebie. Wprost widzę cię wśród sprzętów hotelowego pokoju. Widzę twoją twarz pogodną, życzliwą, tajemniczą. Widzę twoje ręce, jak dawniej skierowane do mnie, ciebie ogarniającą moje smutki i myśli. Czuję, że obok mnie idziesz w stronę morza alejką koło basenu. Przechodzimy przez zakurzoną drogę. Jesteśmy już na kamienistej plaży. Woda jest ciepła i czysta. Jesteś więc, Anno Mario. Wypełniasz mój dzień intensywnością myślanej przeze mnie twej obecności, wnikającej we mnie jak słoneczny ogień Egionu. Myślę o tobie nie mogąc o tobie nie myśleć, zwierzam ci każdy gest. I nie ma cię realnie. Jestem drzewem oliwnym i umierającą trawą. Żyję, lecz umieram bez twej realnej obecności, niszczony poczuciem, że nie odnajdziemy się w bezkresie tylko myśli, że cię nie spotkam bez znaku obecności i słowa.

Pod ateński Akropol podjechaliśmy autokarami. Każde miasto ma swój akropol, lecz w Atenach jest on największy, najokazalszy. Sprawił to Perykles, gdy już Atena i Posejdon rozstrzygnęli spór o pierwszeństwo. Posejdon ujawniając swą moc uderzył trójzębem w szczyt góry i trysnęło źródło. Atena sprawiła, że wyrosło na szczycie góry drzewo oliwne. Ateńczycy wznieśli Posejdonowi śliczny Erechteion z kariatydami, Atenie wystawili największą w Grecji świątynię, którą zniszczyły dopiero współczesne wojny. Lecz kolumny świątyni stoją do dzisiaj, ogromne, poważne, zdumione ludzkimi konfliktami. Baszta turecka jest tu nieporozumieniem, kradzieżą sławy.

I to już wszystko na ateńskim Akropolu. Wspaniałe propileje zapowiadały więcej. Nie odebrano jednak Akropolowi majestatu i wielkości, mimo że odarto go z szaty świątyni, posągów, płaskorzeźb. Kradzież nie ujmuje godności skrzywdzonemu. To zresztą go nie dotyczy. Wielkość, majestat, godność są chwałą od wewnątrz, których nie kryją ani nie ujawniają szaty i ozdoby. Tę chwałę wyznacza niewidzialna rozumność człowieka. Ona jest racją jego wielkości, majestatu i godności.

I ciebie tak widzę, Anno Mario, w twej wielkości, majestacie i godności człowieka, którego ukochałem. Związała mnie z tobą nieodwracalna życzliwość, spajająca moje odniesienie do ciebie nieustannym wzruszeniem. Wzrusza mnie każdy

twój gest, każde poruszenie rąk i głowy, każde twoje zainteresowanie, rzeczy, które lubisz, zawartość neseseru, który zabierasz w podróż. Cieszy mnie wszystko, co ciebie cieszy, a smuci to, co sprawia ci przykrość. Zgadzam się na to, co wybierasz. Chcę tego, czego pragniesz. Byłbym nieszczęśliwy, gdybyś nie miała tego, co zdecydowały twoje marzenia. Chcę nawet tego, abyś była z tym kimś, kogo kochasz. Chcę, aby miłość przyniosła ci radość i była twoim szczęściem. Cierpiałbym, gdyby moja obecność zakłócała twoją tęsknotę, kierowaną nie do mnie. I umieram z żalu, niszczony żarem myśli o tobie, pozbawiony twej obecności, jak wody, oddychający bezkresem bez powietrza, pustką w pokoju, na ścieżce w stronę morza, na plaży, nad wodą, której nie można dosięgnąć.

Popatrz, tu z Akropolu widać dokładnie całą agorę. I wspaniały Areopag. Na Areopagu św. Paweł wygłosił mowę o niewidzialnym Bogu. Nie zrozumiano jego myśli, nie uwierzono jego świadectwu. Jak to się dzieje, że ktoś nie może uwierzyć? Z jakich schematów i zniekształceń musiałby wyjść, aby rozpoznać prawdę i przyjąć ją jako regułę życia? Jak trzeba świadczyć o prawdzie, aby ją zrozumiano i podjęto?

Tak mówiłem, tak patrzyłem na Areopag. Tak mówiłbym, tak zwiedzałbym Ateny, gdyby obok mnie była twoja skupiona uwaga, twoja refleksja, twój intelekt. A ich realna obecność może dalej i głębiej kierowałyby moje myślenie. Rzeczy, bowiem, to wszystko, co ludzie wytworzyli, budowle Akropolu i całej Grecji, są tylko znakiem myśli, jej zapisem, kierującym do ludzi, którzy wielkość, majestat i godność człowieka ujawnili w swych dziełach. I poprzez te dzieła na nowo odkrywam wielkość, majestat i godność dziś żyjących ludzi, uwikłanych w drobiazgi codzienności, nakładających intelektowi szaty i ozdoby zamiast ułatwiać mu nabywanie i wyrażanie dostępnej ludziom mądrości. Poprzez te dzieła odkrywam drogę do twojej myśli, Anno Mario, do twojej refleksji, skupionej uwagi, do twego intelektu, i w nich rozpoznaję wielkość, majestat i godność rozumności człowieka. Właśnie człowieka, dlatego że jest człowiekiem, właśnie ciebie, gdyż kochając cię widzę cię w całym twym człowieczeństwie.

Brakuje mi ciebie przy zwiedzaniu Grecji, gdyż brakuje mi w tak pełny sposób ujmowanego człowieka, bliskiego, rozumiejącego, ukochanego, poprzez którego martwe dzieła pozwalają w sobie odczytać ludzką rozumność i miłość, radość i

cierpienie, sens tragedii wyzwalającej życie ludzkie z drobiazgów w kierunku tego, co istotne, aby być człowiekiem w jego właśnie wielkości, majestacie i godności.

Więc jak to się, stało, że nie jesteśmy razem, że nie odczytuję Grecji w kontakcie z twoją refleksją, z twoim intelektem i sercem, w twojej łagodności i w twoim słowie? Mój los teraz to umierający hoplita, usychająca trawa Grecji. Żyję, widzę, doznaję, lecz: umieram pozbawiony twej obecności i twego słowa, boleśnie przenikany jak ogniem myślą o tobie.

Ateński Akropol, agora z Areopagiem, świątynia Dzeusa, teatr u stóp Akropolu, a wieczorem także u stóp Akropolu grecki śpiew, muzyka i taniec na Plaka. Jest to stare miasto, uliczki na zboczach wzgórza, piętrzące się nad sobą domy, kawiarenki w kwiatach, placyki pod drzewami, otwarte sklepy z pamiątkami. Stroma uliczka pnie się w górę, po obu jej stronach placyki z kawiarnianymi stolikami, kilka miejsc. Wyżej już inna grupa osób, inne kolory i napoje. Dalej placyk szerszy, więcej stolików, pnące wino, w środku ogromne drzewo, chroniące przed słońcem lub oddzielające od gwiazd płaską koroną. Wybieramy stolik. Przed nami porywająca muzyka, trzech gitar, organów i perkusji, komponujący się z nią głos kolejnych śpiewaków, wymienianych zespołem dwu lub trzech tańczących Greków. Kolory, rytm muzyki i tańca, białe wino i krewetki, tworzony tym wszystkim szalony obraz nastroju Grecji, jej nocy, jej żaru zastępującego teraz słońce. Noc grecka w lipcu nie jest chłodniejsza niż dzień. Nie ma tylko słońca, które zaborczo ogarnia całego człowieka, jego psychikę, ciało, myśl. Nocą w Atenach na Plaka żar rytmu, śpiewu, tańca, nastroju, zastępuje słońce. Pochłania, porywa, ogarnia, jak woda, słońce, powietrze.

Lecz wtedy właśnie dostrzegłem ze zdumieniem i rozpaczą, że nie siedzisz obok mnie wśród kwiatów, która zdobisz kwiaty myślą. Grecki śpiew, muzyka i taniec na Plaka stały się tylko greckie. Nie wzbogaciła ich słoneczność i żar twej myśli. Nie stały się moje, nasze, wspólne nam i Grecji, wspólne światu. W szalony obraz nastroju Grecji, jej nocy i jej żaru, wkomponował się motyw mojej równie szalonej tęsknoty, nieobecności twojej myśli, twojego ciała, twojej psychiki. Kocham do bólu twoją myśl, twoje ciało, twoją psychikę, tęsknię do słów, którymi mobilizujesz moją refleksję ujawniając wciąż wymiar rozumności człowieka, tęsknię do wyrazu twej twarzy, do ruchu rąk, do łagodności twej psychiki, tak troskliwie ogarniającej moje przeżycia.

Stałyby się one częścią nastroju Grecji, gdybyś podała mi go w swoim przeżyciu i gdybym przez twoje przeżycie wniósł ten nastrój w obraz nocy i żaru Aten.

A może zawiodła nas tęsknota. Czy to zresztą możliwe, aby zawiodła tęsknota? Gdy dana mi była twoja obecność, nie wiedziałem, że tęsknota boli. Zresztą wiedziałem. Gdy nie było cię dzień w bezpośrednim zasięgu wzroku, już pojawiał się niepokój. Po dwu dniach szukałem cię. Po trzech dniach płakałem, tylko płakałem. Czwartego dnia czekałem przy drzwiach twojego domu na moment, w którym otworzysz drzwi, a ja wejdę w słoneczność twej psychiki, podjęty słowem i dłonią łagodnie przenoszącą w sens życia. I może zmylił mnie spokój, płynący z twej obecności w dniach, gdy decydował się wyjazd. Teraz, któregoś z rzędu dnia w Grecji jest tylko tęsknota.

A może nie ma w tobie tej tęsknoty, która boi się rozstania. Czy to zresztą możliwe, abyś nie tęskniła do mojej miłości, skoro miłość jest domem, miejscem, właściwym środowiskiem człowieka? Jest we mnie domem zawsze dla ciebie otwartym, a gdy cię: nie ma, pustym i zimnym.

A może zawiodła nas delikatność, tak cenna w codziennych relacjach i tak zawodna, gdy podejmuje się decyzje. Wiedziałem, że muszę z tobą zwiedzać Grecję i nie miałem siły nalegać, abyś ze mną tu była.

Teraz przenika mnie, jak greckie słońce, żar myśli o tobie, wysusza, zabija. Umieram tu i żyję jak trawa na drogach Egionu. Potrzebna mi, jak woda, łagodność twojej obecności, twoje słowo, twój intelekt, twoja psychika, twoje dłonie, patrzenie na ciebie w, pokoju hotelu „Posejdon", na alejce, prowadzącej nad morze, w cieniu drzew oliwnych, obok oleandrów, nad wodami Zatoki Korynckiej w spokojnym Egion bez ciebie. Jestem tu sam, bez ciebie. Nie znalazłem Grecji. Nie znajduję ciebie. Jest tylko nieobecność.

2) WYSPY I PIĘKNO

Z hotelu w Atenach wyjechaliśmy autokarem do Pireusu. Tu wejście na statek spacerowy i podróż do trzech wysp: Egina, Poros, Hydra. Odbijamy od brzegu, oddalamy się od lądu. Rozstanie z Atenami, aby obejrzeć inne piękno. Rozstanie z tobą,

Anno Mario, aby zetknąć się z pięknem Grecji. Jak przetrwać podróż, jak przetrwać rozstanie?

Dlaczego pociąga nas wciąż inne piękno? Dlaczego wyjechałem z Aten spod pięknego Akropolu? Dlaczego rozstałem się z tobą na długie dwa tygodnie bez ciebie, mimo że planowałem i chciałem wyjechać z tobą. Czy potrzeba spotkania piękna Grecji była mocniejsza niż potrzeba przebywania z tobą? Czy dla piękna wyjechałem, gdy nasza wspólna podroż nie była możliwa? Pragnę piękna, pociąga mnie piękno, ale bardziej pragnę twojej obecności. I nie mam jej. Dane mi jest piękno Akropolu, teraz morza.

Piękno, nie zaprzyjaźnione z nami, jest zimne i groźne. Zimne i groźne jest piękno morza. Piękno ma moc przywoływania, nie ma mocy spełnienia tęsknot. Dotyczy to także ludzi. Piękno ludzi kieruje do nich, lecz nie zaprzyjaźnia. Dopiero miłość przystosowuje, zaprzyjaźnia i poza pięknem spełnia tęsknotę do obecności. Piękno obecnej przy nas osoby zaprzyjaźnia się z nami w taki sposób, że po prostu przestaje być zimne i groźne. A raczej w obszarze osoby traci pozycję odrębnej siły: służy człowiekowi, a nie podbija go.

Nie rozumiem, dlaczego Platon radził w dialogu *Uczta* minąć człowieka, jego ciało, jego duszę, jego myśl, z kolei, ciała, dusze i myśli wszystkich ludzi, i dążyć do ujęcia piękna samego w sobie, tylko piękna. Jest ono przecież wtedy zimne i groźne. Pociąga nas i właśnie podbija. Jest bezlitosne.

Tylko w człowieku, tylko w tobie, Anno Mario, w łagodności twych odniesień, piękno jest ozdobą spotkania. Poza człowiekiem, poza tobą jest zimnym i groźnym morzem.

Dopływamy do Eginy, do zamglonej góry. Duże łodzie dowożą nas do brzegu. Miasteczko z kolorowymi sklepami, zacienione placyki kawiarni. Wyrabia się tu, maluje, wypala i sprzedaje greckie amfory. Ruchliwy potok turystów. Na zboczach wyspy krzewy, wyżej skała.

Poros to półkole gór. Znowu duże łodzie, brzeg wyspy, miasto - port, uliczki, sklepy, gwar, turyści. Wystarczy podnieść głowę, aby zobaczyć górskie szczyty wyspy.

Najpiękniejszą jest Hydra. Wyraźny rysunek wysokiej skały, krzewy na zboczach i holenderski wiatrak, półkole miasteczka, białe domy, eleganckie sklepy, cerkiewka.

Przybyłem na te wyspy nie dlatego, że potrzeba spotkania piękna Grecji była we mnie mocniejsza niż potrzeba przebywania z tobą. Może raczej ukryłem w tej podróży bezradność wobec ciebie. Umieram bez ciebie, duszę się w samotności, więc kieruję się do piękna, aby nim oddychać. Oddycham, tylko oddycham. Nie umieram i tylko żyję. Żyję, lecz umieram. Pięknem nie można żyć. Można nim właśnie tylko oddychać. Oddychanie jednak nie wystarcza, aby żyć. Potrzebna jest miłość. Jestem nią przeniknięty, jak ogniem słońca jest w Grecji przeniknięte wszystko. I tylko pragnę, abyś była napromieniowującym mnie słońcem i wodą, i powietrzem. W tobie piękno i słońce, woda i powietrze stają się celowe. Piękno przestaje, być zimne i groźne, przestaje podbijać. Zaczyna służyć dobru spotkania.

Piękno morza jest swoiście zazdrosne. Pomogło w spotkaniu wysp greckich, lecz ich brzegi uczyniło czymś szarym, niepotrzebnym w barwnej całości wyspy. Jawi swój błękit; lecz brutalnie wdziera się na pokład, jakby przypominając o swej obecności lub domagając się uwagi, podziwu, zachwytu. Ukazuje swą siłę, swą moc zagarnięcia człowieka. Owszem, widzę tę siłę, jej moc, błękit, piękno. Boję się jednak tego zagarnięcia przez wodę, która chce objąć do końca, oddzielić od słońca i powietrza. Morze chce przekroczyć odległość między wodą i człowiekiem. Szarpie statkiem, odsuwa go od nas spadając niebieskim deszczem na speszone oczy.

A może to nie jest zazdrość i ukazywanie siły. Może to tylko gwałtowna tęsknota, jak wtedy, gdy czekam przy drzwiach twojego domu na moment, w którym otworzysz drzwi, a ja wejdę w słoneczność twej psychiki. Ogromna woda, pokonana lądem, wyniosłą niezależnością wyspy, tęskniąc czeka na moment, w którym człowiek otworzy ramiona i przygarnie jej samotność.

Może woda i jej samotność, jej brutalna moc, wdzieranie się na pokład, aby manifestowaną siłą zagarnąć człowieka, może to tylko bezsilność. Może tęsknota wody i moja tęsknota to właśnie ten ogromny żywioł, który jest tylko pięknem. Jawi się wtedy jako bezlitosna siłą, która chce podbić, zagarnąć, zdobyć, a w swej istotnej głębi jest

płaczem. Bezsilność bowiem nie różni się od płaczu. Płacz to bezsilność rąk, oczu, ciała. A bezsilność to płacz psychiki, myśli, uczuć.

Jestem bezsilny. Nie mogę wedrzeć się na pokład i porwać cię, zatrzymać na zawsze. Oddziela mnie od ciebie statek odległości, twoja nieobecność. Bezsilna jest moc mojej myśli, mojej tęsknoty. Nie dosięgają cię moje oczy, dłonie. Chwytam pustkę. Nie ty rysujesz się w moich oczach, to kształtuje się w nich deszcz płaczu. Tak zupełnie dosłownie. Muszę więc kryć oczy. Staję przed oknem obszernego salonu pod pokładem statku, patrzę na morze, na bryłę Hydry, biel jej domów, na Poros i Eginę, które kolejno przepływają przed oknem spokojne, zamglone, nieobecne, obojętne. W salonie statku wydaje się, że to właśnie płyną wyspy, że okno jest wciąż w tym samym miejscu, w środku bezsilności.

Czy jednak bezsilność jest błędem? Czy manifestowanie jej jako siły i szansy jest błędem? Czy błędem jest delikatność tak piękna w spotkaniu i przekształcająca się w niedomówienia, w niepewność przy podejmowaniu decyzji? Jaki popełniłem błąd, że nie mam twej obecności, twych rąk, oczu, twej psychiki, twej myśli, tu obok podczas spaceru na Eginę, Poros i Hydrę? Jaki popełniam błąd, że wciąż nie jest mi dana cała twoja miłość?

Od tak dawna zabiegam o twą obecność, o twoją miłość. Oczekuję ich w męce już nie licząc godzin i dni. Trwam odrętwiały w punkcie, w którym rozstaliśmy się wczoraj i patrzę w kierunku, z którego możesz nadejść.

A może błędem jest właśnie to, że nie wychodzę na inne drogi, po których chodzisz, że tylko niekiedy czekam u drzwi twego domu.

Już Pireus, wróciliśmy, wysiadamy. Autokar. Hotel. Jestem sam w hotelowym pokoju. Pokój przestronny, z oknem na wschód. Po lewej stronie... czy to ciebie widzę, Anno Mario?

3) MYKENY, KORYNT I MIŁOŚĆ

Woda wdarła się na pokład statku nie tylko w postaci deszczu padającego na speszone oczy, lecz także jako groźna siła i zagarnęła w swe odmęty człowieka: ze skał i dolin Grecji szalone pożądanie porwało piękną Helenę do Troi w żar i błyskawicę burzy. Agamemnon, brat Menelaosa, męża Heleny, stanął na czele armii. W walce o

miłość Troja upadła. W Mykenach, również, w imię prawa do miłości, Klitajmnestra zabiła zwycięskiego Agamemnona, gdy wrócił spod Troi. Dziś nie ma już żywych Myken. Jest skała z ruinami pałacu, osłonięta półkolem kopiastych szczytów i otwarta w kierunku niższych wzgórz, z których jedno stanowi grób Agamemnona. Idzie się do grobu wyciętą w skale, jak kanał koryncki, szeroką drogą. Wchodzi się do grobu przez ogromny otwór drzwi, przez prostokąt, zwieńczony trójkątnym oknem, uzyskanym z odpowiednio ułożonych kamiennych bloków. Wnętrze grobu jest obszerną, wysoką salą o kształcie kopuły. Uczeni nie są jednak zgodni, czy ta ukryta we wzgórzu budowla jest grobem Agamemnona, czy skarbcem Myken. Błyskawice burzy zniszczyły Troję. Czas zniszczył Mykeny. Groźna siła piękna, żywiołu potężnego jak morze, zagarnęła człowieka. Zginęli ludzie, zginęły ich dzieła, gdyż w ich walce o miłość nie było miłości. Miłość bowiem wszystko przetrwa. Mykeny nie przetrwały.

Z Aten w drodze do Nafplion zwiedzaliśmy Mykeny. Przejeżdżaliśmy najpierw koło Salaminy, potem przez most nad kanałem korynckim. Zatrzymaliśmy się w starym Koryncie.

Sławny Korynt, niegdyś zamożny, kwitnący, żywy, pełny poważnych sporów, dramatów, wielkich problemów, zawiłych spraw ludzkich. Widzę je w dwu listach św. Pawła do Koryntian. Przewodnicy ukazują miejsca, gdzie mógł nauczać św. Paweł. Oglądamy też kolumny świątyni jeszcze o doryckich kapitelach. I resztki ruin, wyznaczony fundamentami domów pian miasta. Zdumiewa układ kamiennych wodociągów. Pali słońce w tym mieście kultu miłości.

Tu właśnie, temu miastu św. Paweł przesłał w swym liście hymn o miłości. Podkreślił jej ogromną wartość i doskonałość, przewyższające wszelką ludzką działalność. Stwierdził, że „miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zazdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą, szanuje wstydliwość, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego, nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Miłość nigdy nie ustaje... Trwają wiara, nadzieja, miłość; te trzy z nich zaś największa jest miłość".

Listy św. Pawła do Koryntian ukazują, ze w Koryncie przeżywano miłość niecierpliwie, gwałtownie, że wikłała się ona w zazdrość, że uważano ją za sukces, że

była przedmiotem dumy. Była uparta, dopominano się jej, walczono o nią. Wyzwalała gniew, próżność. Była przemocą, podbojem, porwaniem, zagarnięciem, bezlitosna, nieufna, zmienna, nietrwała. Czy więc to była miłość? Nie przetrwała. Nie była miłością. Czym więc była?

Była bezsilnością serca. Owszem, była bezlitosnym pięknem żaru słońca, przenikającego wszystko. Była jednak wewnętrznym popłochem. Ogień słońca, przenikający do dna wszystko, zmusza w jakimś właśnie popłochu do schronienia się w cieniu figowego drzewa, w chłodnej wodzie morza, w powietrzu innym niż to, którym trzeba oddychać. Zmusza do wyciągnięcia ramion, do ukrycia twarzy w czyichś włosach, do oddzielenia od ognia. Była więc bezsilnością serca i była siłą ciała, jego ofiarnością, pomocą zagarniętą, zdobytą, lecz pozwalającą żyć choć przez chwilę w osobnym świecie, oddalonym od wszechwładnych żywiołów. Była wytchnieniem, chwilą, niecierpliwym podbojem człowieka, odpoczynkiem przed nowym etapem ucieczki od upału. Była poszukiwaniem łagodności wody, wyznaczeniem granicy człowieka w bezkresie słonecznego żaru lub w bezkresie nocy, zacierającej rysunek rzeczy, sprowadzającej wszystko do niewidocznej jedności, do monastycznej tożsamości kosmosu, w którym światło ujawniało odrębność rzeczy i ludzi w ciągu dnia, a w nocy tę odrębność uwyraźniała miłość. Tylko światło i tylko miłość.

Ogień, woda, powietrze oraz światło i miłość to najmocniejsze, żywioły Grecji, to zarazem podstawowe kategorie jej filozofii. A ponadto dzień i noc, dwa stany kosmosu, dwie orientacje wciąż z sobą walczące: pluralizm i monizm. Pluralizm to teza o niepowtarzalności rzeczy i ludzi, o ich realnej odrębności mimo nieustannego przenikania ich przez żar słońca, ogarnięcia przez wodę lub bezkres powietrza. Monizm to teza o niewidocznej jedności, o tożsamości wszystkiego z całym kosmosem w czerni nocy, teza, że światło pozornie wyodrębniało rzeczy i ludzi, gdyż nie tworzyło ich tożsamości, że miłość pozwalała wyznaczać także pozorne granice odrębności, gdyż nie uwalniała od ognia i nocy.

Miłość była bezradna, bezsilna, niecierpliwa. Była drogą, poszukiwaniem. Platon ujrzał ją właśnie jako drogę do piękna.

Dopiero św. Paweł ukazał miłość jako wewnętrzny wymiar człowieka, to, kim jest człowiek w odniesieniu do ludzi. Miłość jest darem, a nie, bezsilną pustką. Jest

cierpliwą troską, ochroną, pomocą. Jest łagodnością, wprowadzającą w zaufanie, wiarę, dobroć. Jest służeniem komuś tym, kim jestem. Jest wybaczeniem, ustąpieniem miejsca, zauważeniem drugiego człowieka zgodnie z tym, kim on jest, z jego pozycją w kosmosie, zgodnie z prawdą. Jest pominięciem siebie, trwaniem życzliwości. Jest prośbą o dar obecności i spełnieniem daru. Jest trwaniem współobecności. Jest mocą, a nie bezsilnością serca.

A potem pojechaliśmy do Myken. Przez znaną z ilustracji bramę lwów, przez prostokąt drzwi, podobnych do ogromnego otworu, wprowadzającego do grobu Agamemnona, serpentynami przechodziliśmy przez kolejne poziomy miasta aż na szczyt wzgórza do ruin pałacu. Wyraźny zarys sali tronowej i ta sama kamienna podłoga. Po drugiej stronie przepaści półkole szczytów, chroniących przed wrogiem. Poniżej pałacu i poza kręgiem murów miasta groby królewskie. Ich zawartość można obejrzeć w muzeum w Atenach.

Byliśmy w tym muzeum. Niezliczona ilość złotych przedmiotów, mało ceramiki, której wartości dla badań historycznych nie znali odkrywcy Myken. Są najstarsze posążki ludzi jeszcze o twarzach w kształcie koła przeciętego kreską nosa. Jest siedzący muzyk, grający na jakimś instrumencie. Są naczynia o kształcie zwierząt, przeznaczone do kultu. Podobno takie same znaleziono na Krecie. Wśród tych naczyń jedno ma kształt jelenia: grzbiet i kark jelenia na tym samym poziomie linii prostej i dwa rogi z wypustkami. Coś ogromnie znajomego.

Tak, kiedyś w Biskupinie widziałem takie jelonki, główny motyw ornamentów lub ceramiki słowiańskiego grodziska. Czyżby motyw ten przywędrował nad Wisłę z Myken i Krety lub czyżby był wspólny dla tych trzech kultur: mykeńskiej, kreteńskiej, słowiańskiej z Biskupina?

A z Biskupina już blisko do ciebie, do twego serca i myśli, do twej obecności, Anno Mario. Tobie opowiadam to zdumienie, odnalezienie czegoś wspólnego w Biskupinie i Mykenach, odnalezienie ciebie. Łatwiej mi z tobą chodzić po salach muzeum, łatwiej zwiedzać Mykeny.

Odnalazłem cię kiedyś w urodzie twych odniesień do studiowanych problemów, w dociekliwości twej myśli, w ruchu rąk, w łagodnej obecności twego słowa. Zwiedzam te wydarzenia jak gabloty ateńskiego muzeum ze zdumieniem, niedowierzaniem,

smutkiem. Nie ma Myken, nie ma ciebie. Jest nieobecność i tylko ślady w gablotach i w sercu minionego szczęścia, którego nie można zatrzymać, utrwalić, doznawać. Byłaś i wciąż cię nie było. Jesteś i wciąż cię nie ma. Zabierały cię sprawy, sytuacje, ludzie. Znikał na długo ukochany rysunek twej postaci, ciepło spojrzenia, twoja pogłębiająca mnie obecność. Wracałaś, aby odejść. Wyrywały cię z zasięgu mych oczu twoje marzenia, tęsknoty. W ich spełnianiu, w ich wielości widziałaś bogactwo życia może nie pamiętając, że ilość nie wzbogaca myśli i serca. I może właśnie tak dzieląc czas i uwagę nie dostrzegłaś, że Grecja to także nowa ilość i głębia, początek tego, czym myślimy, nasza intelektualna kultura, przedmiot dociekliwości twej myśli. Może dlatego nie zwiedzamy razem Grecji.

Mój kontakt z Grecją zarysuje się w przeżyciu bez ciebie. Nigdy, już nigdy to pierwsze spotkanie Grecji nie będzie naszym wspólnym doznaniem.

Nie formułuję tu żalu do ciebie, zastrzeżeń, zarzutów. Nie mam o nic żalu. Zgadzam się na twoje wybory, marzenia, decyzje. Zapisuję smutek.

Nie ma Myken, nie ma Grecji. Są ślady piękna, miłości, szczęścia. Są ruiny w Grecji i w sercu.

I przez chwilę był Epidaurus. Ściągały tu ludzi lecznicze wody. Jest teatr najlepiej zachowany z dawnych teatrów Grecji. Scena i amfiteatr znakomicie zbudowane. To, co mówimy swym zwykłym, głosem ze środka sceny, bez wysiłku, słychać na najwyższych miejscach teatru. Niezwykła tajemnica akustyki. Skuszony jej doznaniem wypowiedziałem ze środka sceny kilka greckich zdań z przemówienia wodza przed bitwą. Łatwo się mówi, głos jest doniosły i dźwięczny. Jakże brakuje tego w naszych aulach, gdy przemawiamy.

Mówię, opowiadam ci Grecję. Nie słyszysz. Zawodzi akustyka serca. Czasem słyszysz słowa, lecz podanej treści nie wiążesz z prawdą. Słusznie przestrzegał św. Paweł, aby radość miłości wiązać z prawdą. Czy to możliwe, abyś nie dostrzegła prawdy w mojej miłości? Może to nie miłość nas zawiodła, lecz zawiodło nas przeżycie prawdy. Nie uwierzyłaś mojej miłości. Jej prawdy nie szukasz w moim sercu. Moja niepojęta miłość stała się cierpieniem.

Cała miłość Grecji była cierpieniem. Przecież nie potępił jej św. Paweł. Leczył ją, ukazywał jej drogi do niej samej, do prawdy, która czyni miłość chwałą człowieka.

4) NAFPLION, SPARTA I CODZIENNOŚĆ

Samolot, klimatyzowane autokary, hoteliki z dwuosobowymi pokojami o jasnych barwach, zacienione, wygodne, sklepy z pamiątkami, niezliczona ilość posążków Seilenosa, greckie hafty i krój damskich sukien, kolorowe bary lub ustawione w cieniu drzew stoliki, kawa po grecku, zachodnie napoje o smaku, który lubię, zawsze woda zimna, orzeźwiająca, wino z Koryntu, winogrona, arbuzy. Nie ma moich ulubionych, pieczonych na rożnie z ziołami baranich jelit. Są krewetki w barach. Są w sklepach śliczne wazoniki z opalu, są greckie, chłodne koszule, ozdobne, przyjemne. To właśnie codzienność turysty. Pijemy wodę, podaną do kawy po grecku, jadamy grecką sałatę z pomidorów, ogórków, oliwek, gorzkiego sera. Oglądamy góry, morze, doznajemy żaru słońca. To codzienność turysty.

Nie wiem, jaka jest codzienność Grecji. Wiem, jaka jest codzienność turysty i tych Greków oraz instytucji, które się nami. zajmują. Grecy nie patrzą na ruiny świątyń i miast z zadumą i wzruszeniem. Dziwactwo zwiedzania, skoro chcą tego turyście czynią okazją utargu, sprawnie, szybko, uprzejmie i bezwzględnie.

Lecz w Nafplion, do którego przybyliśmy na nocleg po zwiedzeniu Koryntu, Myken i Epidaurusu, by z kolei rano pojechać do Sparty, był wieczór. Nafplion, przez jakiś czas kiedyś stolica Grecji, współczesne miasto i port morski, jest wieczorem uroczy. Najpierw w hotelu dwuosobowy pokój o jasnych barwach, kolacja pod gołym niebem na betonie przybrzeża, lekki zmrok, szum morza. Sałatka bez sera i oliwek, gołąbki z ryżu w liściach winogron, ryba z frytkami, brzoskwinie, codzienne wino o smaku dębowej beczki, podobno właśnie typowo greckie. I spacer.

Szeroki pas przybrzeża i wbiegające w morze krótkie molo. Po stronie lądu światła sklepów, wszystkie rzeczy, których szuka turysta. I widokówki. I kawa po grecku. I niezliczona ilość stolików z krzesłami, hamakami, odpoczywającymi gośćmi. Spacerują greckie małżeństwa z tłumem dzieci, jedzą wielodaniowe kolacje patrząc na morze, nie reagując na wciskających się wszędzie turystów. Przywykli do przenikającego ich wciąż żaru słońca, nie dziwi ich więc wnikanie turystów w każdy wolny skrawek przybrzeża. Czasem jakieś oczy wyodrębnią nas na chwilę z mroku i bezimiennego tłumu, lecz już znowu jest się niewidzialnym elementem nocy,

momentem ruchu falującego tłumu między gwiazdami i morzem na obszernym, zatłoczonym przybrzeżu.

Wtedy właśnie, w tej. anonimowości nocy tak bardzo byłaś potrzebna, Anno Mario, bym mógł wyodrębnić własną myśl z bezkresu samotności.

A w Sparcie podobnie anonimowy wieczór wśród sklepików, kawiarnianych stolików na ulicach pod drzewami, w tłumie turystów i Greków, przy kawie po grecku ze szklanką zimnej wody. I także czasem jakieś oczy wyodrębniały nas na chwilę z mroku i bezimiennego tłumu, lecz zaraz znowu zapadaliśmy w niewidzialność nocy między gwiazdami i ziemią, której gorące kamienie, zatrzymujące na długo żar słońca, polecano mi jako okład na bolący staw barkowy. Wydawało mi się, że wolałbym bliskość tych oczu, ognistych, ślicznych. Lecz nie. Nie było w nich twojej, Anno Mario, łagodności i ciszy, nadziei i wiary, tych cech, które wiąże z miłością św. Paweł! Bez nich nie ma miłości. Jest tylko cierpienie.

Spotykani Grecy pytali o zarobki w Polsce, o ceny. Tak wyrażała się ich uprzejmość. Jedynie nasza grecka przewodniczka po Peloponezie, spokojna pani o oczach Ateny, rozmawiała ze mną o greckiej rzeźbie i filozofii Platona.

W Sparcie nie ma dawnej Sparty. Żadnych budowli, żadnych ruin. Jest dolina, na której swój wojskowy rytm dnia przeżywali Spartanie. Przyjechaliśmy tu, aby przenocować, popatrzeć na góry i gwiazdy, aby być w Sparcie, w jej krajobrazie, miejscu świetności.

5) MISTRA, DELFY I POBOŻNOŚĆ

Podobnie jak Mykeny, Sparta leży w ogromnej kotlinie, otoczonej półkolem wysokich, kopiastych szczytów, otwartej na odległe, niższe szczyty. W pośrodku kotliny wyniosłe wzgórze, zabezpieczone, strome. Na takim wzgórzu były Mykeny. Sparta wybrała dolinę.

Na wyniosłym wzgórzu w pośrodku kotliny ze Spartą u stóp teraz jest Mistra, całe średniowieczne miasto, które upadło po upadku Bizancjum.

Na szczycie wzgórza ruiny zamku, niżej miasto z resztkami domów i zachowanymi, małymi cerkiewkami o wnętrzach nie większych niż mój pokój w M4 na Jelonkach w Warszawie, lecz wnętrze cerkiewek to zachwycający świat fresków w

kolorach duszy i filozofii. I w każdej prawie cerkiewce na którejś ze ścian bliżej niszy prezbiterium znajomy, bliski, patrzący z fresku niebieskozłotymi oczami z przyjaźnią i wyrazem, który mówi: „jestem, więc możliwe są spotkania", wzruszający Michał Archanioł. Czuję dla niego wdzięczność za tę obecność tak wierną, wszędzie dostępną, łagodną, oddzielającą mieczem i skrzydłami od męki smutku, tęsknoty, samotności, od zmęczenia podróżą i twoją wciąż nieobecnością tu obok, Anno Mario, gdy patrzę i myślę nie mogąc twemu słowu zwierzyć swego przeżycia.

Jest cerkiewka prześliczna w swej architekturze i freskach, Mitropolis, w której cesarz Konstantyn Paleolog, ostatni cesarz Bizancjum zdobytego przez Turków, koronował się uroczyście w drodze do Konstantynopola.

Po przejściu bramy Mistry idziemy serpentynami od cerkiewki do cerkiewki, od jednego zacienionego miejsca do drugiego, od drzewa do drzewa, w skwarze popołudnia, w ogniu słońca. Przy serpentynach, na zboczach wzgórza, umierająca trawa i wciąż jeszcze żywa.

Znowu cerkiewka i piękny zespół klasztorny. Cerkiew przylega do zbocza góry, przed wejściem szerszy plac, oddzielony od przepaści podłużnym murem — domem o kilku celach. Do każdej wchodzi się z zewnątrz. Mieszka tu sześć zakonnic prawosławnych. Jedna z nich w czarnej sukni i w czarnej chuście na głowie, spokojna i pogodna, podaje wodę do picia. Kilka postaci w białych fartuchach konserwuje freski. Malowali je, zresztą w wielu cerkwiach Mistry, głównie mistrzowie z bizantyńskiego dworu Paleologów. Są i freski późniejsze. Na tych późniejszych jest także obecny Michał Archanioł.

Wiele innych cerkiewek. Dlaczego jest ich tak dużo? Czy każda z nich jest architektonicznym zapisem wybranej teorii teologicznej jak katedra w Akwizgranie lub kościół w Nowej Hucie, tak wyraźnie samą budową kościoła ukazujące akcentowane rozumienie prawd wiary? A może chodziło o to, aby także cerkiewka była w zasięgu oczu, bliżej niż zmęczenie, z freskami, których kolory i treści wyrażały i tworzyły sens życia jej mecenasów.

Nie wiem. Wiem tylko, że wszystkim tym dla mnie ty jesteś, Anno Mario: domem mojej myśli. Znajduję tam Boga, twoje serce, drogę do ludzi. Tam tworzy się

moje życie, trwa i wzrasta. Go stanie się ze mną teraz, zawsze, gdy jestem poza tym domem, bez ciebie w Grecji, w życiu?

Dla chrześcijan ich domem jest Bóg-Chrystus, który stając się człowiekiem właśnie człowieka uczynił miejscem i domem spotkania i obecności Boga. Jesteśmy więc z tej racji zarazem „świątynią Boga". Jest nią głównie Chrystus, lecz przecież stanowimy Jego mistyczne ciało. Chrystus wobec tego jest tam, gdzie ty jesteś, Anno Mario. Może także z tego względu, aby trwała miłość, właściwe środowisko Boga i każdego człowieka, szukam cię i usiłuję zatrzymać, mój dom, miejsce spotkania Boga i ludzi. Bez twej obecności, bez twej miłości, jestem poza domem, w pustce, w bezkresie tylko myśli.

Pytałaś kiedyś, czy relacje człowieka z Bogiem są powiązaniem człowieka z Bogiem jako bytem, czy z Bogiem jako Trójcą Osób, stanowiących jednego Boga. To ważne pytanie. Odnosząc się do jednego i jedynego Boga odnosimy się zarazem do Trójcy Osób, z których każda jest tym samym, zawsze jednym, Trójosobowym Bogiem. Wszystko, co dzieje się w Bogu, jest tym, kim jest Bóg. To tylko w nas, to, co w nas się dzieje, jest wtórne, przypadłościowe w stosunku do bytowego tworzywa, z którego jesteśmy. Cała natomiast bytowa zawartość Boga jest Bogiem. Bóg bowiem nie ma własności, przypadłości, czegoś w sobie wtórnego. Bóg Ojciec rodzi Syna, który jest wobec tego równym Ojcu Bogiem. Od Ojca i Syna pochodzi Duch Święty, który jest Bogiem równym Ojcu i Synowi. Ta sama bytowa pozycja, równość i jedyność, to samo istnienie, lecz zarazem współprzenikanie się Osób Boskich. Bóg Ojciec nie jest Synem i Duchem Świętym, Syn nie jest Ojcem i Duchem, Duch Święty nie jest Ojcem i Synem, są jednak jednym i jedynym Bogiem w Trójcy Osób. W naszym natomiast przeżyciu relacji z Bogiem inaczej nas kształtuje odniesienie do Boga jako bytu i inaczej odniesienie do Trzech Osób Boskich. Nie wystarczy powiązanie z Bogiem jako bytem, gdyż zbawia nas Syn Boży posłany przez Ojca, a uświęca Duch Święty, posłany przez Ojca i Syna, aby — będąc wzajemną miłością Ojca i Syna tworzyć w nas miłość, gdy uwierzymy Bogu i ukochamy Chrystusa. Gdy się to stanie, przychodzi do nas Trójca Święta i w nas przebywa. Człowiek odnosząc się do Boga, wiąże się innym zespołem realnych relacji z Bogiem Ojcem, Bogiem Synem i Bogiem Duchem Świętym. I wszystkie te relacje nas zbawiają.

Tej prawdzie o Bogu grozi w naszym myśleniu wyrodzenie się w deizm lub w politeizm, jeżeli oprzemy się tylko na własnym myśleniu. Obydwa te zniekształcenia były udziałem starożytnej Grecji. Filozofowie dochodzili do monoteistycznego deizmu, religią powszechnie przyjmowaną był mitologiczny politeizm. Obie te religie nie wyzwalały miłości, gdyż miłość zachodzi tylko między osobami. Nie uświęcały też i nie doskonaliły ludzi, gdyż uświęcenie i wewnętrzne udoskonalenie jest po prostu miarą miłości człowieka do Boga. Ukochanie Boga w osobie Chrystusa wprowadza do osoby ludzkiej Trójcę Świętą i zapoczątkowuje takie realne relacje człowieka z Bogiem, które są chrześcijaństwem. Śladem greckiego deizmu są teksty filozofów, śladem greckiego politeizmu są ruiny świątyń, rzeźba, literatura.

Cerkiewki Mistry są małe, pełne jednak w swym wnętrzu myśli teologicznej, opowiedzianej freskami. Świątynie greckie są ogromne w zewnętrznych rzędach swych dostojnych kolumn, nieobecnych w dzisiejszym świecie, zdumionych okaleczeniem, ludzkimi konfliktami, które były dziedziną bogów, a nie ludzi. Wydarzenia w Troi i Mykenach były przecież sprawami bogów.

Inaczej zwiedza się Mistrę, Ziemię Świętą, i inaczej Grecję. Tam wszędzie czuje się obecność żywego Chrystusa, tak jak w Asyżu, jest się w atmosferze obecności św. Franciszka. W Grecji nie ma bogów. Świątynie greckie są puste i piękne z zewnątrz. Bogowie nie docierali do wnętrza człowieka.

Z Nafplion do Sparty i Mistry, a za kilka dni przez Olimpię do Delf jechaliśmy wczesnym ranem po zboczach gór Peloponezu. Wijące się serpentyny, zaskakujący krajobraz po ostrym zakręcie, nad nami wysokie szczyty, za oknem autokaru przepaść, zaufanie do świetnego kierowcy, zieleń gór i skały, marzenie o osiągnięciu doliny, zatrzymywanie w oczach urody gór i krajobrazów, to klimat podróży.

Zanim dojechaliśmy do Mistry, był odpoczynek w drodze: kąpiel w morzu lub chłodny cień pod wysokimi piniami. Maleńka stacja kolejowa, Grecy i turyści czekający na pociąg, pod drzewami stoliki, piliśmy kawę i herbatę. Po drugiej stronie asfaltowej szosy kilka eleganckich domów kurortu w lesie i wśród oleandrów. Dwie godziny w cieniu drzew i w dobroczynnym cieple Grecji.

A zanim dojechaliśmy do Delf, przeprawialiśmy się promem przez Zatokę Koryncką koło Patras. Po samolocie, autokarach, podróży statkiem, teraz prom. I

pochwycił mnie żal, że te różne sposoby podróżowania nie są ci dane, Anno Mario. Właśnie tak bardzo lubisz podróże, słońce, wodę, a los nie ciebie, lecz mnie tym obdarował. Nie umiem, nie mogę cieszyć się tym darem. Mam poczucie, że biorę coś, co należy do ciebie, twoją własność. Źle mi w tym korzystaniu z cudzej własności bez obecności właściciela. Kierowcy precyzyjnie ustawili na promie autokary i auta, z wielką sprawnością wyprowadzili pojazdy na ląd i już jedziemy wprost do Delf.

Po lewej stronie widzę ścianę skał, odciętych od gór, co umożliwiło położenie drogi, po prawej stronie morze gorące, zamglone, leniwe. W tych ramach nasz pośpiech i wkrótce serpentyny, wprowadzające na wysoką, obszerną elipsę skał, na ogromne zbocze-półkę stromych gór Parnasu.

Najpierw Delfy — miasteczko: na zboczu góry dwie poziomo położone nad sobą ulice. Są tylko sklepy i tylko hotele. Pokój hotelowy wygodny, biały, zacieniony. Z balkonu widać niżej położoną ulicę, jej ruch i domy. Obiad na tej niższej ulicy. Restauracja-taras. Siedzę zwrócony twarzą do przepaści i wznoszącego się nad nią przepięknego szczytu górskiego, rozświetlonego słońcem. Za chwilę autokar zwozi nas z miasteczka w dół zbocza ku początkowi świętej drogi starożytnych Delf. Delfy starożytne to miejsce kultu Apollina. Tu Apollo pokonał węża Pytona. Tu pojawiła się Pytia wróżąc i kierując losem ludzi i państw. Tu zgodnie z poglądem, że ziemia jest płaska lub że stanowi wklęsłą kotlinę, pokazuje się środek ziemi, oznaczony — chronioną w muzeum — kamienną, jednometrową kopułką, przypominającą przeciętą w poprzek polską pisankę. Między źródłem, w którego wodach trzeba było się obmyć przed wysłuchaniem wróżb Pytii, a świątynią Apollina wystaje ze zbocza góry skała o kształcie dzioba korabia. Z tej skały Pytia głosiła swe wróżby, zanim zbudowano świątynię Apollina i uczyniono z wystąpień Pytii instytucję kierowania losami Grecji przez Związek Miast Greckich. Później po wróżbę Pytii szło się do pięknej świątyni Apolla długą serpentyną od źródła, świętą drogą, przy której wznoszona świątynie-wota, a zarazem skarbiec miast greckich. Zachowała się świątyńka — wotum Aten, wysmukła, zachwycająca. Wyżej na serpentynie jest świątynia Apollina, jeszcze wyżej teatr, a nad nim stadion.

Przeszedłem świętą drogę w Delfach od jej początku aż do teatru. Nie doszedłem do stadionu, gdyż — patrząc z teatru na szczyty łańcucha Parnasu i na

wijącą się u jego stóp poprzez elipsę skalnego zbocza ozdobioną budowlami serpentynę — zatrzymałem się zbyt długo we własnej refleksji zmuszony wewnętrznie domyślenia treścią kilku zdań Mickiewicza. Właśnie w świątyni Apolla, w miejscu, z którego głosiła swe wróżby Pytia, postanowiłem uznać za wróżbę pierwszą myśl, która mi się skojarzy. Skojarzyły się, uderzyły swą bolesną siłą i porwały w mękę słowa: „tęsknię po tobie". I musiałem już bezgłośnie powtarzać: „ty jesteś jak zdrowie, ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie. Panno święta, co... bronisz..., przenoś moją duszę utęsknioną".

Do kogo tęsknię, komu opowiadam ból tej nieobecnością kim jesteś, Anno Mario?

Czy to Ty, Boże ciemnej nocy miłości, niedostępny doznaniom, psychiki, wciąż odległy, zasłonięty obłokiem wiary, przybrałeś imię Anny Marii?

Czy to ty, cały świecie moich pragnień i myśli o kształcie filozofii i teologii, pozostawiony w recepcji odbiorców moich wykładów w Uczelni, w kościołach, na zjazdach i sesjach, masz postać nieobecnej Anny Marii?

Czy to ty, nadziejo, że radość i szczęście, upragnione spotkania, i obecności, będą mi jeszcze dane, zagubionemu na ogromnym zboczu Parnasu, czy to ty jesteś Anną Marią?

Czy to ty, Grecjo, której nie mogę odnaleźć, utożsamiłaś się z Anną Marią?

Czy to ty, ta jedyna nieobecności najżyczliwszych dłoni i uśmiechu powodujesz tak niszczące osamotnienie, ty Anno Mario?

Zatrzymałem się na świętej drodze w Delfach, jak kiedyś w Jerozolimie na drodze krzyżowej Chrystusa przy stacji przybicia do krzyża. Jest to dla mnie zawsze stacja umierania obecności tego, co bliskie, widzialne, z tego świata, tego, co powinienem był zrobić, uzyskać, ochronić, ulepszyć, zatrzymać, zaskarbić, kres wytrzymałości, granica działań już nie oczekiwanych, niepotrzebnych, pielgrzymką nadziei w kierunku daru, o który prośbą są tylko straty, wszystkie nieudane działania, ostateczne osamotnienie psychiki.

Idę drogą krzyżową Chrystusa, idę świętą drogą Delf, szlakami ludzkiej pielgrzymki ku nadziei.

Zaskakuje i zdumiewa to od wieków pielgrzymowanie ludzi ku Bogu. Pielgrzymujący Grecy szli po światło do Apollina, po wiedzę o trudnym losie miłości. Pielgrzymujący chrześcijanie wciąż idą po światło i umocnienie do świętych miejsc Palestyny, swoich krajów i miast. Nie wystarcza droga myśli. Pragnie się spotkania, obecności w widzialnym znaku kościoła lub greckiej świątyni, cudownego obrazu lub rzeźby, objawionego słowa Boga lub słów wyroczni, po obmycie wodą chrztu lub wodą ze źródeł Delf. Jakże właśnie zaskakuje ta potrzeba sakramentu, znaku, który oznacza obecność i ją sprawia. Jakże bardzo jest człowiekowi potrzebna obecność Boga, tego, co wybrał, nadziei i ciebie, Anno Mario, gdyż właśnie człowiek jest drogą do Boga i znakiem Jego obecności.

Nie ma Cię, Boże, w zasięgu rąk i oczu, w zasięgu mojego lęku, gdyż nie ma tu Anny Marii, która, jak każdy człowiek, jest znakiem Twej we mnie obecności, znakiem nadziei i pokoju. Jestem sam na krzyżowej drodze tęsknoty i na świętej drodze Delf, drodze ludzi pielgrzymujących ku nadziei.

Mylił Greków politeizm, lecz nie myliła ich nadzieja. Mit o bogach wciąż szukających kontaktu z ludźmi, mit o Dzeusie ofiarowującym ludziom miłość w korynckim modelu spotkań, to zniekształcona prawda o nieutracalnie kochającym nas, prawdziwym Bogu w świadectwie i osobie Chrystusa.

Nie rozumiem współczesnego religioznawstwa, które porównując religie, mity, wierzenia, kulty, ustalając ich podobieństwa i zależności, sprowadza prawdę o Bogu do tych podobieństw i zależności, rozprasza ją, gubi. Przecież właśnie w tych mitach, wierzeniach i kultach, w pielgrzymkach po świętej drodze w Delfach, po drodze krzyżowej w Jerozolimie, w obrazie Prometeusza, Hermesa, Dzeusa, Apollina, w świadectwie Chrystusa i apostołów, jaśnieje prawda o nadziei i o jej spełnieniu w ogarniającej ludzi, miłości, każdemu z nas darowanej przez Boga. A porównując teksty święte różnych religii, nie rozumiem zamknięcia oczu na głębię i przewyższającą wszystkie inne teksty treść Ewangelii, na jej teologiczną powagę i prawdziwość. Wiem jedno, że nieuprzedzony teolog, badający spokojnie dzieje religii w ich przedmiocie, a nie funkcjonowaniu, nie może nie dostrzec wyjątkowości chrześcijaństwa, gdy, oczywiście, umie odróżniać ujęcie od tego, co realne, to, co nieistotne, od tego, co prawdziwe. I gdy, jak uczył św. Paweł, umie wiązać miłość z prawdą.

6) OLIMPIA I DZIELNOŚĆ

W moim przeżywaniu Grecji była między Mistrą a Delfami spokojna Olimpia.

Najpierw serpentyny i góry wczesnym przedpołudniem, długie pokonywanie doliny, ciasne miasteczko, przez ulice którego, wąziutkie i o ostrych zakrętach, z niebywałą zręcznością i talentem przeprowadził nasz autokar grecki kierowca, nagrodzony oklaskami za tę jazdę. Potem początek delty dwu rzek, jakieś wzgórze, wyłaniający się dom, gdy minęliśmy szczyt wzgórza i już zatrzymaliśmy się na przeciwległym zboczu wzgórza w środku miejscowości Olimpia. Staliśmy przed hotelem. Zajęcie pokoi, obiad, zejście po zboczu w dół uliczkami pełnymi sklepów na teren kawiarni na ulicy, na teren także sklepów i drzew o płaskich koronach, zejście w cień i odpoczynek. Pamiątki, widokówki i wyjazd sprzed hotelu na tereny olimpiad.

Weszliśmy mijając gimnazjon i kierując się ku świątyni Hery oraz w stronę stadionu. Po obejrzeniu stadionu zatrzymaliśmy się na olbrzymich ruinach i powalonych przez trzęsienia ziemi kolumnach świątyni Dzeusa. Potem Leonidajon — starożytny hotel dla gości igrzysk, pracownia Fidiasza, dziedziniec gimnazjonu. Tu uczestnicy olimpiad przygotowywali się do wystąpień na stadionie, aby w zapasach, biegach, rzucie dyskiem, ukazać swą dzielność.

Dla Greków dzielność była tym, co dzisiaj nazywamy sprawnością lub cnotą. Był to więc hart ducha, wytrwałość i umiejętność, a zarazem wola zwycięstwa. Nie było to tylko wyćwiczenie ciała. Była to w świętym okręgu Olimpii czynność ujawniania mocy i doskonałości człowieka, czynność wstrzymująca wojny, wypełniająca chwałą człowieka okres pokoju, tego pokoju, który jest konsekwencją mądrości.

Wzruszający stadion olimpijski, pierwszy w dziejach gromadzący zawodników ze wszystkich miast Grecji. Wchodzi się na stadion z terenu świątyń zachowaną bramą i kilkumetrowym tunelem. Stadion to prostokąt o dwu długich bokach i dwu krótkich w kształcie półkola, wnętrze czary z zielonego opalu. Brzegi stadionu, wznoszące się w górę łagodnym zboczem, są bowiem porośnięte trawą. Wprost na trawie siedzący widzowie obserwowali zmagania zawodników. W pośrodku dłuższych boków stadionu po jednej stronie marmurowe miejsce dla sędziów, po drugiej — miejsce dla kapłanki świętego okręgu Olimpii. Zmagania ujawniały dzielność człowieka. Zwycięzcę

wieńczono gałązką oliwną. Moc, doskonałość i chwała człowieka były treścią dni pokoju.

Stadion, jak gdyby wciąż ten sam, zielony, żywy, oczekujący widzów i zawodników. Tylko świątynie, skarbce i posągi są w gruzach. Przewrócone kolumny, które rozpadły się na stanowiące je części, są ułożonym na stole świata wężykiem — opartych o siebie brzegami — ogromnych, bezwartościowych monet. Stoją wysokie ściany pracowni Fidiasza, ściany i kolumny kwadratu gimnazjonu, jak gdyby czas nie mógł tu pokonać pracy i młodości.

Praca i młodość dawały w wyniku dzielność, manifestowaną na stadionie Olimpii. I może właśnie tylko tu, w Olimpii, wyraźniej niż w ruinach innych miast Grecji, jawi się człowiek i misterium zachwycania ludzi dzielnością duszy, wprowadzającej ciało w chwałę doskonałości, tworzącej pokój pracą i młodością, która, aby manifestować dzielność, musi istnieć, trwać bez wojen i konfliktów w zmaganiu o cele wyższe niż wszystkie inne, gdyż będące samym życiem i doskonalącą się młodością.

Może pokój zawsze jest dominacją młodości, a wojny są starczym i zdziecinniałym użyciem rzeczy przeciw tej młodości, gdy starość jest zazdrosna, próżna, podstępnie i zbrodniczo niszcząca istnienie tych, z którymi nie może podjąć zmagań w zielonym opalu stadionu i w światłach słońca Olimpii. A może wojna jest sprzeciwem wobec dążenia ludzi do doskonałości, przekraczającej przecież czas i przestrzeń, interesy i dochody w kierunku tego, co dobre, piękne, mądre, wprost boskie dla starożytnych Greków, a dla chrześcijan — przez humanizm prowadzące do Boga. I może utrzymanie pokoju wymaga, jak kiedyś w Olimpii, przejścia ludzi aż w te rejony: w rejon dobra, piękna i mądrości, wyznaczonych istnieniem, dobrem i prawdą, w rejon miłości ludzi i Boga.

A potem przez Delfy pojechaliśmy do Egionu.

7) TYLKO EGION

Tylko ty, Anno Mario, nieobecna, przywoływana moją tęsknotą, jesteś w moim hotelowym pokoju. Teraz właśnie weszłaś pełna słońca, przyniesionego z plaży w Egion. Rozradowana pływaniem w morzu, wypoczęta w tym fizycznym zmęczeniu

opowiadasz moim zachwyconym oczom kolor swej twarzy, jedwab ramion, całą radość dłoni. Morze było wzburzone, lecz ciepłe. Kamienista plaża paliła stopy, słońce przenikało aż do serca. Wszystko to jest w twym opowiadaniu jaśniejącym darem popołudnia. Jakże gorący jest ten dar, tworzący szczęście. Otrzymuję go z twoich rąk. Twoim dłoniom zawdzięczam wzruszenie, największe, jakie można przeżyć.

Popołudniowa kawa. Nasz dwuosobowy pokój oddzielają od słońca zielone zasłony. Nie zagraża nam greckie słońce ani woda Zatoki Korynckiej. Jest tylko powietrze, coś wspólnego, łączącego nas w bezkresie myśli. Opowiadasz o zmaganiu z morzem, o uchyleniu potęgi słońca w wodzie i w cieniu drzew lub pod dachami hotelu na przewiewnym tarasie. Błogosławione jest powietrze Grecji bez słońca i wody. Błogosławiona jest łagodność popołudnia.

Za chwilę kolacja: sałatka z pomidorów, ogórków i oliwek, zupa jarzynowa z gwiazdkami makaronu, szaszłyk barani z ryżem, wino, lody. Nie mogę jeść, gdyż ty nie jesz. Dlaczego nie jesz, nieobecna Anno Mario, przywoływana bólem mojej tęsknoty, będziesz głodna.

Pójdziemy więc wieczorem na spacer, na jedyną drogę Egionu wzdłuż morza. Zatrzymamy się w jednej z trzech oświetlonych kawiarni pod drzewami. Można tam posilić się rybami, szaszłykiem, sałatą z gorzkim serem i oliwkami, greckim winem. Potem powrót drogą, alejką obok basenu, do hotelu „Posejdon". Jest tu bar z napojami, ogromny hol, czasem muzyka. Można posiedzieć przed hotelem przy oleandrach patrząc na basen, trawę i gwiazdy rozwieszone na granacie nieba.

Spaceruję wzdłuż morza, piję jakiś napój w kawiarni pod drzewami lub w hotelowym barze, idę alejką obok basenu przy oleandrach, patrzę na granat nieba, wracam do hotelowego pokoju.

Jest późny wieczór, lecz właśnie pora naszych dawnych rozmów przy herbacie i muzyce. Oceniamy dzień, jego wydarzenia, które włączają się w los filozofii i teologii, prowadzą do problemu bytu, istnienia, przyczyn, na zwykłe drogi naszej refleksji. Jest cisza i wewnętrzna praca myśli, łagodność twej psychiki, dociekliwość pytań i uwag, uzyskiwanie wewnętrznego ładu, nadzieja, że jutro filozofia uzyska prostszy, jaśniejszy, trafniejszy wyraz.

I rysuje się w oczach obraz Attyki, gdy opuszczaliśmy Ateny, Argolida z Mykenami, równiny Argos, Elida ze stadionem w Olimpii, gdzieś po drodze mijana Arkadia. Zastanawia Arkadia. Są to wzgórza, doliny, zieleń i rozrywające ten spokojny obraz wysmukłe cyprysy. Tak kiedyś malował Ucello. Jeszcze spokojna, renesansowa kompozycja zwartych szeregów rycerzy na koniach i rozmywające kompozycję wysmukłe kopie lub lance, wznoszące się nad głowami rycerzy, nad ładem stonowanych kolorów. Nad ładem wzgórz, dolin, zieleni, niespokojne kopie cyprysów. Czy widzisz Arkadię i obraz Ucella? Czy widzisz to podobieństwo między Arkadią i tym, co namalował Ucello? Zastanawiał nas obraz Ucella w paryskim Luwrze, teraz zastanawia Arkadia, wspominana w Egionie.

Kochano Arkadię, była symbolem szczęścia, tęskniono do niej. Tęskniono też kiedyś „do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie dla darów Nieba". I ja tęsknię do Arkadii. Tęsknię „do kraju tego, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi". Tęsknię do ciebie.

Nie słuchasz mnie, Anno Mario, nie ma cię w mym pokoju, w późny wieczór rozmów, w Luwrze iw Egionie, przy mojej refleksji, przy mojej tęsknocie. Jest tylko tęsknota, tylko nieobecność. Nie ma Grecji. Nie ma ciebie, Anno Mario. Nie ma Grecji — domu mojej myśli. Nie ma ciebie — domu mojej miłości. Właściwie tylko ty byłaś i także cię nie ma. Nie znalazłem Grecji. Czy cię odnajdę, ciebie, Anno Mario?

3. SŁOŃCE I NICEA

Pierwszego sierpnia Paryż pustoszeje. Większość jego mieszkańców wsiada do aut i autostradą słońca udaje się na południe, głównie na Lazurowe Wybrzeże, do palm, oleandrów, morza i właśnie słońca, ogarniającego wszystkich ciasnym uściskiem upału.

Ileż samotności ujawnia pierwszy sierpnia, jakże wielką potrzebę czułości, spotkania z ciepłem, z każdym ciepłem, z darowaną każdemu, sprawiedliwie i do końca ogarniającą go życzliwością uścisku. Jakże sprawiedliwe jest słońce, bezinteresowne i wspaniałomyślne, wprost rozrzutne, gdy każdego z nas, nie wywołując zazdrości, osobno i mocno porywa w upojenie doznanym upałem: nadmiarem ciepła, które tylko raduje, jak miłość przenosząca w szczęście.

Może bojąc się tego porwania i upojenia, wielu już wcześniej porzuca autostradę słońca. Może wolą spokojną urodę Prowansji, neutralizujące w pewnym stopniu tę fascynację marzenie i tylko przeczucie spełnienia losu, bezpieczeństwo nieśmiałości. Może ujawnienie potrzeby czułości i zwykłe jej doznanie wymaga odwagi, a może jest już tak zupełną bezradnością, że ratuje nas wyciągnięcie ramion do słońca, do Boga, do człowieka. Odwaga więc czy bezradność doprowadzają nas do Lazurowego Wybrzeża? Lęk czy nieśmiałość zatrzymują w Awinionie?

Białe mury Awinionu, zamek papieży w środku miasta, przed zamkiem plac, zastawiony stolikami, znad których, pijąc kawę, patrzymy w dumne oczy zamkowego frontonu. To zapatrzenie oddziela, oddala, wywołuje marzenie: zobaczyć tu bogate zaprzęgi książąt i królów, procesję kardynałów, pióropusze wokół tiary i uniesioną dłoń papieża, który błogosławi lub wyznacza wydarzenia na sławnym moście z kaplicą, zbudowaną dla rozmów papieża z cesarzem. Zobaczyć urodę wydarzeń, od których zależały losy królestw i chrześcijaństwa. A może zobaczyć tylko tę zdumiewającą biel Awinionu w łagodnej zieleni Prowansji.

Odwaga lub bezradność kierowały nas dalej na południe.

W Paryżu, życzliwy Renault - 5 objął nas swym wnętrzem i troską foteli, uniósł z deszczu na autostradę słońca. W tłoku aut, w światłach autostrady jechaliśmy nocą przypuszczając, że unikniemy tłoku. Było luźniej od Awinionu. Jechaliśmy w kierunku Marsylii, twarzą do morza. Około południa wybraliśmy drogę w lewo, szeroką dolinę z linią asfaltu, wiodącą do Nicei. Po obu stronach drogi wzrastające coraz szybciej Alpy Nadmorskie, jeszcze jednak na swych szczytach porośnięte drzewami. I jakże znajomy krajobraz: rozpoznaję korony włoskich pinii, greckie cyprysy, kwiaty tak dawno odwiedzanej Ziemi Świętej. Te same wszędzie oleandry: z kwiatami białymi, różowymi, czerwonymi. Już Nicea, jej drobny fragment i pytanie o drogę pod liśćmi jarzębiny. Mamy zamieszkać w Utelle. Drogą, prostopadłą do morza, wdzieramy się w skały Alp. Serpentyny unoszą nas w górę, osiągamy osiemset metrów nad poziomem morza. Renault - 5 wprowadza nas odważnie w wąskie uliczki miasteczka: stu mieszkańców, domy letniskowe, kościół. Otwieramy okna i drzwi mieszkania. Wpada gwałtowne słońce, lecz ogrzewa delikatnie, łagodnie, prawie nieśmiało, ogarnia światłem i ośmiela jak matka, oczekująca od dawna przyjazdu dorosłego syna, który

tęskni do tego spotkania i nie wie, co powiedzieć. Po prostu już jestem, już tulę jej dłonie, oglądam pokazywane drobiazgi, znajome ściany, cały świat, wyznaczony tu stromymi szczytami Alp.

Wspaniałość Alp Nadmorskich. Na ich szczytach nie ma już drzew. Są niżej, są na naszym wzniesieniu, na kopule, zwieńczonej miasteczkiem Utelle i są nad wstążką serpentyny, opasującej górę jak snopek żyta, niesiony w dożynkowym pochodzie. Widzę srebro skał, granicę świata wyznaczonego szczytami, i niebo, swój jasny los: drogę w górę lub w dół. Nie jest to jednak droga do zła i dobra. Jest to droga ku innym przeznaczeniom: do słońca i do morza.

Jakże to dziwne, że słońca nie dosięgnę na szczytach, we wspinaczce, która — wynosząc wysoko — oddziela. Spotkam słońce zniżając się aż do poziomu morza, wmieszany w codzienność, zwyczajnie, jak inni ludzie, powtarzający rytuał przebywania na plaży, zagubiony w tłumie i zarazem odszukany, wyróżniony niepowtarzalnym uściskiem upału.

Słońce w Nicei jest szczodre. Poświęca mi cały swój czas, jest tylko dla mnie. Jest szalone. Ogarnia uściskiem aż do bólu. Nigdy nie zawodzi. Jest zawsze. Zawsze, gdy jestem, gdy do niego przychodzę. Służy swą pełną obecnością, gdy tylko jej zapragnę. Jakże więc jest czułe i pokorne, dobre. Jest dobre jak miłość.

A morza raczej nie rozumiem. Muszę zbliżyć się do jego ogromu i siły, aby spotkać słońce. Jest ono wprawdzie na wszystkich ulicach Nicei, niezmiennie gorące przez całe lato. Tropi tu jednak upałem, zmęczeniem. Jest dobre i czułe tylko nad morzem. Raczej więc nie rozumiem słońca.

Nie rozumiem też jednak morza w Nicei. W Grecji morze oddziela od słońca. Jest jego przeciwstawieniem, inną propozycją, ucieczką. W Nicei morze jest aspektem słońca. Jest jego delikatną dłonią, która pociesza obejmując zmęczoną głowę. Zachęca do, rytmu, ruchu, muzyki tak dziwnej w swym szumie i migotaniu fal. A słońce jest aspektem morza. Ogarnia ramionami upału, wyodrębnia, lecz nie oddziela od ludzi. Zostawia nas w naszych uwikłaniach, w codzienności rytuału opalania, na tych samych kamieniach plaży. Jest ogromem i siłą morza. Rozumiem więc tyle, że aby spotkać słońce, muszę być nad morzem i że aby doznać morza, muszę być w upalnym słońcu Nicei. Tylko tu, tylko w Nicei, nie ma konfliktu między morzem i słońcem. Tylko tu

dwa wielkie żywioły są przyjaciółmi człowieka: są ciepłem, doznaną czułością, życzliwą dłonią i uściskiem, przekreśleniem odwagi i bezradności, zupełnie tu zbytecznych, gdyż są podjęciem wyciągniętych ramion ku nadziei, ku Bogu i człowiekowi. Są obietnicą szczęścia.

Przeżycie tej obietnicy, gdy wrócę po wakacjach do domu, będzie miało kształt spokoju i pewności: tak, jest miłość, doznaję jej i nią obdarowuję, gdyż spotkałem w Nicei morze i słońce.

Spotkałem też piękno. Jest nim Nicea, zaczęta Alpami i zamknięta półkolem Zatoki Aniołów. Zatoka przekształca się w długi pas kamienistej plaży, objętej wysokim bulwarem, nazywanym Promenadą Anglików. Na brzegach promenady krzesła, parasole oddzielające od upału i zaraz droga, która prowadzi na zachód do Cannes lub na wschód do Monako i Italii. Za drogą prostokąty hoteli, dalej stare i nowe miasto z ulicami, które wśród domów prowadzą ku Alpom.

Stare Miasto przypomina Neapol, jego wąskie i ciemne uliczki, szachownicę okien, osłoniętych drewnianymi okiennicami. Przysiedliśmy na małym, trójkątnym placyku przy wystawionych stolikach tunezyjskiej restauracji: Jemy „kuskus", potrawę z kukurydzy i jarzyn łagodząc winem smak ostrych przypraw. Potem herbata z mięty i bardzo słodkie ciastka. Rozjaśnienie stołu światłem z rozsuniętej ściany restauracji i mrok placyku. Prawie cisza i tylko szmer, jak pacierz, francuskich rozmów, przerywanych angielskimi i polskimi omówieniami wydarzeń dnia.

Nowe Miasto to pałace, ruchliwy deptak, placyki i place z fontannami, parki pinii, palm i oleandrów, klomby intensywnie niebieskich i czerwonych kwiatów, wazony kwiatów i sklepy, sklepy ze wszystkim, co chciałoby się kupić. Zachęcają do tego ozdobne reklamy, które chwalą także morze i słońce.

Pięknem Nicei jest harmonia miasta, morza i słońca. Jeżeli morze jest aspektem słońca, a słońce aspektem morza, to ich wspólnym aspektem jest Nicea. Słońce czyni ją przedłużeniem rytmu morza, jego szumu i migotania fal. Tym migotaniem miasta są tłumy spacerującego brązu ciał, bukiety brązu, związanego pośrodku kolorową wstążką ubrania. Jest to słońce o kształcie ludzi, jakże pięknych w słońcu Nicei i — zresztą jak wszędzie — często tylko pięknych. Jest to jednak piękno łagodne, roześmiane, nawet

bezbronne, tylko świadczące, głównie w spokoju plaży, o sile słońca, przybierającego postać ludzi, morza i Nicei.

Usłyszałem w dzienniku telewizyjnym, że w więzieniu Irlandii umarł z głodu — protestując tym głodem — kolejny obrońca praw człowieka, zaaresztowany, gdy miał lat osiemnaście. Umierając miał lat dwadzieścia trzy. W tym wieku są moi studenci.

Dlaczego nie spacerujesz po plażach Nicei? Dlaczego, jak inni, nie stałeś się bukietem brązu, manifestującego kolor słońca? Dlaczego rytm morza i migotanie miasta dzieją się bez ciebie, zniszczonego głodem i zamknięciem, oddzieleniem od czułości, morza i słońca? Dlaczego nie mogłeś słuchać wykładów z literatury, z filozofii? Dlaczego musiałeś i wolałeś zniszczyć głodem, odrzuceniem wody i słońca bukiet brązu nigdy nie ułożony z twej twarzy, ramion, zawiązania wstążką ubrania, nigdy nie niesiony tanecznie po plażach i ulicach Nicei? Dlaczego umierają przed nami nasi studenci?

Słońce przybrało postać ludzi, morza i Nicei. Patrząc na ich migotanie, na rytm spacerów, na brązy, lazur, zieleń i czerwienie, słuchając rozbawionych słów francuskich, angielskich i polskich, i może z powodu tych angielskich, kojarzących się z Irlandią, wypatruję w tłumie oczu tych lubelskich i warszawskich studentów, którzy mi umarli. Wszystkich pamiętam, wszystkich opłakuję, a zawsze wtedy, gdy na wykładzie uda mi się ciekawie przedstawić prawdę lub gdy niosę kwiaty na ich groby, wiem, że mnie słyszą i widzą, lecz ja nie widzę ich przejęcia, akceptacji, nie słyszę ich omówień mej myśli, potwierdzeń lub sprzeciwu. Szukam więc na wykładzie oparcia w obecnych oczach, cieszę się ich rozjaśnieniem lub martwię, się ich groźnym ściemnieniem. Rozglądam się po promenadach Nicei. Nie ma też tych oczu, które zostawiłem w Warszawie, które kieruję do prawdy i którym chciałbym pokazać słońce, morze i kolory Nicei. Brakuje mi tej radości, którą byłoby dla mnie ich rozradowanie, ich nabywanie koloru słońca, współtworzenie harmonii morza, słońca i Nicei. Dlaczego moi zmarli nigdy nie doznają rytmu, kolorów i upału Nicei? Dlaczego moi żywi studenci nie widzą tego, co oglądam, nie cieszą się ze mną, nie pływają w nicejskim lazurze u stóp Nadmorskich Alp, ogarnięci słońcem, jego czułością i siłą? Piękny Ford capri niósłby ich ze mną do Monako, do Cannes, po elipsach Lazurowego Wybrzeża, pod palmami,

wśród oleandrów lub obok skał stromych i wysokich jak linia strzały wypuszczonej w niebo i nie wracającej z blasku słońca w zmrużone oczy.

Nie umiem sam doznawać piękna, sam się cieszyć, być w Paryżu, Nicei, Monako bez osób, które cenię i kocham.

Mój trzyletni Wojtusiu, synku mojego asystenta, razem z opalonymi tu swymi rówieśnikami, którzy że wzruszającym lękiem, podziwem i ufnością zawierają przyjaźń z wodą i słońcem, także ty, Tomaszku, Michałku, Karolino, Benedykcie, wszystkie, nie zawsze mi znane dzieci moich studentów, powinniście doznawać tego, co w świecie najpiękniejsze, dobre i prawdziwe. Wiem bowiem, jak głęboko, z jaką pełnią Wojtuś przezywa rozpacz i szczęście, jak zaprzyjaźnia się w nim emocja z myśleniem.

Nie chciał iść spać. Rozpłakanego przyniosły ramiona taty. Widziałem przez chwilę ogromną, autentyczną rozpacz, poczucie nie do uniesienia doznawanej krzywdy, niezrozumiałej, bez nadziei. I widziałem, jak wracało rozradowanie, uśmiech wśród łez, niedowierzanie, ufność, niebywałe szczęście w oczach, tak pełne, ogromne, jak siła morza w Nicei, jak upał słońca na Lazurowym Wybrzeżu. Te moce Nicei i Wojtusia powinny się spotkać. Są sobie równe. Nastąpiłaby harmonia, równowaga, pokój, jakże potrzebny dziecku. Widziałem też, jak Wojtuś mimo zakazu, powtarzając „przepraszam", rzucał jednak żołnierzykami. Zmagała się w nim emocja i fascynacja z budzącą się myślą, kształtowaną ładem wychowywania ku temu, co lepsze. I raz jeszcze widziałem szczęście: maleńki Wojtuś z wysokim tatą wykonujący taniec „dwa Michały". W krysztale zwilgotnienia moich oczu oczy Wojtusia i rytm wirowania szczęścia. Pamiętam też rytm morza, jego szumu, migotania fal oraz kolorów miasta i ludzi w Nicei. Patrząc na Niceę widzę radosny taniec Wojtusia. Patrząc na Wojtusia, zawsze będę widział migotanie piękna Nicei.

Wracam, wkrótce wracam do Warszawy, wdzięczny Niebu, prawdzie, dobru i pięknu, że paryscy przyjaciele zetknęli mnie ze słońcem tak smutnym w Polsce, tak radosnym na Lazurowym Wybrzeżu, ze słońcem, które tworzy jedność z morzem, z Niceą i Alpami przybierając postać bukietów brązu, palm, oleandrów, ulic, domów, ich rytmu, szumu fal i aut, rozmów i tęsknot, wzbudzonych pięknem.

W Warszawie będę tęsknił do paryskich przyjaciół. W Paryżu i Nicei tęsknię do Warszawy. Zawsze bowiem rozdziera serce brak obecności wszystkich osób, które

kochamy. I tylko Bóg, nieutracalnie obecny jak słońce w Nicei, goi rany rozstań, ciągłych rozstań. Wyleczenie ran trwa jednak długo, trwa całe nasze życie, które jest podróżą, rytmem rozstań i spotkania, poszukiwaniem tych mocy i osób, które wyrównują w nas poziom potrzeby prawdy, dobra, piękna, szczęścia.

Z Paryża więc, spotkawszy swych przyjaciół, przybyłem razem z nimi przez Awinion do Nicei, aby w kontakcie ze słońcem, z jego mocą, czułością i pięknem, umacniać wśród nas czy wręcz uprawiać filozofię. Słońce opuszczało plażę i niebo i dyskretnie, w mroku wieczoru, w postaci ludzi, zasiadało wraz z nami wokół lampy w Utelle lub na rue Pauline w środku Nicei. Wtajemniczeni rozpoznawali słońce w bukietach brązu wokół lampy. Wszyscy inni wiedzieli tylko tyle, że spontaniczna życzliwość Leszka, Marka, Artura, Ryszarda, drugiego Ryszarda i Kazimierza oraz zaradzająca wszystkiemu troska rodziców Ryszarda i Kazimierza utworzyły studio zbudowane z opieki, serdeczności, pytań i życzliwości, wręcz czułości tak naturalnej w Nicei, objawiającej słońce. W takim studio w Utelle i na rue Pauline musiała zajaśnieć filozofia, której co wieczór gorące słońce Nicei przynosiło swe bukiety.

Jest filozofia zrozumieniem słońca, morza, Nicei i człowieka, jego działań odniesionych do prawdy, dobra, piękna, tylko jednak wtedy, gdy jest wiernością istnieniu, współtworzącemu słońce, ludzi i miłość. Gdy trwamy w tym rozumieniu, gdy je uprawiamy, pogłębiamy i wyjaśniamy, dzieje się filozofia.

Gdy z pozycji tych rozumień patrzymy na ludzi i słońce, dzieje się kontemplacja: radosne zdumienie obecnością tego, co istnieje.

A sama obecność dzieje się wtedy, gdy umiemy od jej poznawania odróżnić trwanie osób, powiązanych miłością, wiarą i nadzieją, gdy umiemy trwać w tych relacjach, w „rapports personnels”.

Dana jest nam w tych wieczorach i filozofia, i kontemplacja i obecność: naturalne sposoby życia człowieka.

Może dlatego tak boli nieobecność tych, którzy nam umarli, i tych, którzy aktualnie nie są z nami. Może dlatego nigdy nie umiemy sami cieszyć się słońcem, Niceą, Paryżem, Warszawą.

Może dlatego pod lampą w Utelle lub na rue Pauline do obecnych przyjaciół mówimy o tych w Warszawie, a tym z Warszawy będziemy opowiadali o bliskich z

Paryża, Utelle lub pozostawionych na rue Pauline. Zawsze brak nam wszystkich, brak aktualnej obecności, stanowiącej przecież znak obiecanego zbawienia, gdy ukochamy Chrystusa, zbawienia jako uszczęśliwiającej obecności osób.

Tak prosta jest tajemnicą szczęścia i tak łatwo jest ono osiągalne, gdy dzięki filozofii zobaczymy je w obecności, która ma postać miłości, wiary, i nadziei, wspartych na istnieniu, prawdzie i dobru osób.

Słońce może nas objąć tylko uściskiem upału, morze łagodnym ukryciem w sobie naszych łez, Nicea rytmem lazuru, gór, architektury, kolorów, drzew, kwiatów, ludzi. Tylko osoby mogą cieszyć nas swą obecnością, gdy sobie wierzymy, gdy odnosimy się do siebie z życzliwością tak podstawową i pełną, że oczekujemy trwania w tej życzliwości i wierze, pełni więc nadziei, że nie zostanie nam odebrane istnienie osób, prawda i dobro.

Wiemy to rozważając wewnętrzną zawartość realnie istniejących bytów jednostkowych, istotowo różnych od swych zewnętrznych przyczyn, od swych własności i relacji. Te byty nie są zespołami relacji. Są ich podmiotami: mogę te relacje nawiązywać, a w niektórych muszę trwać zawsze pod groźbą utraty swego ludzkiego środowiska osób. To środowisko to humanizm i zbawienie, obecność w powiązaniu przez miłość, wiarę i nadzieję z ludźmi i z Bogiem.

Gdy błąd odczytania osób jako zespołów relacji umieści nas w wyjaśnieniach na drabinie bytów w obszarze kosmosu, tracą sens podróże, poszukiwanie słońca w Nicei. Gdy rozumiemy osoby jako realnie istniejące byty jednostkowe, wiemy wtedy, że relacje zależą od nas i od tych bytów, do których się odniesiemy. Musimy wtedy podróżować, aby naszej potrzebie i własności prawdy, dobra, realności, dostarczyć proporcjonalnej obecności tego, co wywoła miłość, wiarę i nadzieję. Musimy przeżyć uścisk słońca w Nicei, kontemplację piękna tak pełną, by za jej granicami rozpoznać obecność. A nasze rozpoznanie oraz towarzyszące mu decyzje musimy wprowadzić w ten etap metanoi, który jest trwaniem w rozumieniu prawdy i wyborem już tylko dobra, oddzielonych od fikcji i zadań ukonkretnieniem w bycie przez realne istnienie.

To, co w tych ujęciach godne areopagu uczonych, przedstawił Sorbonie 4 w swej pracy doktorskiej Ryszard. Relacje osobowe zainteresowały Paryż 12. Będą tam już po wakacjach głoszone wykłady na ten temat i będzie seminarium z lekturą, traktatu

o Trójcy Świętej Tomasza z Akwinu, który prowadził naszą myśl do tych rozwiązań. W roku akademickim 1981—1982 podobną tematykę filozoficzną realizowała ATK w Warszawie i Paryż 12 sercem i myślą osób, którym otwiera oczy myśl Tomasza z Akwinu, a teraz słońce i morze Nicei.

Tę samą tematykę mogliby poznawać studenci Dakaru, gdyż ten sam doktorant, który zainteresował Paryż 12, zwrócił także uwagę osób, wpływających na kształt kultury chrześcijańskiej Senegalu. Czy powinniśmy tam pojechać? Raczej tak, lecz kto z nas? Kard. Thiandoum wybrał te osoby, które także zaprosił Paryż 12. Jak podzielić czas i siły?

Wiem tylko tyle, że długo jeszcze nie Polska, lecz Paryż i Rzym, a wkrótce Afryka, będą kształtowały kulturę chrześcijańską świata. Wiem wobec tego, że Paryż, Rzym i Afryka powinny umieć traktować z dystansem kulturę i czynić ją pośrednikiem w zetknięciu z realnie istniejącymi bytami jednostkowymi. Tego uczy i to sprawia tylko filozofia bytu, a poprzez nią teologia dogmatyczna. Bez nich kultura czyni siebie przedmiotem filozofii, nawet teologii i zamyka nas w obszarze wytworów: w teoriach, koncepcjach, pojęciach człowieka i Boga. Tak trudno z tych pojęć, tylko z poznania i tylko dzięki decyzjom wejść w obszar obecności, wprowadzającej w humanizm i w zbawienie.

Cenić humanizm i zbawienie jako społeczny w relacjach ludzi z ludźmi i niezniszczalny w relacjach ludzi z Bogiem aspekt obecności, spełniającej się w podstawowej życzliwości, wierzeniu sobie i w potrzebie trwania w tych odniesieniach, spełniającej się więc w miłości, wierze i nadziei, to sposób uzdrowienia i uratowania kultury, jako niezastąpionego narzędzia uratowania ludzi przez skierowanie ich do osób, a odwrócenie od fascynacji rzeczami. Aby tego dokonać, wystarczy doznanie piękna filozofii, której uczy każdy uniwersytet wierny prawdzie, dobru i istnieniu. Aby jednak ktoś tego piękna doznał, trzeba czasem zetknięcia z pięknem oleandrów, pinii i cyprysów aż w Grecji oraz z harmonią morza, słońca i Nicei aż na Lazurowym Wybrzeżu.

Tak sądzę po spacerze do Monako. Wierny Renault - 5 wiózł nas po elipsach Lazurowego Wybrzeża pomiędzy morzem i Alpami, wśród oleandrów i domów, pod palmami obok skał. Szeroka kotlina objęta po brzegach dwiema górami: Monte

Grimaldi i Monte Carlo, wypełniona terenem, nazywanym Condomine, to już właśnie luksusowe państwo o miłej nazwie Monako. Na Monte Grimaldi zamek książęcy i stare miasto z uliczkami tak wąskimi, jak krótka rozmowa, z sąsiadami, spieszącymi rano do kolejki po kawę w Warszawie. Przed zamkiem obszerny plac i straż przed wejściem w paradnych mundurach, zarazem cała armia kraju, zamieszkująca delikatną w rysunku, rokokową kamieniczkę, stojącą naprzeciw zamku i jakby w swej architekturze odbijającą prawdziwe oblicze państwa. Na Monte Carlo hotel i restauracja, goszcząca najbogatszych ludzi świata, których przyjazdy i odjazdy oraz ich bajecznie drogie samochody ogląda się stojąc na placu wśród uboższych gości Monako. Wreszcie wchodzi się do rozjarzonego miłymi światłami kasyna gry. Portierzy nie bronią wstępu do pierwszych sal: warunkiem, jest kompletny ubiór. Przechodzimy więc przez hole z rudymi skórami foteli. Sala gier, które spotykamy już teraz w każdej dyskotece. Wrzucam do maszyny jednego franka, wygrywam dziesięć i wszystkie z kolei przegrywam. Koledzy wygrywają dwa razy po sto franków i także je przegrywają. Nic nie tracimy, niczego nie wygrywamy. Dokonała się zabawa, doznanie pokusy ryzyka, wciągnięcia w potrzebę wygrania bez pracy, bez myślenia, bez wysiłku na mocy posiadania tylko pieniędzy. Do sali z ruletką nie przepuszcza nas cena karty wstępu.

Czym jest kasyno gry? Jest pomnikiem pokusy posiadania rzeczy i pragnienia, aby los zaakceptował wskazany przez nas kolor. Rzadko jest źródłem zamożności. Jest pobudzeniem wyobraźni, uruchomieniem niecierpliwej decyzji, ukazaniem człowiekowi śmieszności niekierowania się intelektem, czego nie widzi się w przepychu sal kasyna, w pozornym dostojeństwie rudych skór foteli, zieleni stolików, przytłumionych świateł. Jest to sterowanie namiętnością, sumą namiętności, skierowanych w wąski strumień jednej tęsknoty: posiadania krążków, którym umownie którym umownie nadaje się jakże zmienną wartość nabycia rzeczy, zresztą tych wyobrażonych, których nigdy się nie nabywa, gdyż racją przyjścia do kasyna staje się z czasem przyzwyczajenie do poddania się manipulowaniu pasją wygrania.

Obie góry łączy dolina ze sławnym basenem nad brzegiem morza, z jachtami i wjazdem do przystani. Ten wjazd to dwa falochrony z latarniami, zarazem betonowa plaża z natryskami po bezpłatnej kąpieli w morzu. W pobliżu dworzec kolejowy i wszystkie drogi do miast świata. Wybieramy tę do Nicei.

W Nicei ta sama gwałtowna czułość słońca i plaża, wypełniona, bukietami brązów. I kąpane w morzu zamyślenie: skok myśli z Utelle i ze szczytów Alp nad rue Pauline w lazurowy przestwór, w którym morze jest aspektem nieba, a niebo aspektem morza, przekształcającego się w plażę i Niceę. Na tej plaży myślę o strukturze społeczeństw może organizujących się w oparciu o odwieczne właśnie doświadczenie plaży.

Zawsze sądziłem, że autorką pomysłu unii królestw o ograniczonej suwerenności z dominacją cesarza oraz ze wspólnym programem wojskowym jest cesarzowa Teofanu, której sarkofag; z białego marmuru odwiedzam za każdym razem podczas pobytu w Kolonii. I zawsze zastanawiałem się, dlaczego Europa nie wykształciła innego modelu struktury państw, lecz tylko odmiany pomysłu unii. Same państwa rozumiano za Marsyliuszem z Padwy albo jako własność rodu, albo jako układ relacji wiążących z władcą wytworzone dobra. Ludzie, twórcy dóbr, nie wchodzili w strukturę państwa i bardzo rzadko w nią wchodzą.

Dziś myślę, że społeczną strukturę państw mogło wyznaczyć: doświadczenie plaży, tak wszechwładnej w basenie morza śródziemnego. Od zawsze skupiała ona ludzi, których przywoływało słońce. Obejmowało ono każdego osobno czułym uściskiem upału, obiecywało łagodną muzykę wody, układało na piaskach wybrzeża obok innych ludzi, nie oddzielając ich od siebie, kierowała uwagę ku sobie, wiązało z sobą. Takie też jest do dzisiaj naturalne, spontaniczne odniesienie do władców, ufne, otwarte, skierowane ku dominującej osobie, która w czule podanym, jak uścisk, zarządzeniu zatrzymuje na sobie uwagę. Jest to relacja poznawcza i relacja wywołanych decyzji. Nigdy nie jest relacją osobową, gdyż ta wymaga obecności, której władcy nie udzielają. Relacje osobowe są możliwe wobec osób, objętych słońcem obok mnie na piasku plaży. Ich nawiązaniu nie sprzyja jednak obejmujący każdego natychmiast gwałtowny uścisk słońca, dominujący blask majestatu władcy, fascynująca od wieków magia imienia i teorii cesarzowej Teofanu.

Jakże często doświadczenie plaży wyznacza także nasze odniesienie do Boga, uznanego tylko za władcę. Powoduje to skierowanie się do zarządzeń Boga. Zapomina się, że Bóg oczekuje relacji osobowych, powiązań z nami przez miłość, wiarę i nadzieję.

Jakże tragicznie myli się wciąż relacje poznawania i decyzji z relacjami osobowymi. Poznanie i decyzja to relacje oparte na własnościach istoty człowieka, na jego intelekcie i woli. Relacje osobowe są oparte na prawdzie i dobru oraz istnieniu bytu. Z tego względu poznanie i decyzja nigdy nie są miłością, wiarą i nadzieją. Mogą tylko te osobowe odniesienia wspomagać w ich trwaniu. Aby jednak trwały, muszą najpierw zaistnieć. Do tego potrzebne jest wyciągnięcie rąk do osób: do Boga, dostępnego każdemu z nas jak słońce w Nicei, do ludzi, przechodzących obok, ułożonych na plaży losu, jak na piasku, który przenosi w łagodny rytm wody.

Może w uwikłaniach naszych czasów należy porzucić odwagę lub bezradność, zaufać potrzebie czułości i tylko właśnie wyciągnąć ramiona do Boga i do człowieka. Uczy tego spotkane w Nicei morze i słońce.

II. ROZPACZ I NADZIEJA

1. STRUKTURA ROZPACZY

Rozpacz jest procesem psychicznym, w którym można wyróżnić trzy etapy: poczucie zagrożenia, utratę celu życia, wygasanie motywów samoobrony.

Ze względu na cel lub skutek, do którego proces ten prowadzi, można nazwać go rozpadem życia emocjonalnego. Dzieje się on bowiem w obrębie emocji człowieka, a ma źródło w rozbiciu związku między jego życiem intelektualnym i emocjonalnym. Tego rozbicia musiało dokonać przeżycie, którego człowiek nie może zrozumieć i zobiektywizować, które więc stało się jedyną treścią wpływającą na emocje. Przeżycie to jednak musi być doznaniem jakiejś życiowej katastrofy, utratą podstawowego uzasadnienia działań. W wyniku tego wpływ na emocje polega na powodowaniu ich wygasania, gdyż treść, wpływająca na emocje, jest poczuciem utraty czegoś najwartościowszego. Ta pustka musi owocować rozproszeniem, wprost rozpadem uczuć. Kresem tego rozpadu jest emocjonalna, z kolei duchowa, a często także fizyczna śmierć człowieka.

Z tych wszystkich powodów analiza struktury rozpaczy, zrozumienie tego przeżycia i uczucia staje się nawet swoistym zadaniem. Może bowiem nawet w rozpaczy, w tym dość jednolitym procesie wewnętrznej zagłady, są jakieś słabe punkty, pozwalające ingerować w ten proces dobrem, scalającym rozpraszające się emocje. Może jest nawet w rozpaczy jakieś wyjście w kierunku nadziei. Nadzieja współwystępuje z miłością i wiarą. Jest ich oczekiwaniem. Stanowi więc już przezwyciężenie rozpaczy, którą trzeba poznać, by się jej nie poddać.

1) POCZUCIE ZAGROŻENIA

Rozpacz ma swoje źródło już w dość często przeżywanym przez ludzi poczuciu zagrożenia. To poczucie może nie doprowadzić do drugiego etapu rozpaczy, do utraty celu życia. Może wygasnąć. Może nie doprowadzić do rozpaczy. Gdy nie zostanie przezwyciężone, gdy po prostu nie usunie się wywołujących je czynników

zewnętrznych lub wewnętrznych, nastąpi nieubłaganie rozpad życia emocjonalnego, wyniszczenie duchowe, a nawet fizyczne.

Poczucie zagrożenia przejawia się w psychice w kilku kolejnych postaciach: lęk, zawstydzenie, ból, smutek. Człowiek broni się przed tymi przeżyciami. Lęk przybierający najczęściej postać zazdrości, mobilizuje do działania, do ratowania tego, co tracimy. Brak efektów w tym działaniu wywołuje zawstydzenie, które wyznaczą potrzebę ucieczki. Ucieczka nie polepsza sytuacji, raczej wnosi dotkliwy ból. Ogarnia nas bezradność, a z kolei smutek, zwykła droga do utraty celu życia.

W podziałach uczuć, stosowanych w psychologii, rozpacz przeciwstawia się nadziei. To prawda, rozpacz jest proporcjonalna do wygasania nadziei. Nie jest jednak wynikiem utraty nadziei. Jest wynikiem utraty miłości.

Z kolei miłość, w podziałach uczuć, stosowanych w psychologii, przeciwstawia się nienawiści. Owszem, odwrotnością miłości jest nienawiść, jednak nie w tym znaczeniu, że utrata miłości wywołuje w człowieku nienawiść. Nie. Na miejsce miłości nie wchodzi nienawiść. Na jej miejsce wchodzi rozpacz. Utrata nadziei nie ma mocy wywołania rozpaczy. Tę rozpacz wywołuje utracona miłość.

Stopień utraty nadziei jest stopniem narastania rozpaczy, ale powodem narastania rozpaczy i wygasania nadziei jest utrata miłości.

Trzeba też wyjaśnić, że nie jest to dosłownie utrata miłości. To jest utrata tego, co kochaliśmy. Miłość, jako powiązanie z tym, co kochamy, trwa nadal. Nie może więc pojawić się w nas nienawiść. Nie ma tylko tego, co kochamy. Jest pustka. Miłość traci swe odniesienie, oparcie. Wywołuje lęk, zawstydzenie, ból, smutek. Ze smutku nie ma przejścia do nienawiści. Nienawiść jest działaniem, ślepą, niszczącą walką. Jest znakiem, że nie było miłości. Miłość nie walczy, gdyż zawsze jest darem, mającym źródło w wolności. Nieprzyjęcie przez kogoś, cofnięcie daru raczej wywołuje lęk, zatrwożenie, poczucie zagrożenia miłości, z kolei zawstydzenie, ból, smutek. Ze smutku droga prowadzi do rozpaczy, nie do nienawiści. Ci, którzy kochają, nie są zdolni do nienawiści. Ci, którzy kochają, i utracili to, co kochają, mają dwa tylko wyjścia: rozpacz lub niepoddanie się rozpaczy.

Jeżeli w procesie narastania rozpaczy poczucie zagrożenia przekształca się w poczucie utraty celu życia, to ratunkiem jest zmiana celu życia. Jeżeli celem życia było

to, co kochaliśmy, to ratunkiem jest ukochanie czegoś innego. Miłość trwa, nie ma tylko tego, co kochaliśmy. Należy wypełnić tę pustkę nowym przedmiotem miłości. Teoretycznie jest to oczywiste i proste. Któż jednak potrafi to zrobić? Kto lub co zastąpi matce utracone dziecko! Głęboka, prawdziwa miłość jest przystosowaniem nas całych, całego naszego życia duchowego, do odbierania ukochanego dobra, którego teraz nie ma. Aby móc pokochać coś innego po stracie tego, co kochaliśmy, trzeba by przebudować siebie, nastawić na nowy cel. Jest to w każdym razie długi i trudny proces. Często nie jest możliwy do przeprowadzenia. I wtedy, gdy już nie jest możliwy, nasze życie jest rozpaczą. Staje się rozpaczą, gdy z poczucia zagrożenia, nie broniąc się lub nie mogąc się bronić, przejdziemy poprzez smutek do dalszych etapów narastania rozpaczy. Obok tak trudnej zmiany celu życia ratunkiem także są same etapy procesu rozpaczy. Gdy odkryjemy poczucie zagrożenia, to nie wolno dopuścić do zagubienia celu życia. Może tym celem niech stanie się zgoda na oddalenie się tego, co kochamy. Niech trwa miłość bez perspektyw, bez nadziei, bez oparcia. Sama miłość. Samotna miłość. Dostrzec cel w samotności. Któż jednak potrafi to przetrwać? Może potrafią to święci. Może więc każda miłość wymaga heroizmu, stałej agonii celów, właśnie świętości, rezygnacji z siebie. Świętość jednak nie polega na samotności, na braku celów. Jest wynikiem stałej obecności w nas Boga. Może więc rozpacz pojawia się wtedy, gdy tracąc ludzi nie kochamy Boga. Gdy utracimy to, co kochamy, nasza miłość może trwać dalej mając oparcie w Bogu. Nic nie zastąpi umarłych dzieci, ale jest ratunek przed rozpaczą.

a) Lęk

Poczucie zagrożenia pojawia się w psychice najpierw w postaci lęku. Któż z nas jednak odczytuje w zaniepokojeniu, w jakichś niejasnych obawach, już początek groźnego procesu rozpaczy! Bierze się wtedy jakieś krople na serce, usiłuje się jak najwięcej spać i to zaniepokojenie podobno mija. Różne nasze obawy przypisuje się ponadto rozbudzonej wyobraźni, której radzi się nam nie traktować poważnie. I rzeczywiście, często mija zaniepokojenie, mijają obawy. Ich śladem jest niekiedy postawa lęku. Wychowawcy przystępują wtedy do akcji: uczą odwagi. Miesza się bowiem lęk z tchórzostwem. Owszem, należy wyciągać ludzi z postawy tchórzostwa,

które polega na ucieczce przed każdą trudnością, przed koniecznością jasnego określenia swego zdania, zamanifestowania wyboru prawdy nawet w mało ważnych sytuacjach. Ludzie tchórzliwi po prostu nie określają i nie bronią prawdy. Należy uczyć odwagi opowiadania się po stronie prawdy. Nie wolno jednak nie odróżnić tchórzostwa od lęku.

Zaniepokojenie i obawy nie zawsze są elementami lęku. Są często przejawem nerwowości. Są jednak niekiedy objawami lęku. Sam zaś lęk, ten groźny przejaw początku procesu rozpaczy, usłużni egzystencjaliści, wciąż kokietujący człowieka uzasadnieniem jego prawa do postaw łatwych, z kolei ukazali w perspektywach złudzenia. Lękamy, się, lecz lęk nie jest niczym wywołany. Jest tylko sytuacją, w której odczytujemy naszą ludzką kondycję. Egzystencjalizm, w którym uważa się człowieka za układ przeżyć, ukazuje lęk jako coś korzystnego: w przeżyciu lęku dowiadujemy się tylko, że musimy umrzeć. To jest nasz los, którego nie można zmienić. Nie należy więc bać się lęku i nie należy bać się śmierci. Owszem, nie należy bać się lęku i śmierci. Dodajmy jednak, że ani nie należy ich szukać, ani lekceważyć.

Lęk nie jest zaniepokojeniem, obawą, tchórzostwem. Nie jest jednak także drogą do rozpoznania tego, kim jesteśmy, co głoszą egzystencjaliści. Nie jesteśmy bowiem bytowaniem dla śmierci. Raczej jesteśmy życiem i dla życia.

Niełatwo odróżnić lęk od zaniepokojenia i obaw, gdyż niełatwo ustalić jego bytową strukturę. Jest on relacją. Jako relacja, wymaga rozpoznania jej podmiotu i kresu. Podmiotem relacji, która jest lękiem, jest człowiek, gdyż człowiek przeżywa lęk. Tak się sądzi. I może lekceważenie lęku ma źródło w tej błędnej identyfikacji jego podmiotu. Człowiek jest raczej kresem relacji lęku. Jej podmiotem jest to wydarzenie, które lęk wywołuje. Czy jednak jest to faktyczne wydarzenie, jakieś byty, ludzie, układy otaczających nas relacji? A może właśnie nastrój, może sytuacja nerwowa jest źródłem lęku? Jak to rozpoznać?

Łatwiej widać lęk w jego przejawach. Przejawami lęku są przypuszczenia, podejrzenia, zazdrość. Te jednak przejawy są na indeksie charakterologicznym. Przypuszczenia jeszcze, tolerujemy. Podejrzenia i podejrzliwość uważamy już za wadę, a zazdrość negujemy całkowicie. I słusznie. Człowiek, który wciąż uważałby, że ludzie w każdej sytuacji działają na jego niekorzyść, nigdy nie wychowałby w sobie ufności,

wierności, życzliwości. Gdyby wszystkich podejrzewał o złe zamiary, skazałby się na izolację. A kierując się zazdrością, nie mógłby przeżyć przyjaźni, tych więc powiązań, które dają szczęście. Nie bronię takich przeżyć, jak podejrzenie, zazdrość, przypuszczenie, że grozi mi izolacja, utrata przyjaźni. Nie można żyć wciąż myśląc, że utracę to, czym się cieszę. Ale detektywom w książkach i filmach kryminalnych wolno snuć przypuszczenia i wolno im podejrzewać. Wprawdzie czynią to, gdy już jakieś zło się stało. To jest ich sposób poszukiwania winnych. Kiedy nam wolno posłużyć się przypuszczeniem, podejrzeniem, że zaczął się w nas proces rozpaczy? Czy dopiero wtedy, gdy nie ma odwrotu?

Wyraźnie rozpoznajemy lęk w przeżywaniu zazdrości. I znowu zazdrość może mieć źródło w zagrożeniu tylko wyobrażonym albo w postawie podporządkowywania sobie kogoś bez reszty. Obie wersje zazdrości, a raczej jej motywów, są dla nas niekorzystne, a dla kogoś wręcz niesprawiedliwe. Zazdrość, która ma źródło w wymyślonych lub wyobrażonych powodach, niszczy nas i to, o co walczymy: niszczy zaufanie, pokój, przyjaźń, wywołuje nieufność, atakuje życzliwe powiązania. Zazdrość, która z kolei ma źródło w postawie całkowitego podporządkowywania sobie ludzi, rzeczy, relacji, spraw, dzieł, wyznacza niewolę: odcięcie kogoś od dzieł, spraw, relacji, rzeczy, ludzi, z którymi ktoś podporządkowywany był dotychczas związany. To oddzielenie go od tego, czym żył, budzi nieufność, a przede wszystkim pozbawia wolności. Tego właśnie, tego pozbawienia wolności nikt nie jest w stanie przetrwać. Musi zrodzić się opór, potrzeba odejścia, która potęguje zazdrość i wzmaga walkę.

Zazdrość przejawia się głównie w walce lub tylko w działaniu, zabezpieczającym to, co posiadamy. Gdy jest to walka, która zapewnia wyłączne powiązanie ze mną, gdy jest to więc walka o wzięcie kogoś lub czegoś w niewolę, musi się ją przegrać. Wyłączność jest bowiem także darem, którego motywem i źródłem jest wolność. I ochrona wyłączności polega na ochronie wolności, a nie na przymuszaniu do jedyności relacji. Marzenie o tej jedyności jest marzeniem o szczęściu. I walka o wyłączność jest walką o szczęście. Z tego względu ludzie ją podejmują. A pragnąc szczęścia z ogromną siłą, także z ogromną siłą angażują się w walkę o jedyność relacji. Błędem jednak od początku jest wymyślone, wyobrażone przypuszczenie, że tę

jedyność lub wyłączność utracimy i błędem jest zabezpieczanie tego przez pełne podporządkowywanie sobie kogoś lub czegoś.

Zazdrość wskazuje, że nie umiemy przeżywać swojej i czyjejś wolności. Wolność nie polega na tym, że wolno nam kogoś lub coś całkowicie sobie podporządkować. W takim posługiwaniu się wolnością jest utajone przekonanie o naszej absolutności, o pełnej wartości, o prawie do posiadania wszystkiego na własność. Jest to przekonanie osób, które nie uzgodniły swych działań z pierwszym i siódmym przykazaniem. Wolność nie polega także na tym, że mogę nieustannie dokonywać wyborów i włączać w swój świat, wiązać relacjami tylko z sobą, wszystko, co spotkam. Jest to bowiem działanie tak samo oparte na utajonym przekonaniu o swej absolutności, kolidujące z pierwszym i siódmym przykazaniem. W związku z tym wolność nie może też polegać na przekonaniu o naszej całkowitej niezależności od czegokolwiek. Takie przekonanie jest również niezgodne z wymienionymi przykazaniami, a przede wszystkim jest błędem. Jesteśmy właśnie zależni choćby od czyjejś wolności, od czyjejś decyzji obdarowania nas jakąś relacją, na przykład relacją miłości. Dobrze pojmowana i przeżywana wolność polega na coraz pełniejszym uzyskiwaniu mądrości i dobra, na rozumieniu więc siebie, ludzi, kultury i dzięki temu na trafnym obdarowywaniu ich dobrem, co ze strony ludzi wywołuje relacje zaufania, przyjaźni, wierności, miłości i z kolei - sytuację szczęścia.

Zazdrość wskazuje też na niecierpliwość, która polega na przyspieszaniu procesów zaprzyjaźnienia, recepcji dobra. W takim przyspieszeniu tej recepcji właśnie często proces się zrywa, dobro nie może napływać. Musi ono przecież dojrzewać, stać się nowym darem, gdy raz już zostało dane w jakimś akcie decyzji. Obdarowywanie jest procesem ciągłym, lecz na sposób sumy decyzji. Niecierpliwość jest domaganiem się ciągłości tego procesu. Jest znakiem, że nie rozumiemy, kim jest człowiek, jak działa, czym i jak może nas obdarować.

Gdy jednak doświadczywszy tych uszczęśliwiających darów, nagle je tracimy, gdy ktoś wstrzymał ich udzielanie, gdy oddala się od nas, wpadamy w popłoch, w panikę. Zaczynamy coś robić, zaczynamy działać, walczyć, lecz właśnie w popłochu, w panice. Sposoby ratowania zrywających się relacji są przypadkowe, pogłębiające kryzys, oddalenie i utratę.

Może właśnie ten przeżywany przez nas wewnętrzny popłoch, ta swoista w nas panika, są właściwymi znakami lęku, który przybierając postać zazdrości jest źródłem nietrafnych sposobów ratowania tego, co tracimy. Także przecież zazdrość rozpoznajemy po działaniach, które tym się charakteryzują, że właśnie są nietrafne, że oddalają zamiast zbliżać, że zniechęcają zamiast budzić zaufanie, że rozdzielają zamiast łączyć. Zazdrość więc jest złym sposobem ratowania tego, co tracimy.

Zazdrość jest wobec tego już ujawnieniem lęku. Jest przyznaniem się do przegranej i organizowaniem wrażenia, że nic się nie stało, że mam jeszcze prawo do manifestowania dotychczasowych powiązań. Łudzę się, że trwają wszystkie relacje, bezradnie i bezmyślnie manifestuję ich obronę. Ujawniam, że je chronię, i zarazem ujawniam, że już ich nie ma.

Gdy przedmiotem zazdrości jest człowiek, który odchodzi, najczęściej ujawniamy swą siłę, pozorną przebiegłość, swoje wartości. Atakujemy to, co zagraża relacjom, izolujemy osobę kochaną właśnie atakując jej wolność, w której przecież ma początek ten wytęskniony dar ginącej miłości. Powinniśmy wtedy chronić i wzmacniać wolność tej osoby, aby korzystając z wolności umiała i może zechciała nie poddać się sile nowych relacji. Powinniśmy chronić i wzmacniać marzenie, które w nowych relacjach widzi szansę dobra, może za mało, za rzadko udzielanego z naszej strony. A może powinniśmy tylko być już nie działając, już tylko rozumiejąc, że nie można wtargnąć w obszar czyjejś wolności.

Gdy przedmiotem zazdrości jest człowiek, który nas jeszcze nie kocha, z którym wiąże nas za mało relacji, może to wtedy, może tylko wtedy należy podjąć walkę, ukazywać swą siłę, swoje wartości, szanse powiązań i gotowość służenia dobrem, rozumieniami i miłością. Może zazdrość jest przeżyciem słusznym w tej sytuacji, a nie wtedy, gdy coś tracimy. Może naturą utraty jest bezpowrotność dobra, o którym marzymy. Może po prostu powinniśmy się starać, by z zazdrością nie wiązał się nigdy popłoch i panika. Może nie umiemy właśnie posłużyć się zazdrością.

Poczucie zagrożenia, poczucie więc, że tracimy to, co kochamy: coś, co odchodzi lub coś, czego jeszcze nie mamy, to poczucie ma postać lęku. Świadczy o nim doświadczany przez nas wewnętrzny popłoch, niekiedy swoista wewnętrzna panika. I

może szkoda, że pozwalamy, aby wszystkie te przeżycia przybrały postać zazdrości. Zazdrość bowiem najczęściej wszystko niszczy.

b) Zawstydzenie

Dość długo trwa w nas proces uświadomienia sobie, że podstawowe, wiążące nas z kimś relacje, zostały zerwane. Dopóki nie dopuszczamy do wyraźnych uświadomień sobie tej sytuacji, trwa walka w atmosferze lub może tylko w konwencji zazdrości. Gdy zobaczymy, że niczego nie da się naprawić, podejmujemy inny zespół działań: kryjąc zawstydzenie uciekamy od tego, co było.

Ucieczka jest zawsze uwalnianiem się od zawstydzenia. Dopada nas najpierw zawstydzenie, że właśnie nie jesteśmy silni, że nasze wartości nie są jedyne i atrakcyjne, że nie umieliśmy nawiązać z kimś relacji, uzyskać daru udzielanego nam dobra w swoistej jedyności, w nobilitującej nas wyłączności. Zawstydza nas nietrafność stosowanych sposobów utrwalania relacji, próba podporządkowywania sobie czyjejś wolności, wysiłek oddziałania na tę wolność, wszystkie nasze nieudane działania, podejmowane w popłochu i panice. Zawstydza nas sam ten popłoch i panika, przeżycie podejrzeń, zazdrości, tych uczuć, które kogoś przecież atakują. Zawstydza nas ten swoisty atak, którego celem była obrona naszego szczęścia. Wstydzimy się, że broniliśmy siebie, że wygrywała w nas potrzeba wysunięcia siebie na pierwsze miejsce, naiwna potrzeba chwalenia się sobą, wątpliwy zabieg fascynowania swymi zaletami. Te działania nie doprowadziły do celu, a tylko okazały się pominięciem kogoś, jego zalet, jego pozycji i wartości. Wstydzimy się, że byliśmy zdolni do wycofania się z postawy służenia innym. Wstydzimy się, że pragnęliśmy szczęścia i wstydzimy się, że nie jesteśmy szczęśliwi, że wszyscy to wiedzą, że przede wszystkim wie o tym ktoś, komu ten argument zgłaszaliśmy tłumacząc się z przeżycia zazdrości i stosowania wyznaczonych nią działań. Zawstydza nas wreszcie nasza samotność, oddzielenie od tego, co kochamy, otaczająca nas pustka, gdyż tak przeżywamy brak relacji z tym, do czego tak gwałtownie tęskniliśmy. Zawstydza nas ta tęsknota, tak przecież bezsilna, nie podjęta, odrzucona. Zawstydza nas też to odrzucenie.

Odrzucenie, samotność, osobność, wprost niespodziewana izolacja, nie wprowadzają spokoju, ciszy, nie dają odpoczynku. Wzmagają popłoch i panikę. Wraca

z większą siłą zaniepokojenie i wracają obawy, że nie zostaniemy wyróżnieni miłością, że więc grozi nam nieustanna przegrana, właśnie pustka. W tej pustce nikt przecież nie usłyszy naszych wołań o pomoc, gdy zaatakuje nas choroba, nieszczęście czy wprost znany nam już lęk. Ten lęk już minął, a raczej przyjął postać przerażenia.

Zawstydzenie jest po lęku kolejnym przejawem poczucia zagrożenia, lecz nie jest czymś drugim, innym. Jest nasileniem zaniepokojenia, obaw, podejrzeń, lęku, zazdrości. Jest głębszym przeżyciem wszystkiego, co było, atakiem skierowanym na nas. Dotychczas, na etapie lęku, podejmowaliśmy działania kierowane do kogoś, aby go zafascynować, zatrzymać, związać ze sobą, odzyskać, zdobyć. Teraz, po przegranej, działania te nas atakują. Przeżywamy wszystko kierując to do siebie. Przeciw nam obraca się to, ca robiliśmy. Wnika w nas jako wyrzut, wwierca się coraz głębiej, nasila, kieruje do środka nas samych, potęgując izolację, osobność i samotność. Tylko bowiem kierunek na zewnątrz nas uwalnia od napięć, niepokojów, przerażenia. Kierunek do środka nas samych zamyka nas, dosłownie izoluje, niszczy i nie zabija. Zabija rozproszenie, rozpad. Gromadzenie nie zabija. Niszczy inaczej: dekomponuje, przeobraża, odmienia, tworzy chaos.

Zawstydzenie musi więc doprowadzić do ucieczki. Jest to ucieczka najpierw przed sobą.

Człowiek musi zmienić kierunek atakujących go przeżyć. Musi je z siebie wyrzucić, usunąć. Musi uciec od warunków izolacji, osobności, do nowych warunków, do innych relacji, aby przez nie utrącić to, co boli. Nie może tego utracić, usunąć. Narasta ból, utrwala się, staje się nowym przejawem poczucia zagrożenia. Człowiek nie wie jeszcze, że pozostanie w nim to, co boli, jeszcze ucieka.

Człowiek ucieka zarazem przed innymi. Przenosząc się w nowe warunki, w nowe układy relacji, tworzy pozory, że wszystko gest dobrze, że nie jest mu potrzebna miłość kogoś, kto odszedł. Ucieka, aby świadkowie jego przeżyć i jego przegranej zobaczyli go w nowych relacjach, aby więc już zamknęli jego sprawę. Człowiek więc uciekając w swym zawstydzeniu przed innymi, ucieka znowu w samotność, osobność, izolację, pustkę, gdyż nowe relacje nie powstają przez samo pojawienie się wśród ludzi. Bywamy samotni, w tłumach osób.

Człowiek ucieka wreszcie przed sobą i przed innymi ludźmi, aby nawiązać nowe kontakty, potrzebne mu do życia relacje, uwalniające go od męki tego, co w nim się dzieje, i wnoszące to wszystko, czym trzeba żyć, aby być człowiekiem. Człowiek szuka osób, aby otrzymać z ich wolności dar akceptacji, wyboru, dobroci, miłości, szczęścia. Nawiązuje relacje, lecz nie od razu przenosi się w niego darowywane dobro. Kształt tego dobra jest inny. Nie przystaje do psychiki, przystosowanej do odbioru tego, co otrzymywał dotychczas. Człowiek ocenia tę sytuację jako ponowne zrywanie się powiązań. Często znowu ucieka od tych powiązań, wchodzi na drogę nieustannych poszukiwań, w etap tułacza, kogoś samotnego, skazanego na osobność, odrzucenie, wykluczenie miłości i szczęścia.

I wtedy jest najciężej, w tym okresie rodzenia się przeczucia, że mój los jest nieodwracalny, że miłości i szczęścia nie można już zdobyć, utrwalić, uczynić swym codziennym życiem. I znowu powtarzają się ucieczki.

Przejawy tych ucieczek są odwrotnością tego, co dotychczas było. Uciekając przed sobą człowiek chce zmienić cały kontekst dotychczasowego życia. Zmienia lektury, aby nabyć nowych skojarzeń, spotkać inne myśli, ułatwiające odejście od bolesnych pytań. Zmienia lub chce zmienić rodzaj pracy i miejsce pracy. Decyduje się na los podjęcia zobowiązań, których dobrze nie spełni, gdyż brak mu wyspecjalizowania w nowym rodzaju pracy. W nowym miejscu pracy nie umie sprawnie się poruszać, błądzi, uzyskuje słabe wyniki, wpada w konflikty. Wszystko to deprymuje go, miesza, zawstydza. To nowe, dodatkowe zawstydzenie rodzi pomysł ucieczki staranniej przygotowanej, dalszej, zacierającej ślady. Człowiek organizuje wyjazd. Rzuca się w wir przygotowań, załatwia sprawy podróży, odwołuje dotychczasowe zobowiązania, zbiera najpotrzebniejsze rzeczy, zamyka lub rozdaje to, czego nie weźmie z sobą, przenosi się do innych miejscowości, gdzieś daleko, aby nie być tam, gdzie wszystko przypomina bolesne wydarzenia. W tym nowym miejscu pracy i pobytu sytuacje się powtarzają. Trzeba przywykać do nowej pracy, do nowego środowiska, do nowych zwyczajów. Jest to na ogół długi proces, tak jak długie jest dzieciństwo. Niełatwo je przetrwać, uzyskiwać już radość, bezkonfliktowy pobyt, zadowolenie z siebie i uznanie innych, przynajmniej ich akceptację. Brak powiązań emocjonalnych, brak przejęcia się naszym nikomu nie znanym losem jest znowu drogą

do izolacji, osobności, pustki. I znowu człowiekowi ciężko, a przede wszystkim dokucza tęsknota. Nic bowiem nie zmieniło się w jego psychice. Nie wygasła miłość. Została tylko pominięta. To pominięcie wciąż zawstydza i staje się tak dojmujące, że człowiek znowu planuje ucieczkę. Decyduje się na nowy wyjazd, wszystko zmienia, likwiduje, przenosi gdzie indziej, aby za jakiś czas na nowo to opuszczać i zmieniać. Zawstydzenie, popłoch, panika wpychają go w stan powtarzającego się zamysłu ucieczki. Utrwala się stan ciągłych wyjazdów, los tułacza.

Może dorastający ludzie tak często uciekają z domu właśnie dlatego, że potrzebując miłości w ogromnej jej sile, na ogół jej nie znajdują, nie otrzymują od rodziców, przyjaciół, koleżanek, kolegów. Próby zaspokojenia potrzeby miłości uznaje się za chwilowe emocje, zadurzenia, za coś, co minie. Nikt na ogół nie stawia na młodzieńczą miłość, wszyscy każą jej się wyszumieć, jak gdyby dosłownie, było to wino, które burzy się, a z czasem uspokaja. Tymczasem ta miłość wypatruje miłości wielkiej, stałej, wiernej, cierpliwej, spokojnej, mocnej, spełniającej nadzieję i trudny los ludzki. Któż jednak umie przyjąć taką miłość, czuwać nad nią, chronić ją, kształtować, a potem ją utracić, gdy dojrzeje, gdy sama stanie się siłą i mocą człowieka, gdy zapragnie kogoś chronić, kształtować, gdy musi odejść, aby spełniać los oparcia dla innych serc, dla innej miłości, która szuka nadziei w miłości stałej, wiernej, cierpliwej, spokojnej, mocnej, wielkiej. Nie umiemy być wychowawcami miłości. Nie umiemy tylko kochać nic w zamian nie oczekując. Przywykamy do obecnej przy nas miłości, nie chcemy z nią się rozstać, zatrzymujemy ją, a gdy odejdzie, gubimy się w osamotnieniu, osobności, pustce. Z kolei wstydzimy się tej pustki, osobności, osamotnienia. Uciekamy gdzieś bez sensu. Nie pamiętamy, że może zadaniem człowieka jest zawsze wiernie, bezinteresownie kochać, a nie to, aby w zamian być kochanym. Może zagrożeniem ludzkich powiązań jest właśnie to, że oczekujemy rewanżu, że chcemy być kochani, gdy kogoś kochamy. Wiemy, że musimy kochać ludzi i kochamy ich. Nie zawsze wiemy, że nie powinniśmy oczekiwać zapłaty, także daru miłości. Dar otrzymuje się bez zasług, nie za coś, tak po prostu, gdy czyjaś wolność to zdecyduje.

Lecz właśnie nasze skojarzenia są inne. Nasze oczekiwanie jest zawsze to samo: kochając chcemy być kochani. A gdy ktoś kochany nie obdaruje nas miłością,

niepokoimy się, wpadamy w popłoch, panikę, lęk, działamy zazdrośnie, przegrywamy. Budzi się zawstydzenie, niecierpliwość wskazuje nam ucieczkę.

Zawstydzenie nie uczy nas zrozumienia ludzkiego losu, który polega na tym, aby służyć innym, aby ich kochać niczego w zamian nie oczekując. I tylko cieszyć się, gdy ktoś nas ukocha, niekiedy nie ten ktoś, kogo my kochamy.

Zawstydzenie więc nie oczyszcza, nie prostuje dróg ludzkich. Ono właśnie zamyka, izoluje, oddziela. Nie przekształca się w żal, w pokutę. Żal i pokuta są wynikiem tęsknoty. A zawstydzenie jest wynikiem próżności i często, bardzo często aktywizuje pychę. To pycha każe uciekać lub próżność. To one oddzielają od nadziei, od spokoju, od zgody na to, że oczekiwanym darem miłości nie zostaliśmy wyróżnieni. Z tego względu zawstydzenie wprowadza nas w nowy etap poczucia zagrożenia, w zamknięcie się w bólu.

c) Ból

Bólem jest poczucie zagrożenia. Etapy tego poczucia także bolą. Bólem jest więc lęk, z kolei zawstydzenie, wszystkie próby ucieczki i zazdrość. Zazdrość także boli. Od niej ucieka się najpóźniej, dopiero wtedy, gdy wywoła ona nowe zawstydzenie. To zawstydzenie, które zamyka człowieka w nim samym, wywołuje ból. Człowiek bowiem sam musi sobie radzić z lękiem i zawstydzeniem, musi trwać w poczuciu zagrożenia, gdyż nie udały się ucieczki. To wszystko, przeżywa już teraz jako ból.

Ból jest na ogół wołaniem o pomoc. Jednak tym wołaniem nie jest on sam lecz jego znaki.

Ból fizyczny pozostaje przecież w nas. Ujawniamy go w płaczu, krzyku, czasem tylko w wyrazie twarzy, gdy konwenans lub silna wola każą nam unikać sposobów zbyt głośno alarmujących ludzi. Niekiedy ból jest tak silny, że wołamy o pomoc natarczywie, wzywamy pomocy. Ktoś przywołuje lekarza, zaczyna się leczenie, uwalnianie od bólu. Gdy źródłem bólu jest fizyczny stan organizmu, leczenie jest na ogół łatwiejsze.

Termin „ból" odnosimy najczęściej do fizycznego stanu organizmu. Świadomość tego bólu i jego źródeł, zmartwienie chorobą, stan psychiczny, nazywamy cierpieniem. Termin „cierpienie" oznacza więc element osobowości, to, co dzieje się w

naszej psychice. Cierpienie wobec tego jest czymś więcej niż bólem. Jest wynikiem trwania bólu. Jest świadomością tego trwania. Człowiek zatem doznaje i bólu, i cierpienia.

Cierpienie można przetrwać, gdyż dzieje się ono w psychice. Gdy zbyt dolega, choruje także psychika. Cierpienie można przenieść jednak aż w duszę. Tu, w duszy, nie zagraża człowiekowi, jako przyczyna zniszczenia, gdyż dusza nie ulega zniszczeniu. To cierpienie może niekiedy leczyć duszę, oczyszczać ją, pogłębiać. Owocuje więc nawet korzystnie dla człowieka.

Ból raczej niszczy. A mówiąc dokładniej, niszczą nas przyczyny bólu. Ból jest wołaniem o pomoc. To prawda. Jest jednak wynikiem obecności w nas tego, co boli. I to, co właśnie boli, czego nie można usunąć, od czego nie można uciec, to nas ogarnia, wypełnia, izoluje, kieruje do siebie, odsuwa od relacji zewnętrznych, od szans uwolnienia się od lęku, zmartwień, od poczucia zagrożenia. Pochłania nas i obezwładnia. To jeszcze nie jest bezradność, to jeszcze nie jest smutek. To jest dopiero etap bólu.

Bólem jest ten stan psychiki, w którym świadomość trwania bólu nie jest jeszcze czymś w duszy. Jeszcze to, co boli, nie zostało przeniesione w duszę, jeszcze nie jest cierpieniem. Jest progiem cierpienia. Jest biczowaniem duszy. I nie przekształci się w cierpienie, gdy nie opuści obszaru psychiki. Tu, na jej terenie, to, co zagraża, i samo poczucie zagrożenia, wszystkie lęki, zawstydzenia, wyznaczona zazdrością walka, ucieczki od zazdrości, zawstydzenia i lęku, to wszystko jeszcze jest bólem. Gdyby stało się cierpieniem, nie nastąpiłaby rozpacz, człowiek byłby uratowany. Jakże więc jest ważne, aby wszystko, co nas boli, przenieść aż w duszę, w najwyższe wymiary ludzkiego losu, w pełny refleksji i mądrości wysiłek zrozumienia tego, co nas spotyka, aby wszystko, czym czujemy się zagrożeni, stało się cierpieniem. Cierpienie bowiem można przetrwać, cierpienie ratuje człowieka. Ból nas niszczy, gdyż nie można przetrwać bólu.

Bólem jest więc także poczucie zagrożenia, które trwa w psychice i nie przekształciło się jeszcze w cierpienie duszy. Nie mogło się jeszcze przekształcić, gdyż nie było czasu, aby poddać je refleksji. Człowiek doznał obaw, zaniepokoił się, zaczął działać, walczyć o to, co traci, wpadł w popłoch, panikę, zaczął przegrywać. Nie

korzystał z myślenia, pozostał na poziomie emocji, uległ zawstydzeniu. I to, co było powodem zawstydzenia, teraz jest powodem bólu. Boli nas utrata tego, o co zabiegaliśmy. Boli przegrana, odrzucenie, samotność, osobność, lęk przed pustką. Czujemy się osaczeni pustką, zagrożeni izolacją. Boli nas brak tego, co kochamy.

I nie ma wyjścia z tego bólu. Trwa jeszcze zawstydzenie. Nie zwierzamy nikomu swoich zmartwień. Wstydzimy się przegranej. Zamykamy się w sobie. Ten stan uniemożliwia wołanie o pomoc.

Ból, który po lęku i zawstydzeniu, staje się kolejnym etapem poczucia zagrożenia, nie jest wołaniem o pomoc. Jest tylko zamkniętym w nas bólem. Zamyka go w nas i wszystkie jego przyczyny właśnie zawstydzenie. A mówiąc dokładniej, zawstydzenie, wywołane przegraną walką, zamyka nasze sprawy w nas samych. I to one nas bolą. Zawstydzenie powoduje, że kryjemy, je przed ludźmi i kryjemy je przed sobą. Nie mogą z tego względu być poddane czyjejś czy naszej refleksji. Nie uzyskują etapu stania się przedmiotem zrozumienia. Nie dopuszczamy ich do własnej duszy. Nie mogą stać się w nas powodem cierpienia. Muszą być powodem bólu.

W tej sytuacji poczucie zagrożenia musi przekształcić się w nas w etap bólu.

d) Smutek

Ból, zamknięty w nas, ukryty, obezwładnia. Trzyma przy sobie naszą uwagę. Nie pozwala odejść od tego, co objęte zawstydzeniem. Czujemy się bezradni. Intelekt, do którego nie dopuszczamy naszych spraw, gdyż zbyt boli świadomość utraty tego, co się kocha, nie może pomóc, zaradzić, znaleźć wyjścia. Tę bezradność potęguje fakt, że nikt nie słyszy naszych wołań o pomoc, gdyż tej pomocy nie wzywamy. Oddziela nas od ludzi i od naszej refleksji właśnie zawstydzenie. Jest cisza, pustka; izolacja. I wtedy pojawia się smutek, zwykła droga do utraty celu życia.

Smutek nie zawsze jest przejawem poczucia zagrożenia i nie zawsze niszczy wolę życia. Jest bowiem głównie znakiem braku miłości, a raczej braku tego, co kochamy. Jest z tego względu zawieszeniem działania, stanem bierności, przeżyciem nieobecności tego, co cieszyło. Nie jest decyzją. Jest oczekiwaniem. Jest brakiem reagowania na ból i cierpienie. Jako stan bierności jest wobec tego gotowością przyjęcia tego, co się uobecni, co ucieszy. Jest zatrzymaniem życia, swoistym zamrożeniem

emocji. Jest otwarciem psychiki na to, co. przyjdzie. Nie zagraża nam, gdy zwiążemy go z cierpliwością. Ta opieka nad smutkiem, związanie go z cierpliwością, wymaga jednak refleksji. Gdy więc ukażemy smutek intelektowi, naszej mądrości, może on stać się początkiem ciszy, początkiem kontemplacji, wnoszącej pokój i pogłębiającej mądrość. Może być czymś dobrym dla człowieka.

Smutek staje się przejawem poczucia zagrożenia oraz drogą do utraty celu i woli życia, gdy właśnie naszego bólu nie poddamy refleksji, nie wniesiemy w obręb duszy, gdy wyizolujemy go, zamkniemy w psychice zgubnym zawstydzeniem. Gdy wprost samego smutku nie postaramy się zrozumieć, związać go z cierpliwością, z oczekiwaniem na zmianę relacji, na ich odzyskanie.

Smutek prowadzi więc do rozpaczy tylko wtedy, gdy nasze mocje odizolujemy od refleksji, gdy nie związemy ze smutkiem cierpliwości, gdy zamknięci w sferze uczuć uwięzimy w niej miłość teraz pozbawioną tego, co człowiek kocha. Intelekt nie może szukać rozwiązań, dostarczyć motywów cierpliwości, zachęcić do jej wyboru. Wola nie może podjąć decyzji zgodnych z rozsądkiem, rozumem, mądrością. Nie ma w ogóle w nas aktów poznania i aktów woli, dotyczących losu naszej miłości. Jest cisza, wokół tego, co boli, złowroga cisza. Uczucia nie widzą swej drogi dążeń. Są pomijane. Rozpraszają się, plączą, otaczają ból. Jest tylko ból, który stał się smutkiem. W tej sytuacji smutek jest snem emocji, ich milczeniem. I jest zagrożeniem miłości, oddzieleniem jej od duszy i ciała człowieka, oderwaniem od nas samych, skazaniem jej na banicję w obszar bólu.

Smutek nie zabija miłości i nie zabija jej ból. Miłość trwa. Tylko człowiek, sprowadzający swe życie do bólu i smutku, powoduję agonię pełni tego, czym jest. A może właśnie raczej rozprasza to, czym jest. Zatrzymuje tylko smutek. Staje się smutkiem. Musi więc pojawić się w nim agonia celu i woli życia, ich utrata.

2) UTRATA CELU ŻYCIA

Smutek, krańcowa postać poczucia zagrożenia po lęku, zawstydzeniu i bólu, jest biernością emocji, ich snem, letargiem, ciszą nocy i ciemności, zamknięciem okien duszy i ciała. Jest odsunięciem się psychiki od wszystkiego, co było, nawet od lęku, zawstydzenia i bólu. Jest odejściem człowieka nawet od siebie, a raczej jest

zredukowaniem siebie do pustki. Jest potrzebą tej pustki. Muszą wtedy zamierać cele, które kierują poza okna duszy i ciała. Potrzeba braku kontaktu z czymkolwiek, nawet z sobą, potrzeba pustki, muszą powodować agonię emocji, które są odniesieniem właśnie do celów. Odniesione do bólu, który je odsuwa przekształcając się w smutek, giną.

Smutek, jako stan bierności emocji, jest pogłębieniem zerwania związków z myśleniem i decyzjami. Z powodu tego zerwania intelekt nie może ukazać emocjom ich celu, a wola nie może zdecydować ich osiągania. Właśnie umierają cele, a wśród nich cel życia i potrzeba życia.

Utrata celu życia ma więc najpierw postać izolacji, potem — wygasania potrzeby pracy, wreszcie — dominacji marzenia.

a) Izolacja

Izolowanie się od myślenia i decyzji, od celów i działania, od wypełniających nas emocji, jest złudnym poszukiwaniem ciszy. Umęczony lękiem, zawstydzeniem i bólem człowiek chce od nich uciec. Chce uciec od całego poczucia zagrożenia, od wszystkiego, co było, nawet od smutku, w którym — nie wiedzą o tym — pozostaje. Nie korzystając z myślenia sądzi, że uwolnił się także od smutku. Już nawet go nie rozpoznaje, już przebywa w ciszy. Uważa, że minęło zagrożenie, lęk, zawstydzenie, ból i smutek. Tymczasem osiągnięta cisza nie jest pokonaniem poczucia zagrożenia, jest właśnie biernością emocji, ich snem i letargiem, ginięciem z głodu. Nie wzmacniane pokarmem celów, zamierają.

Izolacja, którą przybiera postać ciszy, nie jest wynikiem wyboru warunków ćwiczenia się w trafianiu na dobro. Usprawnienie się w takim trafianiu wymaga mistrza, nauczyciela. Musi nim być człowiek albo Bóg, ktoś żywy, myślący i dobry. Nie może nim być idea, tekst, nawet tekst Ewangelii. Idee i teksty usprawniają tylko wtedy, gdy ich treść przekazują nam osoby. Wymaga to dialogu, rozmów, myślenia i decyzji. Taki dialog jest życiem, rozpoznawaniem celów i ich wyborem. Życie nie jest ciszą, lecz obecnością wśród osób, jest gwarem, choć nie chaosem, wewnętrznym przebudzeniem, a nie snem lub letargiem, jest aktywnością, nie biernością. To życie wymaga wyciszenia tego, co zbędne, drugorzędne, krzykliwie modne, bezwartościowe i wymaga udzielenia

pełnego głosu temu, co istotne. Wymaga ogołocenia z tego, co błędne, mylące, i zrobienia miejsca temu, co prawdziwe, słuszne, dobre.

Cisza jest odwrotnością tych sytuacji, jest postacią izolacji, odejścia, negacji. Rodzi się z błędu uznania postulatu za realność.

Izolację jako poszukiwanie ciszy lub jawiącą się w postaci ciszy poznajemy po tym, że przerwano zewnętrzną i wewnętrzną rozmowę, że nie ma dialogu z mistrzem, że właśnie jest w kimś dosłownie ciszą, sen, letarg, agonia, uznane za ciszę, spokój, odosobnienie. Tymczasem postulat wewnętrznego uspokojenia, odosobnienia, uzyskiwania ładu, zgody ze światem i z sobą, utożsamiono z realnym smutkiem. To, co oczekiwane, uznano za obecne.

Gdy się to stało, izolacja przeszła z etapu ciszy w etap negacji. Utrata celu życia zjawiła się w postaci izolacji, która ma właśnie etap ciszy i etap negacji.

Izolacja w postaci negacji to nieczułość. Jest to bowiem wciąż stan emocji oddzielonych, osobnych, biernych. Jest to machnięcie ręką na wszystko, co zewnątrz i wewnątrz człowieka, brak reagowań na siebie i ludzi.

Martwimy się znieczulicą, tragiczną chorobą społeczeństw. Czyżby aż tyle osób było dotkniętych smutkiem jako ucieczką przed poczuciem zagrożenia, że nieczułość stała się zjawiskiem społecznym? Czyżby aż tylu osobom. zagrażała rozpacz?

Cisza nie jest spokojem, gdyż spokój to zgodność osób, celów, dążeń. Cisza to sen, który nie przynosi zdrowia. To zamieranie celów.

Nieczułość nie jest umiejętnością wyborów, nie jest sporem, I dialogiem, negowaniem postaw, decyzji i celów. Jest odrzuceniem wszystkiego, lecz nie w dialogu i działaniu, a w biernym odejściu, czy też raczej w biernym zatrzymywaniu się w miejscu, w smutku, który oddziela od aktywizujących emocje celów. Gasną one w tym smutku, zamierają.

Jeszcze jednak nie wygasły. Jeszcze trwa ich letargiczny sen. Jeszcze bowiem nie wygasła w człowieku potrzeba pracy. Jeszcze siada do stołu bezwolny i smutny, zniechęcony i nieczuły, lecz z obawą, że coś przypomni mu to, co sprawiło ból. Jeszcze żyje.

b) Wygasanie potrzeby pracy

Jeżeli człowiek nie wydźwignie się ze smutku przenosząc ból z poziomu emocji na poziom duszy, gdzie ból przekształca się w cierpienie dzięki intelektowi, ogarniającemu świadomością to, co w nim się dzieje, utrata celu życia przybierze postać wygasania potrzeby pracy.

Praca jest też odniesieniem, powiązaniem, relacją. Wiąże człowieka właśnie z celami. A cechuje ją to, że nie jest mechanicznym używaniem siły, lecz naszym twórczym zrealizowaniem celu w fizycznym tworzywie na miarę pomysłu, zgodnie ze sformułowaniem przez intelekt i celu, i zrealizowania. Pracą jest działanie, noszące ślad osobowości człowieka, jego myślenia i decyzji.

Zauważmy tu, że wobec tego pracą nie jest każde działanie człowieka. Jest nią tylko działanie twórcze. Inne działania to po prostu mechaniczne używanie siły. Czy jest więc pracą ludzką przenoszenie ciężarów, wydobywanie węgla? Taką pracę może wykonać maszyna. Jest to więc praca w ujęciu fizyki, a nie w kategoriach wiedzy o człowieku. Pracą ludzką jest twórcze posługiwanie się siłą, tworzywem i celami, kierowane myśleniem i słusznym wyborem.

Smutek wyklucza korzystanie z intelektu i woli. Kieruje emocje do bólu i od nich oddala. Pozostawia je w pustce, w rozproszeniu, rozpadzie, bierności. Człowiek więc smutny nie pracuje na miarę człowieka. Jeżeli wykonuje jakieś działania, to zgodnie tylko z fizykalną definicją pracy. Mechanicznie siada do stołu, przenosi ciężary, wydobywa węgiel. Nie ma potrzeby tworzenia, gaśnie w nim potrzeba pracy właściwej człowiekowi.

1: Pierwszą postacią tego wygasania w człowieku potrzeby pracy jest zaniedbanie intelektu i narastanie ignorancji. Człowiek oddalił się od tego, czym żył, co znał i co mobilizowało go do pracy. Nie podejmuje impulsów z zewnątrz, gdyż boi się bólu. Nie chce myśleć o tym, co się zdarzyło. Nie sięga po książki, nie szuka rozmów. Nie nabywa więc wiadomości. Zamyka się w sobie. Nawet swą pamięć odrywa od tego, co było. Wprowadza się właśnie w stan niewiedzy. Buduje mur smutku, który go izoluje, sądząc, że chroni się przed innymi i przed sobą. To prawda, człowiek uzyskuje ciszę. Jest ona jednak niszcząca, jest negacją i przekształca się w izolację.

Długie przebywanie w tej izolacji, wymagającej odrobiny rozeznania i decyzji, z czasem przekształca się w pełną bierność, w wygaśnięcie potrzeby pracy. Zaniedbany tą bezczynnością intelekt wchodzi w stan właśnie ignorancji. Nic nie dzieje się w duszy. Zamiera nawet oczekiwanie. Wola pogrąża się w stanie abulii.

2: Drugą postacią wygasania w człowieku potrzeby pracy jest po ignorancji właśnie stan abulii: zniszczenia aktywności woli. Wyizolowany intelekt nie dokonuje czynności poznawczych, gdyż nie mobilizuje go nic z zewnątrz. Nie oddziałują na niego nawet wewnętrzne emocje, gdyż smutek rozproszył je, aby nie sprawiały bólu. Wola nie otrzymuje więc bodźców. Smutek nie dopuszcza do niej informacji intelektu, który zresztą ich nie nabywa. Nie dopuszcza też emocji, aktywizujących wolę zwykle gwałtownie, często o sile aż namiętności. Ponieważ namiętność jest nie poddaną rozsądkowi potrzebą osiągnięcia celu, aktywizującego, emocje, nie ma w człowieku także namiętności, gdyż smutek oddzielił emocje od celów, nawet od duszy i ciała, aby nie dopuścić do bólu. Wola izolowana od wpływu intelektu i emocji przestaje działać. Trwając dłużej w tej pustce staje się bierna. Nie działa, co jeszcze nie jest najgorsze. Z czasem odzwyczaja się od oczekiwania na bodziec. Ten stan jest już tragiczny: jest abulią, jest wygaśnięciem potrzeby działania.

Intelekt nie pracuje zagłodzony brakiem informacji, które wywołują myślenie. Gaśnie myślenie. Intelekt przestaje działać. Wola nie pracuje pozbawiona wpływu intelektu, który nie jest zasilany wiedzą. Jest pozbawiona także mocy, płynących ku niej z emocji. Jest bezradna, ku niczemu nie kierowana. Smutek przymusza ją do wygaszania oczekiwań. Stanowiąc w człowieku władzę decyzji i nie spełniając tych działań, wola ciężko choruje, gdyż atakowana jest wprost jej natura. Gaśnie jej zdolność decyzji. Przestaje działać.

W tych sytuacjach człowiek nie tylko oddzielił się od wielu swych szczegółowych celów. Wprowadziwszy się w stan ignorancji i w stan abulii odszedł także od podstawowego celu życia: od prawdy, zasilającej intelekt oraz od dobra, którym żyje wola. A ponieważ prawda jest podmiotem wiary, a dobro wyzwala nadzieję, człowiek traci wiarę i traci nadzieję. Trwa w nim tylko miłość, która wspiera się wprost na istnieniu bytów. Nie zasilana jednak prawdą i wiarą, dobrem i nadzieją, działaniem intelektu i woli, które podtrzymują ją w trwaniu, powoli zamiera. Człowiek

nie chce jej trwania. Wybrał skutek odrzucenia jej swą decyzją. Tym skutkiem jest smutek, cień miłości. Wybrał także skutek nie myślenia o niej. Tym skutkiem jest marzenie, cień rozumnego myślenia. Te skutki zrywania więzi wiary, nadziei, miłości, nie, mają siły kierowania do osób: do ludzi i do Boga. Człowiek utracił właśnie podstawowy cel życia: trwanie w powiązaniach przez miłość, wiarę i nadzieję z osobami, z Bogiem i ludźmi, głównie z tą najbardziej ukochaną osobą, która nie podjęła naszej miłości. Ta nie podjęta miłość, boleśnie samotna, oddzielona od osób, zamiera.

Tracąc miłość, to znaczy nie podtrzymując jej w trwaniu działaniami intelektu i woli, człowiek odsuwa się także od Boga, który nigdy nie przestaje nas kochać. Człowiek zapomina o tym, gdyż zawiesił działanie intelektu. Nie kieruje się do Boga, gdyż wstrzymał działanie woli. Bezwiednie i bezwolnie wprowadza się w tragedię samotności miłości, zamierającej powoli. Wraz z jej zamieraniem traci podstawowy cel życia: trwanie wśród osób dzięki więzom miłości, wiary i nadziei, które łącząc ludzi stanowią szczęście, a łącząc ludzi z Bogiem stanowią zbawienie.

c) Dominacja marzenia

Z powodu ignorancji wygasa wiedza i wspierany nią rozsądek. Z powodu abulii, gdy wola zagubi oczekiwanie, wygasa potrzeba pracy. Pozostaje wciąż dominujący smutek, cień dawnej miłości, która już nie fascynuje woli. Pozostaje też marzenie, cień rozumnego myślenia.

Smutek prowadzi do negacji, lecz jest czymś pozytywnym: jest śladem kontaktu z miłością. Ten ślad funkcjonuje, podobnie jak funkcjonuje cień: zasłania, wyziębia, wprowadza w ciemność. W tej ciemności intelekt niczego nie rozpoznaje, wola nie wie, ku czemu się skierować, uczucia nie są scalane, lecz rozpraszane. Cień ogarnia myślenie, decyzje i uczucia. Smutek oddzielając nas od celów zewnętrznych, nawet oddzielając we wnętrzu człowieka jego duszę od wszystkiego, co sprawia ból, nie pozwala rozróżniać i jak gdyby zmusza to, co jest w nas, do poddania się ciemności. Teraz cień i ciemność scalają wewnętrzną zawartość człowieka. Postacią tego scalenia jest marzenie.

Gdyby to marzenie obudziło tęsknotę, gdyby więc powiązało smutek z oczekiwaniem, co stanowi tęsknotę, człowiek jeszcze tu powstrzymałby pogrążanie się w rozpaczy.

Niestety, rzadko marzenie budzi tęsknotę. Jest bowiem tylko cieniem myślenia, a nie myśleniem. Cień nie rozjaśnia, nie ukazuje drogi, raczej zaciemnia, myli. Do obudzenia tęsknoty potrzebne jest zasilenie człowieka miłością. Tymczasem cień ogarnął także miłość. Nie ma ona siły ożywienia, ogrzania duszy. Cień wyziębia. I człowiek zatrzymuje się w marzeniu.

Marzenie mogłoby mobilizować, gdyby pojawiło się w okresie uwzględniania przez człowieka myślenia i posługiwania się decyzją. Byłoby ono wtedy przeżywaniem radości przewidywań. Człowiek snułby baśń o tym, co się zdarzy, czego oczekuje, co postuluje. Kojarzyłby możliwości, które nie istnieją, o których tylko się myśli. Intelekt w tym kojarzeniu budowałby właśnie baśniowe sytuacje, umieszczał nas w pałacach i kwiatach lub w codziennym rytmie działań, którymi wyrażalibyśmy miłość. Ponieważ to, co możliwe, nie istnieje, wola nie może podjąć odpowiednich decyzji, może tylko wytworzyć stan radości: akceptację tego, co myślimy. Niekiedy może uruchomić działanie, gdy któreś z marzeń rozsądek ukaże jej jako prowadzące do celu: do osoby, którą ukochaliśmy i gdy zgodnie z prawdą pomoże ocenić nasze siły. Może jednak się zdarzyć, że radość, która dzieje się w psychice, włączy w działanie woli nasze emocje. Stają się one wtedy siłą, która mija argumenty i pobudza wolę do decyzji, już mało. zgodnych z rozsądkiem. Wtedy mówimy o zakochanych, że tracą rozsądek, że miłość jest szalona. Wtedy bowiem nie identyfikujemy osób, rzeczy, celów, nie rozpoznajemy, czym są, by wiedzieć, jak się do nich odnosić. Wtedy traktujemy wszystko jako coś dla mnie. Wtedy to, co postulujemy, uważamy za istniejące. Zmieniamy nawet język i to, co prawdziwe, dobre, istniejące, myślane, uszczęśliwiające, uważamy wprost za prawdę, dobro, istnienie, myśl, szczęście. Jest to słuszne, gdy wyrażamy, czym coś jest dla mnie. Jest błędne, gdy traktujemy to jako identyfikację tego, co kochamy. Osoby są prawdziwe, dobre, istnieją, myślą, uszczęśliwiają. Nie są prawdą, dobrem, istnieniem, myślą, szczęściem. Są osobami, prawda jest prawdą, dobro dobrem, istnienie istnieniem, myśl myślą, szczęście szczęściem. To, czym coś jest, nigdy nie jest zarazem czymś innym. Takie ujęcia nie są wynikiem poznania, są tylko decyzją, którą pod

wpływem emocji uczyniliśmy zarazem rozpoznaniem. Wola nie jest intelektem, jest wolą, a intelekt nie jest wolą, jest intelektem. Myślenie nie jest decydowaniem, decydowanie nie jest myśleniem. To, co myślane, nie jest tym, co realnie istniejące. To szalone wartościowanie, że ktoś jest dla mnie prawdą, dobrem, istnieniem, myślą, szczęściem, urzeka nas, wciąga i budzi sympatię, gdy odnosimy je do osób kochanych.

Marzenie jednak, gdy trwa w nas smutek, oddzielone od myślenia, decyzji i emocji, jest tylko cieniem i ciemnością. Pozbawia sił i wyziębia. Związane z lękiem, aby nie doznać bólu, nie dotyczy celów zewnętrznych lub kogoś poza nami. Jest zarazem ucieczką od nas samych. Nie powoduje jednak zmiany miejsca, podróży, podejmowania pracy. Raczej zatrzymuje i wynosi ku temu, co nierealne. Wprowadza w cień, w odwrotność realności i miłości. Przyzwyczaja do fałszu, zła, możliwości unicestwiania, bezmyślności, zgody na pozostawanie w nieszczęściu. Takie przecież są odwrotności prawdy, dobra, istnienia, myślenia, szczęścia.

Marzenie smutnych demobilizuje. Gdy trwa długo, niszczy motywy samoobrony. Gdy trwa długo, właśnie dominuje i zabija.

3) WYGASANIE MOTYWÓW SAMOOBRONY

a) Proces długotrwały

Człowiek bliski rozpaczy nie poddaje intelektu oddziaływaniu bytów zewnętrznych. Nie nabywa wiedzy. Oddziela też intelekt od posiadanej w sobie wiedzy o tym, czego doznał. Uaktywnia zapominanie. Wprowadza się w stan niewiedzy. Jego intelekt wraca do etapu nie zapisanej tablicy. Nie jest aktywizowany nawet emocjami, od których człowiek ucieka w smutek.

Wola nie jest informowana przez intelekt o bytach jako dobru. Nie wpływają na nią emocje. Nie jest skłaniana do decyzji. Nie podejmuje ich, zasypia, zamiera.

Zanika myślenie, zamierają decyzje, rozpraszają się emocje, Nie mogą stać się namiętnością, siłą. Błąkają się po psychice, kapryszą w ciemności. Są to kaprysy bezmyślne, małe, zmienne, gdyż nie wsparte decyzją. Człowiek staje się bezmyślny, bezwolny, kapryśny w drobiazgach, małostkowy, nieznośny dla otoczenia, wycofuje się ze wszystkiego, jest słaby, chory.

Nie jest chory psychicznie. Nie ma w nim zaburzeń fizycznych. Tylko zewnętrznie wygląda na chorego psychicznie i fizycznie. Jest po prostu bliski rozpaczy, a poznajemy to po tym, że reaguje na ból, na ten jeden ból, który mu sprawia nasze nieostrożne przywołanie doznanej przez niego katastrofy, nie dającego się zrozumieć i zobiektywizować przeżycia, organizującego przedtem myślenie, decyzje i emocje. Chorzy tak nie reagują. Źródłem ich stanu są zniekształcenia fizyczne systemu nerwowego. Gdy tych zniekształceń nie stwierdzamy, nie ma choroby psychicznej . Jest tylko długotrwały stan pogrążania się w rozpaczy z powodu lęku przed kontaktami z otoczeniem, aby nie doznać bólu, i usytuowanie się w smutku, który wprowadza w marzenie, oderwane od myślenia, decyzji i emocji.

Leczenie zrozpaczonych musi być zadawaniem bólu. Często trudno trafić na to, co wywołuje ból i proces leczenia trwa długo. To zadawanie bólu niekiedy staje się ryzykownym zabiegiem, gdyż może pchnąć w głębszą izolację, dezaktywizację i marzenie. Leczyć zrozpaczonych mogą tylko osoby, które ich głęboko kochają, gdyż tylko miłość tak przewija rany, że nie bolą. Trudny to postulat i trudna do uznania prawda.

Zaawansowaną rozpacz często kwalifikuje się dziś jako chorobę psychiczną. Efekty leczenia są nikłe, gdyż lekarz nie identyfikuje się dziś z osobą kochającą. Jest instytucją, stosującą przewidziane zabiegi. Czy zresztą może postępować inaczej? Czy ktoś z nas jest w stanie tak kochać każdego człowieka, by go przywracać nadziei i życiu? A powinniśmy tak właśnie służyć ludziom.

Gdy ktoś zrozpaczony nie trafi na kogoś tak go kochającego, że aż przywracającego nadziei i życiu, dochodzi do etapu wygasania motywów samoobrony. Pogłębia się w nim proces zanikania myślenia, zamierania decyzji, rozpraszania się emocji. Mur smutku oddziela sferę myślenia i decyzji od sfery emocji. To, co było jednością podporządkowań, jest teraz rozbite. Bez wzajemnego wspierania się ginie. Rozpada się życie duchowe w swej warstwie intelektualnej i wolitywnej. Rozpraszają się emocje. Załamują się siły fizyczne. Organizm się nie broni, atakują go choroby, człowiek powoli umiera, bardzo powoli, w długotrwałym procesie wygasania potrzeby samoobrony.

Zauważmy tu, że chorzy psychicznie w wyniku zniekształceń fizycznych ich systemu nerwowego, mogą żyć bardzo i długo. Nie niszczy ich właśnie przeżycie.

Zrozpaczonych izoluje smutek, głównie izoluje i wprowadza w świat nierealnych marzeń. Przez, ten świat możemy do nich dotrzeć, do śladów ich myślenia i wyprowadzać ich powoli z cienia ku światłu. A nawiązywanie do towarzyszącej marzeniu radości, nikłej radości, wyziębionej, pozwala wyprowadzać ich ku ciepłu. To ciepło płynie tylko z miłości. Musi ona być zawsze większa niż wyziębienie woli i cień myślenia.

Cień myślenia i wyziębienie woli to odwrotność prawdy, dobra, istnienia, działań intelektu, szczęścia woli. To właśnie fałsz, zło, unicestwienie, bezmyślność, trwanie w tym, co unieszczęśliwia.

Trwanie bez osoby, którą się kocha, trwanie więc w tym, co unieszczęśliwia, rodzi poczucie odrzucenia.

Wypędzeni z relacji życzliwości, oddzieleni od osób, kierując się smutkiem przestajemy być życzliwi nawet dla siebie. Swoiście oddzielamy się od siebie. Przeżywamy stan odrzucenia siebie. Nikt — tak sądzimy — nie wiąże się z nami więzią wierzenia nam i my nikomu nie wierzymy. Nikt nie wiąże z nami swych oczekiwań, swych nadziei i my nie wiążemy już z nikim naszych oczekiwań i nadziei. Nie wierzymy także sobie i przestajemy czegokolwiek od siebie oczekiwać. Nie widzimy, że odwrotność szczęścia, jego brak, uznaliśmy za coś, co jest, za realność. Fałsz i zło uważamy za cele, które osiągamy. Rozstrzygamy poza myśleniem i decyzjami, poza prawdą i dobrem. Już nie kieruje nami myślenie wyznaczone prawdą. Funkcjonują w nas kojarzące się mechanicznie konsekwencje poczucia odrzucenia. Już nie podejmujemy decyzji kierowanych dobrem. Funkcjonują konsekwencje abulii, tragicznej bezwolności.

Bezwolność. Jakże trafną w tym wypadku jest etymologiczna treść tego słowa. Wola nie działa, nie podejmuje decyzji. To nie jest jednak stan bierności. Ten stan jest prawidłową postawą intelektu. W woli jest on zawieszeniem jej działania. Zachowujemy się bezwolnie, bez udziału, woli, bez woli. Owszem, wtedy ewentualnie ktoś za nas decyduje lub decydują w nas emocje. I nie jest to jeszcze tragiczne. Bezwolność jest utratą wolności. Nie znaczy to, że izolacja, negacja, marzenie

osiągnęły swój niszczący nas pułap. Znaczy to, że wycofując się ze wszystkiego i odrzucając nawet siebie przestajemy być izolowani, negujący, pogrążeni w marzeniu, w innym świecie, który nas nie unieszczęśliwia. Przestajemy być wolni. Opanowują nas konsekwencje lęku, zawstydzenia, bólu, smutku, izolacji, negacji, marzenia, wszystkie konsekwencje poczucia zagrożenia, i utraty celu życia. Opanowują i niszczą.

Lęk wywołał zazdrość. Nie wiedzieliśmy i nawet nie uwierzylibyśmy, że zazdrość oddala kochaną osobę, a nas niszczy, gdyż wprowadza w zawstydzenie. Zawstydzenie wyznaczyło ucieczkę od ludzi. Przestaliśmy szukać pomocy. Uciekliśmy do wnętrza swego bólu. Skupił on naszą uwagę, a nie dzielony z nikim przez zwierzenie, wprowadził w smutek. Smutek oddzielił nas od myślenia, decyzji, emocji, wyizolował nas, oddzielił i skierował do marzeń. Zamknęły się nasze wewnętrzne dzieje. Uciekaliśmy w fikcje, w odwrotność tego, czym żyliśmy i kim jesteśmy. Osiągnięta cisza nie jest uspokojeniem, pokonaniem poczucia zagrożenia. Jest właśnie przechwyceniem nas przez mechanizm konsekwencji poczucia zagrożenia i utraty celu życia.

Już nie umiemy odróżniać celów bliższych, dalszych i ostatecznych. Te najbliższe, tę bolesną dla nas utraconą czyjąś miłość, uznaliśmy za cel ostateczny, podstawowy, jedyny. Skróciły się odległości. Utratę miłości uznaliśmy za spełnienie się naszego losu. Nieobecność ukochanej osoby i trwanie, w tej nieobecności, w tym, co unieszczęśliwia, ten jedyny cel życia odczytaliśmy jako utratę celu. Wprost znaleźliśmy się w sytuacji nieobecności jedynego celu życia. Znaleźliśmy się w pustce, równej niebytowi.

Funkcjonuje konsekwencja tego poczucia pustki. Otacza nas brak, niebyt. A stan odrzucenia siebie także czyni nas brakiem, niebytem. Zjawia się straszliwe poczucie unicestwienia, odwrotność istnienia.

Gdyby pojawił się popłoch, przerażenie perspektywą unicestwienia, może znowu szukalibyśmy ratunku w zazdrości, która uruchamiając myślenie i decyzje uwyraźniłaby nam smutną prawdę o niekochanych. I może wola skłoniłaby nas do uznania tego faktu. Osiągnęlibyśmy wtedy pokorę, tę prawdę o sobie, która i w braku szczęścia każe poszukiwać dobra. Tym dobrem byłoby cierpienie, które jest wiedzą o

bólu i spokojną zgodą na status osoby niekochanej, lecz pełnej tęsknoty. A tęsknota jest życiem, oczekiwaniem, drogą do nadziei.

Nie pojawia się popłoch, przerażenie. Naszą wolność przejęły konsekwencje poczucia pustki. Nawet o tym nie wiemy, gdyż myślenie zamarło. Zamarły decyzje. Rozproszyły się emocje. Już nawet nie płaczą kaprysy. Jest w nas ciemność i zimno. Agonia, oddzielenie się emocji od myślenia i decyzji, rozpad życia duchowego, jego unicestwienie. Nic się w nas nie dzieje. Już nic nie smuci, ani nie raduje. Trwa duchowa pustka.

Rozprasza się powoli życie psychiczne. Tracimy poczucie rzeczywistości, poczucie czasu, obowiązków. Siedzimy w fotelu patrząc bezmyślnie w jeden punkt, w jakąś przestrzeń.

Zapominamy o jedzeniu. Wygasa potrzeba ruchu, fizycznej aktywności. Zaniedbany organizm ulega chorobom. Nie bierzemy lekarstw lub je przyjmujemy. Nie ma w nas jednak woli życia. Bez naszej siły duchowej organizm fizyczny nie może się wybronić. Nie śpimy, nie możemy spać. Ale kiedyś zasypiamy. Na zawsze. Zabiła nas rozpacz.

b) Proces nagły

Osoby, które nas kochają i których miłości nie możemy podjąć, powinniśmy przygotować do przeżywania naszej nieobecności. Gdy odejdziemy nagle, gdy nie zostawimy im czasu na przetrwanie lęku i gdy nie uchronimy ich przed przekształceniem się lęku w zazdrość, przeżyją tę zazdrość, zawstydzenie, ból, smutek, izolację, negację, marzenie, cały proces poczucia zagrożenia, utraty celu życia i wygaśnięcia motywów samoobrony, lecz przeżyją to właśnie nagle. Rozpacz zabije ich natychmiast.

Właśnie trudno ustalić, dlaczego rozpacz zabija niektóre osoby powoli, w długotrwałym procesie, i dlaczego niektóre zabija nagle, natychmiast.

To natychmiastowe zniszczenie ma dwie odmiany: śmierć w wyniku załamania się organizmu fizycznego i śmierć samobójczą, tragiczny los osób, które poddały się rozpaczy.

1: Śmierć naturalna

Ktoś, kogo kochamy, jest naszym oparciem, gdyż miłość wspiera się na jego i naszej realności przystosowując do siebie te dwie osoby do odniesień życzliwych. Ta życzliwość wspomagana jest wiarą, która wyzwala otwartość na siebie tych dwu osób, udostępnienie siebie w pełnej prawdzie. A razem budzą nadzieję, że będzie trwało to spotkanie osób. Jest ono naszym podstawowym środowiskiem, które mając postać miłości, wiary i nadziei jest obecnością osoby kochanej. Ta obecność jest domem, szczęściem, w którym pragnie się zawsze przebywać. Jesteśmy kochani, ktoś nam do końca wierzy. Chcemy być w tych warunkach, w tym środowisku, domu, szczęściu. Aktywizujemy myślenie i decyzje do działań, podtrzymujących w trwaniu miłość, wiarę i nadzieję, nasz prawdziwy dom. Wspierają nas emocje, marzenia, umiejętność podejmowania trudu myślenia i decyzji, trudu pracy dla obrony tego celu życia, którym jest nieutracalna więź z osobami kochanymi, ich obecność.

Jedną z tych osób kochamy najbardziej. Jej istnienie, i obecność przy nas stanowi uzasadnienie wszystkich naszych działań, motywów myślenia i decyzji, zwornik emocji, oparcie, środowisko, dom, szczęście.

I nagle ta ukochana osoba odeszła. Mogło to być niepodjęcie naszej miłości, jej odrzucenie. Mogła to być także śmierć fizyczna kogoś nad życie kochanego, śmierć niespodziewana lub ta, przed którą nie moglibyśmy uchronić.

Uświadamiamy sobie nagle, że runął dom, że zostało zniszczone szczęście, że nie ma na czym oprzeć trosk i nadziei, że emocje natrafiają na pustkę, że nasze myślenie i decyzje utraciły cel i motyw, że rozpadło się środowisko życia. Przygniatają nas ściany, okna, sprzęty, nie powiązane celem i motywem. Wydaje się nam, że spadamy w dół, w jakąś przepaść, w pustkę bez oparcia. Nie widzimy drzew, kwiatów, ludzi. Nie czujemy ciepła. Jesteśmy w pustce. Nie mamy czym oddychać. Dusimy się. Przestajemy oddychać.

Jakże była tu potrzebna jeszcze jedna miłość: miłość do Boga, do tej Osoby, która przystosowując nas do siebie nie zagraża żadnej naszej miłości, lecz wszystkie je wspiera, pogłębia i utrwala. Tracąc kogoś najbardziej z ludzi ukochanego, nie utracilibyśmy całego domu, całego szczęścia, całej miłości. Trwałoby dalej środowisko życia. Nie byłoby pustki. Byłoby czym oddychać.

Ta miłość do Boga ratuje zakochanych, zaręczonych narzeczonych, tylko ta miłość, gdy pozostają sami tracąc kogoś nad życie kochanego. Ojców lub matki, gdy jedno z nich umiera, ratuje miłość do dzieci. Gdy umiera im dziecko, ratuje ich więź wzajemnej obecności. Zakochanych jeszcze bez rodzin, bez dzieci, ratuje tylko Bóg.

Czyjaś śmierć, przeżywana przez nas od naszej strony, to najpierw bezpowrotne zerwanie kontaktów. Ktoś ukochany już nas nie słyszy, nie widzi, nie odbiera naszych uczuć, myśli, nie reaguje na nasze decyzje, na radość, smutek, łzy. Odchodzi oddzielony pogrzebowym pożegnaniem, znika na zawsze. I tracąc wszystkie z nim więzi, gdy ujmujemy go jako układ tych relacji, zaczynamy myśleć, że dokonało się zupełne unicestwienie nie tylko dotychczasowych kontaktów, lecz także całej osoby. To błędne myślenie tylko relacjami zmusza do przypuszczeń, że grób jest kresem całego istnienia człowieka.

Czyjaś śmierć, przeżywana przez nas od strony zmarłego, lecz w świetle świadectwa Osoby, która własną mocą zmartwychwstała potwierdzając naukę o życiu wiecznym i zbawieniu, jest tylko zniszczeniem kontaktów zależnych od ciała. Ktoś zmarły żyje nadal, bez ciała i dlatego niedostępny naszemu odbiorowi, przeniesiony jako dusza w świat bytów duchowych i w utrwalone powiązanie z Bogiem takie, jakie wybrał na ziemi. Jeżeli zabiegał o trwanie w powiązaniach z Bogiem przez miłość, Bóg utrwali te powiązania. Jeżeli nie podtrzymywał w trwaniu swej miłości do Boga, pozostanie w tym wyborze, pozostanie samotny, gdyż brak miłości izoluje, oddziela i unieszczęśliwia. Znajdzie się w paradoksalnej sytuacji trwania bez miłości na zawsze, nawet wtedy, gdy nastąpi zapowiedziane przez Chrystusa wskrzeszenie umarłych. Jeżeli nas kochał, nawet gdy nie chciał kochać Boga, nie będzie zgubiony, gdyż miłość usprawiedliwia. Będzie tylko prostował i oczyszczał swą miłość w czyśćcu, aż nauczy się ogarniać swą miłością także Boga.

Z pozycji metafizyki istniejących bytów śmierć jest tylko uszkodzeniem struktury człowieka. Zasadniczą strukturę człowieka, jego tworzywo, stanowią istnienie i istota, która jest duszą i ciałem. Gdy człowiek utraci ciało, nie załamuje się jego bytowa struktura. Jest on nadal istnieniem i istotą teraz okaleczoną. Trwa jako istnienie i dusza bez ciała.

Działają w nim władze duszy: intelekt i wola, skierowane tylko do bytów duchowych, gdyż bez ciała nie może tworzyć pojęć o świecie i ludziach. Nie mając ciała, w ogóle nie może tworzyć pojęć. Może je jedynie otrzymywać, już gotowe, uzyskiwać od Boga, jeżeli Bóg zechce mu je przekazywać. Wola, kierowana zawsze wiedzą człowieka, teraz uzyskiwaną od Boga, podejmuje decyzje zgodnie z tą wiedzą. Tak operując poznaniem i decyzjami, człowiek ma ponadto do dyspozycji to, co uzyskał do chwili śmierci: swoje rozumienia i stan wyborów. I na ich miarę aż do wskrzeszenia przez Chrystusa będzie poznawał i wybierał Boga. Po zmartwychwstaniu ciał uzyska pełną zdolność samodzielnego poznawania oraz uzyska władzę bezpośredniego ujmowania istoty Boga, który jest samoistnym Istnieniem jako byt i Trójcą Osób jako Bóg.

Funkcjonują też w człowieku własności, które posiada on ze względu na swoje istnienie, na przykład omawiana tu realność, prawda, dobro. Te własności zawsze są podstawą, gdy oddziała na nie Bóg, powiązań z Bogiem przez miłość. Nawet więc ci, którzy nie kochali Boga, teraz widząc Go bezpośrednio, nie będą swym poznaniem i decyzjami uniemożliwiali trwania tych powiązań. Wręcz odwrotnie, rozumiejąc w czyśćcu szanse miłości, zdecydują się na tę miłość. A zbawieni, którzy czyściec oczyszczeń przeszli na ziemi, będą od chwili zgonu żyli szczęściem obecności Boga.

Obecność osób, Boga i ludzi, zawsze właśnie uszczęśliwia. Ich nieobecność, zarówno na ziemi, jak i po śmierci, zawsze unieszczęśliwia, wprowadza w rozpacz, która zabija.

2: Śmierć samobójcza

Nigdy nie należy podejmować takiej śmierci, nigdy. Zawsze nas ona kompromituje. Ujawnia, że w naszym myśleniu zdobył przewagę absurd, uznany za argument. Absurd jest zarazem błędem. Polega on na przyznaniu zerwanym kontaktom pozycji bytu, na potraktowaniu więc nieobecności, tego, czego nie ma, jak tego, co, jest, skoro to wybieram. Ujawnia też, że naszą decyzją wybraliśmy absurd i błąd, jakby na złość sobie, w jakiejś nonsensownej próżności, która peszy w tragicznej i poważnej sytuacji utraty czyjejś miłości. Ta sytuacja wymaga powagi, a nie zachowań bez rozsądku, bez rozeznania i właściwych decyzji. Ujawnia ponadto, że nie

ukształtowaliśmy w sobie do końca godnej człowieka postawy szacunku wobec cudzej własności, którą jest udzielone nami przez Stwórcę istnienie. Zostało nam dane, aby było szansą naszego życia, aby było bez uszczerbku przechowane do czasu, gdy Właściciel istnień zabierze je do siebie. Tymczasem wyrzuciliśmy z siebie istnienie, brutalnie zwróciliśmy je Bogu niszcząc swoje życie, które także jest własnością Boga. Niszcząc życie, targnęliśmy się na prawa autorskie Boga, popełniliśmy kradzież, jakże przykry czyn człowieka, odsuwający przyjaciół, stawiający w kolizji z prawem i dobrym wychowaniem. Ujawniliśmy, że nie kierowane myśleniem i decyzjami emocje, oddzielone od intelektu, i woli, rozproszone brakiem skupiającej je miłości, poza nami, lecz w nas i przeciw nam wybuchły kaprysem poparcia absurdu i błędu pchając nas, ludzi, jak bezwolne zwierzęta lub rzeczy, jak sprzęty, szpargały w szufladzie, na śmietnik spraw, poza nawias w zniszczenie, zbutwienie, rozpad, unicestwienie miłości.

Jakże kompromituje człowieka, jakże uwłacza jego godności śmierć samobójcza!

Tak jawi się ona myślącemu obserwatorowi. Tak powinniśmy ją widzieć i rozumieć.

Zaskoczeni jednak nagłym odejściem osoby kochanej, na tyle, na szczęście, zdrowi, że nie pękło nam serce, co pozwoliłoby walczyć z rozpaczą i ją pokonać, wpadamy w popłoch, przerażenie. Z zawrotną szybkością przebiega w nas zazdrość, zawstydzenie, ból, smutek, izolacja, negacja, marzenie, utrata celu życia, motywów samoobrony, cały proces poczucia zagrożenia. I zamiast pomyśleć, wstrzymać decyzje, gdy szaleją emocje tworząc w nas popłoch i przerażenie, zamiast chwycić się cierpliwości, jak pływającej belki na wzburzonym morzu, wbrew temu odruchowi samoobrony sięgamy po narzędzie zniszczenia życia.

Dlaczego, o Boże, dlaczego? Ojcze, matko, synu, córko, dziecko moje, dlaczego? Kolego, przyjacielu, mój uczniu, studencie, towarzyszu pracy, dlaczego?

Wiem, że odejście osoby kochanej jest zawaleniem się świata. Jest utratą celu życia. Jest zniszczeniem środowiska, w którym się żyło, jest pożarem, powodzią. Jest perspektywą życia bez miłości, bez celu, w pustce, odrzuceniu, bólu, izolacji, samotności.

Samotność niekochanych jest tak wielka, że jej przeciwwagą jest aż świętość, podobna agonia celów dla wybronienia jednego celu: miłości do Boga. Każda samotność izoluje i boli. Nie musi jednak mieć na zawsze kształtu poczucia odrzucenia. Owszem, taki kształt przybiera nawet świętość w okresie biernego oczyszczenia duszy. I gdy poczucie odrzucenia się utrwali, niszczy świętość, podobnie jak niszczy niekochanych. Gdy się utrwali, przenosi w pustkę, w odwrotność życia.

Gdy kochamy kogoś nad życie, wtedy życie ma dla nas mniejszą wartość niż osoba kochana. Święci to ci, którzy to życie zawierzyli Bogu, stwórcy istnienia i właścicielowi życia. Niekochani to ci, którzy to życie, zawierzone osobie kochanej, która nagle odeszła, teraz z siebie wyrzucają, aby w swej złości, motywowanej próżnością, już nic nie mieć z tego, co przypomina miłość. Utraciwszy miłość, niszczą także jej podmiot, siebie, aby miłość nie mogła się odrodzić. Ma to więc jednak postać próżności: popatrzcie, co potrafię. Niech ginie wszystko.

Jakże przykra jest ta motywacja samobójstwa. Jakże ponadto egoistyczna. Jakże paradoksalna: obraziwszy się na osobę, która nie podjęła mojej miłości, obrażam się na siebie, na cały świat, na drzewa, kwiaty, ludzi, na ciepło, światło, powietrze, na Pana Boga, na swoją pracę. Wszystko niszczę. Odchodzę. Porzucony, także porzucam, i to dotkliwiej niż ty, miłości, która mnie zawiodłaś, gdyż porzucam wszystko. Porzucam także mdłość, ciebie, okrutna miłości, której już nie chcę.

A jednak nie porzucasz wszystkiego. Nie porzucasz siebie. Istniejesz dalej bez ciała. I bojąc się samotności skazujesz się na samotność bez Boga i osób, które odnalazłbyś po śmierci, gdybyś nie zerwał kontaktów z Bogiem przez kradzież swego życia, przez zniszczenie go bezmyślne, wprost głupie, poza rozsądkiem, wiedzą, rozważną decyzją.

Może samobójstwa przytrafiają się osobom, które negują istnienie Boga. A może jest jeszcze inaczej.

Może jest i tak, że mści się niewiedza, ignorancja, zła teologia. Grzech samobójstwa staje się wtedy grzechem cudzym. Może ktoś właśnie wie i wierzy, że nasze istnienie trwa po śmierci ciała. Gdy więc umiera ktoś kochany, może wtedy śmierć samobójcza jest niecierpliwym przejściem na drugą stronę życia, aby być razem z osobą, która mi umarła. Biegnę za tą osobą. Także umieram niszcząc swoje życie. Nie

myślę, nie pamiętam, że życie jest własnością Boga, że kradzieży nie usprawiedliwia moja nieopanowana tęsknota. Źle myślę, za mało wiem, błąd wyznacza moją decyzję. Zresztą to nie jest decyzja, to emocje, przekształcone w namiętność, burza namiętności i błyskawica, uderzenie gromu, który zabija. To uruchomienie przez burzę moich rąk i błyskawica narzędzia, którym niszczę swoje życie.

Gdy jednak nikt mi nie umarł, gdy zerwały się tylko moje kontakty z kimś kochanym, gdy odszedł, gdy przeraziła mnie perspektywa samotności, długie życie osoby niekochanej, odrzucenie, pustka, gdy właśnie przeraziła mnie pustka, czyż trzeba aż umierać niszcząc życie własnymi rękami? Nie wolno tego robić. Nie wolno.

Robi się to jednak. Rozpacz zabija, gdy się jej poddamy.

2. BUDOWANIE NADZIEI (nie poddawanie się rozpaczy)

Rozpacz jest procesem. Zapewne są w tym procesie słabe punkty, na które można oddziałać dobrem. Można więc je przekształcić i skierować ku nadziei.

Rozpacz jest złem, jest procesem zagłady. Zaczyna się od poczucia zagrożenia, a kończy się śmiercią.

Źródłem lub przyczyną zewnętrzną rozpaczy jest utrata miłości. Ta utrata jest przeżyciem tak mocnym i o tak tragicznych skutkach wtedy, gdy tego przeżycia nie możemy ani zrozumieć, ani zobiektywizować, gdy więc nie radzi z nim sobie ani nasze myślenie, ani nasza decyzja. Jest to więc utrata podstawowego przedmiotu myślenia i podstawowego uzasadnienia decyzji. Gdy intelekt i wola nie kierują się do tego przedmiotu, nie kierują się tam także emocje. Nie są scalane, mobilizowane. Rozpraszają się, wygasają.

Przyczyną wewnętrzną rozpaczy lub zespołem sprawiających ją działań jest rozrywanie związku między intelektem, wolą i emocjami, niszczenie jedności podporządkowań, stawanie się wewnętrznego chaosu, rozpad życia wewnętrznego.

Kresem procesu rozpaczy jest oddzielenie działań intelektu i woli od emocji, ich rozproszenie, a w wyniku tego śmierć duchowa, z kolei fizyczna, często wieczna, będąca izolacją na zawsze.

Utrata miłości jest odrzuceniem. Jest nieszczęściem, gdy ta miłość wiązała nas z ludźmi, jest potępieniem, gdy wiązała nas z Bogiem. I prowadzi do dwóch stanów: właśnie do rozpaczy lub do niepoddania się rozpaczy. Można i w niej budować nadzieję.

Poszukajmy właśnie w procesie rozpaczy tych miejsc słabych, które wzmacniając dobrem moglibyśmy uczynić początkiem drogi do nadziei. Stopnie narastania nadziei są bowiem stopniami przezwyciężania rozpaczy.

1) PRZEZWYCIĘŻANIE POCZUCIA ZAGROŻENIA

Podkreślmy najpierw mocno, że utrata miłości jest przede wszystkim utratą osoby, z którą wiązała nas miłość. Utrata osoby kochanej nie jest zarazem wygaśnięciem miłości, która nas z kimś łączyła. Na ten fakt wskazuje zazdrość. Jest ona przecież walką o to, aby kresem relacji miłości była wybrana przez nas osoba, nie inna, ta jedyna, ukochana.

Należy podtrzymywać w zrozpaczonych tę właśnie miłość. Podtrzymują ją w trwaniu nasze działania poznawcze i decyzje. Aby więc uratować miłość, trzeba wzbogacać poznanie i aktywizować decyzje, aby intelekt był wciąż w kontakcie z prawdą, a wola z dobrem. Gdy się to nie udaje, należy ratować emocje, gdyż rozpacz polega na oddzieleniu emocji od myślenia i decyzji, a z kolei na ich rozproszeniu. Ratować emocje to scalać je jakąś fascynacją, jakimkolwiek pięknem, by wyrywało z bierności, rozproszenia, chaosu.

Piękno nie liczy się w miłości. Jest tylko apelem, przywoływaniem miłości. Gdy pokochamy, przestaje mieć znaczenie. Liczy się jednak ogromnie w rozpaczy.

Gdy przestaje działać intelekt, a zależna od jego informacji wola nie podejmuje decyzji, wtedy osamotnione emocje, niepoddane intelektowi i woli, są zagrożone właśnie biernością, rozproszeniem, chaosem. I wtedy może je scalać piękno, bodziec tak silny, że zastępuje intelekt i wolę. Piękno bowiem przywiązuje, porywa, zatrzymuje przy sobie. Może dlatego twórcy zakonów wznosili klasztory w pięknych krajobrazach, aby chroniły one zakonników, gdy będą przeżywali podobną do rozpaczy ciemną noc duszy, to oczyszczenie, powodowane przez Boga, które jest agonią innych niż Bóg

celów życia i jest zarazem uczeniem się umiejętności trwania w miłości, wierze i nadziei, trwania przy Bogu.

Ratować miłość, gdy utraciliśmy ukochaną osobę, to chronić emocje przed zagładą fascynując je pięknem: oglądaniem obrazów, rzeźby, architektury, krajobrazów, gór, morza, lasów, kwiatów, słuchaniem muzyki, poezji. Te doznania mogą przyciągnąć myślenie, wyzwolić wybory, powodować powoli wewnętrzną aktywność człowieka.

Trzeba to robić zaraz. Gdy sami nie mamy siły ani skojarzeń, by stykać się z pięknem, musi nas prowadzić do piękna ktoś z naszych przyjaciół, znajomych, bliskich. Ktoś musi pomóc. Musi ułatwić zafascynowanie lub sam zafascynować swą myślą, atrakcyjnością, bezinteresownością, dobrocią.

Gdy zauważymy, że wywołuje to wdzięczność, możemy być pewni, że piękno oddziaływa na uczucia. Wdzięczność jest bowiem wewnętrzną aktywnością człowieka, znakiem scalania emocji. Jest przesłanym uśmiechem. Jest łagodnością, wyjściem na chwilę z tragicznego losu, przerwaniem procesu pogrążania się w rozpaczy. Nie jest jednak jeszcze uratowaniem miłości. Jest pierwszym punktem w walce o skierowanie kogoś ku nadziei.

Pilnując kontaktów z pięknem i wywoływania wdzięczności należy wyrywać zrozpaczonego z dalszych etapów zagrożenia.

a) Wydobywanie z lęku

Gdy poczucie zagrożenia przybierze postać lęku, należy dotkniętego nim wyrywać z jego objawów. Zupełnie odwrotnie niż w medycynie. W tym wypadku należy leczyć objawy, nie ich źródło. Lęku nie wolno dotykać. Źle robią egzystencjaliści, że każą człowiekowi posługiwać się swym lękiem. Ten lęk należy ignorować, nie dostrzegać go, pomijać, aby nie wywołać bólu. Lęk należy niszczyć poprzez jego wcielenia, którymi są podejrzenia, przypuszczenia, zazdrość, popłoch, panika.

Podejrzenie, przypuszczenie, a pośrednio zazdrość, są wynikiem pomylenia możliwości z realnością. Są uznaniem postulatu za to, co jest, marzenia za rzeczywistość. Myślenie możliwościami, postulatami, marzeniami, a nie realnymi

bytami i dobrze zidentyfikowanymi ich własnościami oraz relacjami, wywołuje właśnie popłoch i panikę.

Z podejrzeń i przypuszczeń, pośrednio więc z zazdrości, należy leczyć ucząc odróżniania tego, co możliwe, od tego, co realne. Należy odzwyczajać od wiązania emocji z podejrzeniami i przypuszczeniami, z możliwością, postulatem i marzeniem. Należy wiązać emocje z tym, co prawdziwe i dobre w realnych bytach, gdyż prawda i dobro nie przysługują możliwościom, postulatom, i marzeniom, które są tylko kombinacjami pojęć, tylko myśleniem aksjologicznym, a nie identyfikującym realną rzeczywistość. Trzeba po prostu uczyć metafizyki bytu. Zresztą nie wiem, czy bez tej metafizyki można w ogóle uratować swą miłość i życie.

Lęk najpełniej przejawia się w zazdrości. Bezpośrednio leczy się z niej stosując kilka zabiegów: ukazywanie w zazdrości ładunku złudzenia, łagodzenie apodyktyczności, zachęcanie do akceptowania wolności, budzenie zaufania do ludzi. Ukazywanie w zazdrości złudzenia to nawiązywanie do szkodliwości myślenia możliwościami. Nie wszystkich jednak przekonują zarzuty stawiane temu myśleniu, gdyż jako przedmiot analiz filozoficznych tkwi ono głęboko w naszej kulturze. Trzeba by na nowo nauczyć myślenia realnymi bytami, co trwa dość długo. Zresztą argumenty rozumowe nie zawsze mobilizują emocję i człowiek przyjmuje je z rezerwą.

Należy może raczej posłużyć się tą właśnie pedagogiką, która opiera się na postulatach i dyskwalifikować apodyktyczność wobec ludzi. Ponieważ apodyktyczność jest podporządkowywaniem sobie ludzi, nawet osoby kochanej, należy zachęcać do akceptowania czyjejś wolności. Wyjaśniać, że miłość jest darem i że wobec tego ma źródło w wolności. Chronienie i nie atakowanie wolności, wspomaganie jej, zabezpiecza miłość. Zniechęcając do apodyktyczności i zachęcając do akceptowania wolności, starajmy się zarazem ukazywać wartość zaufania. Można nie formułować tego wprost, lecz wspólnie rozważać na przykład treść pierwszego i siódmego przykazania. Pierwsze uczy przesunięcia siebie na drugie miejsce i oddania pierwszego miejsca Bogu. Uczy właśnie miłości: służenia osobie kochanej, a nie podporządkowania jej sobie. Siódme przykazanie uczy nie zabierania tego, co nie jest moje. Odzwyczaja od stosowania przemocy, usprawnia w duchowej elegancji, w szacunku dla czegoś, co powinno być darem. Dyskwalifikuje więc zazdrość, jako apodyktyczne zabieranie sobie

kogoś wbrew jego wolności. I chroni przed najgorszym, przed tym, co może nadejść, przed przywłaszczeniem sobie własnego życia: chroni przed samobójczą śmiercią, którą jednak czasem podejmują załamani utratą miłości, gdy nie udało im się przezwyciężyć rozpaczy. W ogóle wychowanie do poszanowania czyjejś własności i wykluczenia kradzieży przygotowuje do szanowania życia, wolności, miłości. Otwiera na miłość, na ludzi. Należy wtedy korzystnie ukazywać znajomych, bohaterów książek, osoby znane z historii. Należy uczyć życzliwego myślenia o ludziach, gdyż właśnie złe przeżycie utraty osoby kochanej wyzwoliło nieufność. To ukazywanie ludzi w ich zaletach, w dobrym świetle, może obudzić potrzebę przyjaźni, poszerzenia więc kręgu osób kochanych. Zmaleje wtedy tragizm utraty tej jedynej, wybranej osoby. Trzeba jednak uważać, aby to poszerzanie kręgu przyjaciół nie zostało odczytane jako akceptacja odejścia tego kogoś tak rozpaczliwie upragnionego. Nigdy bowiem nie wolno atakować tego, co ktoś kocha. Nigdy nie wolno nie potwierdzać zachwytu wobec osób kochanych. Nie wolno bowiem ranić. Ktoś, kogo chcemy ochronić, odsunie się od nas. Nie wyrwiemy go wtedy z zazdrości. Przeżyje zawstydzenie, które jest pogłębieniem się poczucia zagrożenia.

Gdy ktoś zainteresował się filozofią bytu, gdy rezygnując z myślenia możliwościami i z postawy apodyktyczności powtórzył zachowania łagodne, gdy w wypowiedziach wskazywał na zalety ludzi, to znak, że kolejne miejsca w procesie rozpaczy udało się napełnić dobrem. Może ono przerwać rozpacz. Gdy jednak lęk był bardzo głęboki, tak głęboki, że może tam dotrzeć tylko miłość i tylko Bóg, rozpacz trwa dalej, a poczucie zagrożenia przekształca się w zawstydzenie.

b) Zapobieganie zawstydzeniu

Zawstydzeniu można wyjść naprzeciw zachęcając do wycieczek, do spacerów po parku, w ogrodach, do zwiedzania muzeów, miast, i krajów. Zawstydzenie bowiem ma najczęściej postać ucieczki. Trzeba wobec tego uprzedzić zrywanie kontaktów, zmianę miejsca pracy. Trzeba wziąć urlop i trzeba udzielić urlopu. Ci, którzy decydują o urlopach, powinni pilnie studiować powody prośby o przerwę w pracy. I powinni ją nawet zalecić, aby kogoś nie zabiło zmęczenie lub właśnie zawstydzenie.

Trzeba jednak towarzyszyć w tej przerwie, w urlopie, w zwiedzaniu, spacerze, wycieczce. Trzeba być blisko, gdyż zawstydzenie, wywołane popłochem i paniką, ma postać przerażenia, zmuszającego do ucieczki lub zamknięcia się w sobie. Przed ucieczką ratuje spacer, urlop. Nie ratuje przed zamknięciem się w sobie. Potrzebna jest wtedy inna pomoc: obecność osób.

Doprowadzenie do pozostawienia otwartych drzwi duszy, do nie-zatrzaśnięcia okien, wymaga właśnie obecności przyjaciół. Nie jest to ta obecność najpotrzebniejsza, likwidująca poczucie utraty miłości. Jest to obecność mistrza, nauczyciela, wychowawcy, który musi przeprowadzić z pozycji rozpaczy, z pustki wewnętrznej, z agonii, znowu w szczęście, w dotychczasową aktywność wewnętrzną, w pełnię życia. Takich zadań nawet sobie nie uświadamiamy, rzadko je podejmujemy, a gdy już jesteśmy przy zrozpaczonych, to poddając się ich przerażeniu nie śledzimy etapów procesu zagłady ich życia, nie wnosimy dobra w słabe miejsca rozpaczy, lecz tylko jesteśmy. Jakże jednak i to jest wielkim dobrem. Być przy kimś cierpiącym, być jak ciepło, powietrze, oparcie.

Ratowanie przed zamknięciem się w sobie to wprost nużące przekształcenie w „tak" wszystkich „nie", stanowiących teraz repertuar przeżyć kogoś zrozpaczonego.

Wstydzi się on, że nie służył miłością, że ją sobie podporządkowywał, że nie był dość mocny, że uległ panice, że zazdrościł, że jest samotny, że tęskni, walczy, że przegrał. Wstydzi się odrzucenia, negacji, pogardy.

I trzeba mu z uporem powtarzać, że służył, jak umiał, że chronił miłość, że był silny, spokojny, że szanował wolność, że ma przyjaciół, że słusznie chce obronić swą miłość, że wygrał, że nie jest to jeszcze odrzucenie, negacja, pogarda, lecz refleksja osoby, która odeszła, jej proces wyboru. Należy oddziaływać ukazywaniem osiągnięć i zalet po obu stronach miłości.

Powinno się zaatakować samo zawstydzenie. Jest ono bowiem znakiem, że przez miłość rozumiemy tylko wzajemność. Jest to słuszne rozumienie w perspektywie metafizyki tylko relacji. Owszem, miłość jest relacją łączącą dwie osoby. Taka jest jej natura. Jednak w perspektywie metafizyki bytu nie miłość decyduje o losie osób, o tym, że mają być razem. O losie miłości decydują osoby. I swoją miłością mają służyć osobom, a nie miłości. To nie osoby podlegają miłości, lecz miłość podlega osobom.

Zawstydzenie ma więc źródło w relacjonistycznym myśleniu o miłości, może w socjologicznie ujmowanej sprawiedliwości. Uważamy, że za miłość powinniśmy otrzymać miłość. Tymczasem miłość przekracza sprawiedliwość, gdyż jest darem, a daru nie można odwzajemnić. Nie podlega on sprawiedliwości, lecz wolności. Kochając, nie mamy podstaw do spodziewania się miłości. Możemy miłością tylko służyć. A służąc, nie zarabiamy na miłość. Miłość, jako dar, wynika z innych uwarunkowań: z samego istnienia, przystosowującego do siebie inny byt istniejący. Utożsamiamy miłość z obecnością. Miłość jest postacią obecności, ale nie musi przybrać tej postaci. I gdy jej nie przybierze, jest tylko służbą bez rewanżu, bez wzajemności. Wyznacza nieobecność, lecz nie osamotnienie. A zgoda na czyjąś nieobecność wymaga nauczenia się heroizmu.

Aż tyle wyjaśnień trzeba przeciwstawić zawstydzeniu, tej trudnej postaci poczucia zagrożenia.

Nie zawsze te wyjaśnienia uspokajają. Najczęściej w ogóle nie wnoszą spokoju. Potrzeba obecności osoby kochanej jest tak silna, a motywowane próżnością cofnięcie się w siebie, to obrażenie się mające postać zawstydzenia, tak głębokie, że wprowadzają w etap bólu, w nową postać procesu rozpaczy.

c) Leczenie bólu

Łatwiej leczyć z bólu niż z zawstydzenia. Przełamaniem zawstydzenia jest zwierzenie. Gdy ktoś zaczyna się zwierzać, opowiadać sobie, właśnie wtedy przełamuje zawstydzenie. Powinniśmy więc zawsze mieć czas na słuchanie czyichś bolesnych zwierzeń. Słuchać i w ten sposób utrwalać otwarcie okien duszy. Nie należy odchodzić, przerywać, należy swą łagodnością i zainteresowaniem podtrzymać nieśmiałe wychodzenie przeżyć z ich zamknięcia. Tak łatwo bowiem mogą się one cofnąć. I wtedy nasza służba ludziom będzie musiała polegać na wyrywaniu ich z bólu.

Bólem są wszystkie przegrane, wszystkie niepowodzenia, utrata miłości. Ból dokucza na poziomie ciała i psychiki. Na poziomie psychicznym jest już świadomością bólu. Już wiemy, co się stało. Wyrażamy to w pojęciach, zdaniach, raczej bezładnie, gdyż na poziomie psychiki nie stosujemy rozumowań. One są dziełem duszy. Trzeba

więc przenieść ból na poziom duszy. Tu staje się on cierpieniem, które jest rozumieniem uświadomionego sobie bólu.

Przeniesienie bólu na poziom duszy, rozumienie go, leczenie rozumowaniami, szukaniem źródeł i konsekwencji, to już wyrwanie się z procesu rozpaczy. Cierpienie jest uratowaniem człowieka. Nie niszczy duszy, gdyż jest ona niezniszczalna, raczej ją leczy, gdyż oczyszcza, umacnia, czyni czymś odpornym, przewidującym, wyrozumiałym, wybaczającym. Aby jednak cierpienie tak funkcjonowało, połączona ze smutkiem cierpliwość musi wywołać żal pokutę. Gdy jeszcze nie zaatakował nas smutek, gdy jesteśmy dopiero na etapie bólu, trzeba świadomości, zwierzającej swoje niepowodzenia, dostarczać zasad ładu, trzeba jej zwierzenia układać w grupę źródeł, wydarzeń, konsekwencji. Podjęcie przez kogoś, kto przeżywa ból, rozumowań, to przenoszenie bólu z psychiki na poziom duszy. Gdy przy pomocy rozumowań znajdą się one w duszy, będzie można uruchomić decyzje, co jednak nie przychodzi łatwo, Wymaga to bowiem właśnie żalu i pokuty, które potrzebują smutku.

Ból więc, utrwalony w psychice, to smutek. Może nam się nie udać wyrwanie kogoś ze smutku. Wtedy etapem rozpaczy staje się izolacja. Gdy jednak uda się nam związać smutek z cierpliwością, ból przeniesiony z psychiki w duszę dzięki rozumowaniom, teraz jako cierpienie powiąże się z żalem i pokutą. Wtedy mi tylko zostaje przerwana rozpacz, lecz zaczyna się także leczenie duszy z ran, zadanych utratą osoby kochanej.

d) Przełamywanie smutku

Smutek, jako ból w obszarze psychiki, jest zawieszeniem działań, nawet wygaśnięciem potrzeby zwierzeń. Jest wobec tego oczekiwaniem, jeszcze oczekiwaniem. Trzeba to oczekiwanie przedłużać, trzeba sugerować, że wróci osoba kochana, gdyż przecież może się zdarzyć, że wróci. Trzeba wywołać cierpliwość, wprost wiązać smutek z cierpliwością.

Smutek powiązany z cierpliwością to już tęsknota. A tęsknota jest normalnym życiem duszy. Ona właśnie budzi żal, że stosowaliśmy błędne działania i wywołuje pokutę, która jest przemianą myślenia i wprowadzaniem nowych działań, lepszych, zgodnych z prawdą i dobrem, chroniących miłość i zbliżających do ukochanych osób.

Wiązanie jednak smutku z cierpliwością, która jest zgodą na cierpienie, wprowadzające w tęsknotę, w stan aprobowania nieobecności kogoś kochanego, w stan tylko nadziei, odwrotności rozpaczy, nie jest łatwe. Trzeba bowiem jeszcze mocniej ożywić uczucia. Fascynowaliśmy je pięknem, aby wywołać wdzięczność. To przeżycie chroniło człowieka. Na etapie smutku trzeba także fascynować emocje pięknem. Nie wystarczą tu jednak obrazy, rzeźba, architektura, pejzaże, góry, morza, lasy, kwiaty, muzyka, poezja. Nie wystarczy oddziaływanie na wzrok i słuch, docieranie do uczuć przez ciało. Potrzebne jest zafascynowanie pięknem wielkiej myśli, filozofii bytu, teologii, może tym, co św. Franciszek z Asyżu mówił o radości doskonałej, może aż treścią Ewangelii.

Gdy jednak nie uda się przeprowadzenie kogoś ze smutku w tęsknotę, gdy intelekt nie zareaguje na fascynacje wspomagane emocjami, zacznie się proces utraty celu życia.

2) OBRONA PRZED UTRATĄ CELU ŻYCJA

Jeżeli jest zagrożony cel życia, to trzeba właśnie bronić tego celu. Jeżeli ktoś go utracił, to albo musi skierować się do nowego celu, albo zgodzić się na tę utratę i w niej uznać swój los: samotność miłości.

Zarówno nowy cel życia, jak i zgoda na samotność miłości, wymagają przebudowy duchowego życia człowieka. Całe ukierunkowanie duchowe na dotychczasowy cel trzeba przekształcić. Proces tego przekształcenia nazywa się metanoją: oczyszczenie z tego, co było, oraz zrozumienie i wybranie innej perspektywy. Musi się to odbywać w pełnej prawdzie iw pełnym dobru, gdyż na tym etapie rozpaczy nie wystarczy cokolwiek. Trzeba umiłować nową sytuację, by mieć siłę intelektualnie ją podjąć i spełniać swymi decyzjami. Intelekt oczyszczany prawdą nabywa pokory, która stanowi zrozumienie tego, co faktycznie jest i odsunięcie tego, co fałszywe, złudne, fikcyjne, nie odniesione do nas. Wola oczyszczona dobrem podejmuje decyzje, wprowadzające w humanizm: w służbę osobom przez miłość, wiarę i nadzieję, w służbę bez rewanżu, bez wzajemności, w służbę heroiczną.

Jest w nas wciąż miłość, teraz obolała, chora, cierpiąca, odrzucona. Jest. I ona stanowi podstawę, a zarazem szansę metanoi: oczyszczenia, a także zrozumień na poziomie pokory i decyzji, na poziomie humanizmu.

Aby ta miłość zaczęła chronić człowieka od wewnątrz, trzeba otoczyć opieką przede wszystkim smutek i cierpliwość, aby pojawiła się tęsknota. Gdy emocje, fascynowane pięknem wielkiej myśli, przesuną ból w obręb duszy i stanie się on cierpieniem, tęsknota razem z cierpieniem zaczną leczyć chorą miłość. Cierpienie będzie oczyszczało myślenie i decyzje, a tęsknota będzie je kierowała poza wnętrze człowieka do tego, co piękne, by stąd przejść do prawdy i dobra.

Wywołanie takiego procesu nie jest łatwe. Smutek bowiem jest bardzo oporny, trudno dostępny. W swej pełnej postaci jest potrzebą pustki i dlatego tak łatwo mu przekształcić się w izolację. Najpierw łudzi tym, że człowiek uzyskał wewnętrzną ciszę, a potem sytuuje nas w izolacji. Cisza jest pogłębieniem zawieszenia myślenia, decyzji, emocji. Ale jako to zawieszenie jest bliska oczekiwaniu i cierpliwości. Trzeba więc w dalszym ciągu podtrzymywać oczekiwanie i cierpliwość. Trzeba też aktywizować potrzebę rozmów, gdyż cisza wyklucza konsultację, pytania, dialog. Z osobami smutnymi, które wciąż od nas odchodzą w osobność, izolację, trzeba rozmawiać, trzeba ich szukać, odwiedzać je, otaczać ludźmi, problemami, zadaniami, aby cisza nie stała się izolacją, a z kolei negacją wszystkiego. Gdy to się stanie, gdy będziemy odsuwani nieczułością, niewrażliwością, odejściem, trzeba po prostu się narzucać, trzeba znowu powodować wdzięczność, w dalszym ciągu fascynować, być, wymyślając cokolwiek, co uzasadni spotkanie. Tak przecież szuka się owcy, która zginęła, ukrytej perły. I zapalą się światło, aby było widać to, co zginęło, to, co ukryte.

Doniosła jest rola odwiedzin, wizyt, spotkań, obecności. Przecież nieobecność ukochanej osoby jest źródłem tragedii, tej rozwijającej się rozpaczy. Każda więc obecność leczy, jest przynajmniej przewinięciem rany utraty, jest odrobiną lekarstwa, które może wywołać regenerację miłości.

Tylko miłość może przywrócić potrzebę pracy, chęć do uczenia się, rozwijania intelektu, porzucenia bezczynności. Może podtrzymać oczekiwania, pomóc odnaleźć cel życia, wyrwać z fałszu, zła, bezmyślności, z procesu unicestwienia.

Ożywianie miłości na tym etapie zagrożenia rozpaczą musi polegać na przełamywaniu reagowań mechanicznych, na zachęcaniu do działań przez wiązanie ich z radością.

Działania mechaniczne to wykonywanie zadań z nawyku, bez wewnętrznego przejęcia, niedokładnie, bez radości. To zarazem uchylanie się od pracy, wybór raczej braku działań. Znaczy to, że dzieje się wszystko nie tylko poza myśleniem i decyzjami, lecz także poza emocjami. Nie fascynuje już piękno rzeczy i myśli. I nie należy już teraz nimi oddziaływać. Nie należy też leczyć pracą. Będzie ona wciąż mechaniczna, bez efektów wytwórczych i psychicznych.

Trzeba podjąć to, co dzieje się w wewnętrznej sytuacji zrozpaczonego. Ponieważ sytuacja ta polega na ucieczce od rzeczywistości w marzenie, w myślenie możliwościami, które uspokajając trochę pocieszają, i polega na ucieczce decyzji w tę radującą pociechę, należy stosować myślenie możliwościami i podtrzymywać tę wątłą radość tak oddziałując, by budziła się tęsknota.

Ucieczka w myślenie możliwościami jest odejściem od prawdy. W związku z tym załamuje się wiara, którą stanowi relacją, wywołana oddziaływaniem na siebie osób tą właśnie własnością. Załamuje się wierzenie ludziom i wiara w Boga. Nie pomogą argumenty metafizyczne i teologiczne, wspierające się na identyfikowaniu rzeczywistości, od której odstąpiło myślenie. Mogą pomóc argumenty możliwościowe. Ratował się nimi, jak wiemy, nawet Pascal. Nie wymagają rozstrzygnięć ani decyzji, wymagają tylko rozważenia. Trzeba te możliwości rozważać i ukazywać. Może ożywią, może zregenerują myślenie. Przebywanie w tych możliwościach jest teraz ratunkiem. Tę samą pozycję rozstrzygnięcia ma w obszarze możliwości tak nieistnienie, jak i istnienie Boga, Są tylko możliwościami. Wszystko jedno, którą będziemy się kierowali. Możemy więc tak postępować, jak gdyby Bóg istniał. Takie rozważania trzeba stosować lub sugerować. Może ożywią radość, która w reagowania mechaniczne wniesie cel, choć cień celu, z którego jest dojście do światła, nadzieja nadziei.

Ucieczka w radującą pociechę, płynąca z marzeń, z kojarzenia możliwości, a więc kojarzenia raczej zdań i sądów niż rozumowań, to oddalenie od myślenia i decyzji, lecz zbliżenie do smutku i wniesienie w ten cień miłości czegoś pozytywnego: odrobiny ciepła. Trzeba tę radość powiększać, by zmniejszała wyziębienie, by rozgrzewała

emocje, wstrzymywała proces spełniania się konsekwencji odwrotności prawdy, dobra, istnienia, myślenia, szczęścia, by podtrzymywała oczekiwanie, które przemienia smutek w tęsknotę. I trzeba czekać mnożąc możliwości i powiększając radość. Może oczekiwanie przemieni smutek w tęsknotę. Tęsknota wzmocni cierpienie, a cierpienie wyrwie z rozpaczy.

Jeszcze tu, jeszcze na tym etapie, procesu wewnętrznej zagłady może uratować człowieka jego cierpienie.

3) OŻYWIANIE MOTYWÓW SAMOOBRONY

Na etapie rozpaczy, którym jest wygasanie motywów samoobrony, dominuje zapominanie, letarg woli, rozpraszanie się emocji. Poznajemy to po niewrażliwości na rozumowania, po mechanicznym, bezwolnym działaniu, po nieuzasadnionych, bezmyślnych i niechcianych nastrojach jako wyniku panoszenia się kaprysów. Jest to wycofywanie się ze wszystkiego, z dawnego i aktualnego życia: rezygnacja z miłości i z marzenia w obawie przed bólem.

Teraz trzeba już działać szybko i gwałtownie. Trzeba zadawać ból mówiąc wyraźnie o utraconej osobie, o załamaniu się miłości przez nikogo nie podtrzymywanej w trwaniu. Trzeba tym bólem wywołać gniew emocji, krzyk, kłótnię, zdenerwowanie. Trzeba teraz stosować to, czego nigdy nie powinno się robić: myślenie i decyzje wypełniać emocjami, ich gniewem, marzeniem o ukaraniu winnych naszego nieszczęścia i radością, że nie minie ich kara.

Jest to straszna kuracja, ryzykowna, wychowująca mścicieli, gdy się utrwali. Kierowana jednak, wstrzymana, gdy scali się osobowość, gdy intelekt zacznie obmyśliwać sposoby walki i wymierzania kary, nie zniszczy człowieka. Trzeba więc pilnować, aby te pomysły nie uruchomiły decyzji. Decyzjom trzeba powoli podsuwać postawę zdegustowania brzydotą zachowań Osób, które od nas odeszły. Do tych decyzji trzeba docierać także przez emocje, przez szokowanie ich odwrotnością piękna, właśnie brzydotą nieżyczliwości, niewiary. Trzeba wywoływać potrzebę karania nie przez nas, lecz przez samoudręczanie się osób, które zawiniły. Z czasem tę negatywną postawę

należy przekształcić w litość i miłosierdzie, w pozytywne, spokojne i łagodne, pełne wtedy tęsknoty i cierpienia kierowanie się uratowaną miłością.

Trzeba tak działać, aby scalała się osobowość, aby jednoczyły się emocje i wiązały z sobą myślenie oraz decyzje, aby nie zaczęła spełniać się odwrotność szczęścia i istnienia, aby nie realizowało się poczucie odrzucenia przez poddanie się nieszczęściu i unicestwieniu.

Trzeba zarazem otaczać zrozpaczonych wielką miłością, już nie ciepłem, lecz upałem serca. Trzeba wywoływać w ich woli przerażenie nieszczęściem utraty miłości, jeżeli zawodzi budzenie gniewu. I trzeba atakować myślenie nieprecyzyjną eschatologią: piekłem, niebem, by przez ten szok wprowadzać w piękno, w prawdziwość i w dobro odnoszenia się do nas Boga. Trzeba nawet budzić zazdrość o wszystko: o to, że inni będą żyli szczęśliwie, gdy mu umrzemy, że będą zbawieni, że bez nas równie dobrze będzie trwało istnienie, życie i szczęście.

Już nie można oszczędzać zrozpaczonych, już nie można nie podać w dozwolonych dawkach tych wymienianych tu trucizn, jak gniew z perspektywą mściwego karania, jak fascynacja brzydotą, jak zalecanie złej teologii kary i nagrody. Może mściwość napełniana brzydotą wywoła w nas niechęć do takiej postawy, do takiego planu działań i przerodzi się w litość i miłosierdzie. Może lęk przed bólem, którego nie szczędzi piekło, pchnie zrozpaczonych w przerażenie. Może wtedy uciekając od wszystkiego, zgodnie z tym, co w nich się dzieje, rzucą się w popłochu i panice, na oślep, jak podróżni z tonącego statku, jak wypędzeni pożarem z płonącego domu, w odmęty i przestrzeń miłości Boga.

Tylko tak w końcu może człowiek wyrwać się z rozpaczy, jeszcze w ostatniej chwili, jeszcze przed utratą życia.

Znakiem przezwyciężenia rozpaczy w tej ostatniej jej fazie są łzy, jedynie łzy, wyrażające powrót, początek nadziei.

Dotyczy to wszystko długotrwałego procesu rozpaczy.

Gdy proces ten jest nagły, nie wolno wzmagać popłochu i przerażenia, które są postaciami lęku. Trzeba natychmiast i gwałtownie je wyciszać, opanowywać, wstrzymywać. Trzeba też wyciszać złość, przyczynowaną przez próżność, która przynagla decyzje. Trzeba wstrzymywać podejmowanie decyzji. Ratuje się ludzi

wzmacniając w nich cierpliwość przez tworzenie atmosfery ciszy, ładu i poczucia bezpieczeństwa. A tworzy je obecność. Chroni ona przed przerażeniem lub pustką i przed sięgnięciem po narzędzie samobójczego zniszczenia życia.

Niech Bóg pomaga nam w uratowaniu także tych najbiedniejszych naszych braci.

4) DOPOWIEDZENIE

Dodajmy też, że wprost zdumiewa w ratowaniu człowieka przed konsekwencjami rozpaczy stosowanie błędu: krytykowana często przeze mnie pedagogika postulatów, wywoływanie gniewu, mobilizowanie możliwością wymierzenia kary, kontaktowanie z brzydotą, spowodowanie przerażenia, posłużenie się złą teologią nagrody i kary, głównie kary piekła. Nie wolno stosować tych celów i rozwiązań w normalnych procesach rozwoju. Gdy jednak rozpacz wchodzi w swe ostatnie fazy, te środki mogą stać się skuteczne. Czy dlatego, że błąd, niedokładność, jako sposób wyrywania z rozpaczy, bardziej przystają do błędnych postaw kogoś zrozpaczonego? Czy dlatego, że są czytelniejsze, szybciej przyswajane przez zniekształconą psychikę?

Dlaczego ponadto rozwinęła się w kulturze pedagogika postulatów i modeli życia, pedagogika stosowania kar, wprost przemocy, psychicznej presji, teologia nagrody i kary? Dlaczego tak powszechnie są stosowane? Czy tworzyli je ludzie zrozpaczeni i bardziej ratowali siebie niż innych? Czy może częstsza jest rozpacz: niż miłość? Czy rozpacz atakuje także pokolenia, społeczeństwa, narody, a nie tylko niekochanych? Czy jest aż tak wielu niekochanych, tych, którzy utracili miłość? Czy może częstsza jest ciemna noc miłości niż miłość i szczęście? A może po prostu w życiu religijnym ludzi częstsze jest bierne oczyszczenie duszy, tak podobne w swym przebiegu do rozpaczy? I może dlatego pedagogika i teologia ascetyczna chciały przerażać, aby ratować człowieka.

Utrata miłości do człowieka nie powinna wywoływać rozpaczy, lecz cierpienie. Gdy wywołuje rozpacz, znaczy to, że przypisaliśmy człowiekowi pozycję absolutu, wprost Boga. Rozpacz wynika. więc z błędu uznania człowieka za jedyny, ostateczny cel życia.

Utrata miłości, do Boga, do jedynie ostatecznego celu życia, zawsze wywołuje rozpacz. Życie jest wtedy zamknięte w sobie, izolowane, jest bólem, procesem rozpaczy. Jest działaniem z pozycji rozpaczy, jest powolną śmiercią nadziei, nawet wtedy, gdy wydaje się nam, że osiągnęliśmy wewnętrzną ciszę, niezależność, wolność, wszystkie cele, dostępne nam bez niczyjej pomocy, konkretny wymiar ludzkich nadziei. Zdradza naszą rozpacz to wyrzekanie się czyjejś pomocy, uzależnień, powiązań, gdyż jest to wyrzekanie się utraconej miłości.

Miłość to szczęśliwe powiązania ludzi. Miłością jest także życie religijne, jako osobowa i uszczęśliwiająca więź człowieka z Bogiem. Utrata miłości w obu wypadkach wywołuje rozpacz.

Przezwyciężanie rozpaczy wprowadza w nadzieję, która jest oczekiwaniem, aby kochano nas i nam wierzono oraz byśmy my mogli kochać i wierzyć. Nadzieja jest więc bliska cierpieniu i tęsknocie: jest zrozumieniem uświadomionego sobie bólu, i potrzebą obecności. Jest naszym oparciem między rozpaczą i miłością, stanem niekochanych lub tych, którzy nie chcą kochać, szansą osób, gnębionych nieobecnością i niewiarą, zapewne więc i ateizmem. Jest ubogim szczęściem niekochanych i niewierzących.

Nadzieję w warstwie emocji wyraża wdzięczność. W warstwie decyzji wyraża ją spokojna pogoda wewnętrzna, radość przeniknięta cierpieniem i tęsknotą. W warstwie myślenia jej znakiem jest skutek marzenia: tworzenie utopii, projektów raju na ziemi, szczęśliwej Arkadii.

Wywołuje nadzieję piękno, spacer, wycieczka, zwiedzanie wystaw, ogrodów, krajów, rozmowa, marzenie jako myślenie możliwościami, rozpoznanie swych zalet i zgoda na siebie, szacunek dla czyjejś własności, przezwyciężenie próżności, niekiedy gniew, przerażenie, brzydota, wreszcie łagodna zgoda na los osób niekochanych.

Nadzieja jest więc swoistą równowagą wewnętrzną, tym, co najlepsze między właśnie rozpaczą i miłością. Jest przezwyciężaniem uznawania celów bliższych za ostateczne, uczeniem się rzeczywistości, wiązania decyzji i emocji z prawdą i dobrem poprzez piękno.

Najkrócej mówiąc, piękno wprowadza nas w nadzieję, nigdy w rozpacz i nigdy w miłość. Wyrywa nas z rozpaczy, lecz nie ma siły wniesienia nas w miłość. Zatrzymuje przy sobie w pogodnej kontemplacji nie dopuszczając do spełnień: do

nieszczęścia śmierci z rozpaczy i do szczęścia trwania w miłości. Budząc jednak oczekiwanie, które jest nadzieją, kieruje do prawdy i dobra, wiary i miłości, gdy nadzieję ożywi cierpienie i tęsknota.

3. BIERNE OCZYSZCZENIE DUSZY

1) ASCETYCZNA NOC CIEMNA I BIERNE OCZYSZCZENIE

Ciemna noc duszy, której religijnym życiem jest udzielana nam przez Boga nadprzyrodzona miłość, wspomagana w trwaniu z zarówno działaniami naszego intelektu, woli i emocji, jak też i łaski, cnót wlanych i darów Ducha Świętego, będąca zarazem ciemną nocą miłości, jest skutkiem powodowanego w nas przez Boga biernego oczyszczenia.

Bierne oczyszczenie duszy to wpływ Boga na nas, na wywołaną w nas przez Boga miłość, wiarę i nadzieję, dane nam do dyspozycji, wpływ na nasz intelekt, wolę i emocje.

Ukształtowaliśmy swoje odniesienia do Boga w oczyszczeniu czynnym według swych najlepszych pomysłów i pouczeń ascetycznych. Nie zawsze jednak jest to ukształtowanie zgodne z planem Boga, to znaczy do końca zbliżające do Boga. I Bóg, aby odpowiedzieć na naszą tęsknotę, musi daną nam do dyspozycji miłość przebudować, wydobyć ją z nadanego jej przez nas kształtu i faktycznie skierować do siebie. Musi ją oczyścić wbrew naszemu pomysłowi, wprost bez nas, gdyż robimy to źle. Stawia nas w sytuacji biernego, przez siebie powodowanego oczyszczenia: zmienia działania naszego intelektu, woli i emocji, by według planu Boga wspomagały miłość, wiarę i nadzieję. Także one, miłość, wiara i nadzieja, stają się inne. To wszystko nas dezorientuje, wprowadza w niepokój, w poczucie zagrożenia, wywołuje lęk, ból, nawet zawstydzenie, smutek, powoduje utratę celów, izolację. Wali się wszystko, co zbudowaliśmy. Przeżywamy poczucie utraty Boga i Jego miłości. Faktycznie jest to utrata tylko przez nas tworzonych odniesień. Pozostają odniesienia tworzone przez Boga. Nie umiemy jednak tego odebrać. Nie wiemy, nie umiemy rozpoznać, że dzieje się coś prawdziwego i dobrego. Nie możemy jeszcze tego uznać. Jeszcze też emocje są związane z tym, co było dotychczas, z naszym modelem odniesień do Boga.

Po prostu jeszcze mylimy dokonane przez nas oczyszczenie czynne z powodowanym przez Boga oczyszczeniem biernym. Uważamy, że nasze więzi z Bogiem są takie, jak je ukształtowaliśmy. Jeszcze nie rozumiemy, że plan Boga może być inny niż nasze pomysły. Zdaje się nam, że rozpada się nasze życie religijne. Przeżywamy ciemną noc duszy i ciemną noc miłości. Nie rozumiemy, co w nas się dzieje, nie umiemy uznać tego, co przychodzi. Kontaktuje się z nami Bóg taki, jaki jest, nie ten, którego obraz wymodelowała nasza wiedza i nasza tęsknota. Jeszcze więc mylimy także kontemplację czynną z kontemplacją bierną: nasze odczytanie Boga z tym Bogiem, który daje się odbierać, przy pomocy darów Ducha Świętego. Kierujemy się do Boga miłością, wiarą i nadzieją, lecz tej miłości, wiary i nadziei nie umiemy uzgodnić z darami Ducha Świętego, pozwalającymi doznawać Boga. Jeszcze modelujemy obraz Boga i naszą miłość. Jeszcze nie odbieramy Boga w pełni i nie umiemy uznać kształtowanej przez Boga miłości ani posługiwać się nią.

W tym wszystkim trwa jednak niezmienna, żywa, głęboka tęsknota do Boga, tak mocna, że aż podobna do głodu. To jednak pragnienie, głód, tęsknotę, Bóg także oczyszcza. Tracimy oparcie. Mamy poczucie klęski i tym boleśniejsze, że trwa dojmująca tęsknota bez jasnego obrazu, tęsknota do Boga.

Tęsknota wywołuje cierpienie. Wypełnia ono duszę, jej intelekt i wolę. W duszy, intelekcie i woli panuje zarazem ciemność nocy. Psychika i emocje, nigdy nie doznające obecności Boga, tylko informowane o Bogu przez intelekt, mobilizujący wolę i emocje, przeżywają teraz pustkę. Intelekt informuje o ciemności. Wola jest zdezorientowana. Tęsknią i cierpią. Psychika i emocje, jak przy każdej utracie, są ogarnięte rozpaczą.

W warstwie psychiczno-emocjonalnej człowieka trwa więc rozpacz. W duszy, w jej intelekcie i woli, trwa tęsknota i cierpienie, noc, ciemność. Dokonuje się oczyszczenie bierne, lecz nie rozpoznane, podobne do utraty miłości. Nasze reagowania mają więc postać rozpaczy, są tą rozpaczą w psychice i emocjach.

Ciemna noc duszy, jako skutek powodowanego w nas przez Boga biernego oczyszczenia, jest podobna do rozpaczy w jej dwu pierwszych etapach: w poczuciu zagrożenia i utracie celów życia. Trzeci etap nie następuje, gdyż chroni nas tęsknota i cierpienie.

Tęsknota i cierpienie, które zawsze wyrywają z rozpaczy, tym razem nie uwalniają od żadnej z postaci jej dwu etapów. Jest to znakiem, że nie rozwija się w nas rozpacz, lecz że właśnie Bóg dokonuje biernego oczyszczenia naszej duszy i miłości.

Wyjaśnijmy więc, co dzieje się w osobie ludzkiej, gdy Bóg dokonuje w człowieku biernego oczyszczenia jego duszy i w których momentach możemy nie przetrwać oczyszczeń, gdy zaingerujemy w, oczyszczającą nas pracę Boga.

A zawsze, jak w każdej rozpaczy, trzymajmy się nadziei, ratujmy się nadzieją. Ufajmy, że Bóg podejmie naszą tęsknotę, że nas ochroni, że wróci, że zawsze jest.

2) PRZEJAWY ROZWOJU ŻYCIA RELIGIJNEGO

a) Pierwsze nawrócenie (droga oczyszczenia)

Skłonieni miłością do Chrystusa, a w Nim do Boga, gdyż jest Bogiem i człowiekiem, podejmujemy oczyszczenie czynne, którego znakiem jest to, że kierując się wiarą staramy się współpracować z łaską. Jest to okres wysiłku utrzymania w sobie stanu łaski. Staramy się więc przełamywać w sobie obojętność wobec Boga, wiązać z Bogiem przez wiarę nasz intelekt i wolę, kierować do Boga myślenie i trwać przy Bogu decyzją. Staramy się też opanować uczuciowość, scalać ją przez fascynowanie jej pięknem Boga.

Znakami szczegółowymi, że te starania owocują, jest trwanie wiary, modlitwy, opanowanie ciała.

Znakiem bardzo ważnym i trudnym jest także narastająca obojętność wobec rzeczy. Nie pociągają nas dobra ani materialne, ani duchowe. Zarazem pojawia się w nas oschłość. Znaczy to, że gaśnie wewnętrzna radość z powodu szczęścia wiary i żarliwości modlitwy, że ogarnia nas ciemność i zimno.

Musimy wtedy starannie sprawdzić, czy nasza obojętność wobec rzeczy nie przekształciła się w brak wszelkich zainteresowań. Jeżeli trwa zainteresowanie Bogiem, to wszystko jest dobrze. Musimy też sprawdzić, czy utrata radości jako oschłość nie stała się oziębłością. Jeżeli tęsknimy do Boga, to nie należy się martwić. Musimy ponadto ustalić, czy nasze opanowanie ciała jest wspomaganiem emocjami dążenia do prawdy i dobra, czy też może jest ich pominięciem, zablokowaniem, uwięzieniem. Uwięzienie emocji jest błędem i zagrożeniem. Nie włączone w naszą służbę prawdzie i

dobru, odcięte, oddalone, pominięte, mogą kiedyś przerwać blokadę i porwać nas w nieokreślonym kierunku.

Nie zawsze umiemy wszystko to sprawdzić i ustalić. Potrzebna jest rada roztropnego wychowawcy i spowiednika. Potrzebna jest nam wciąż spowiedź i nieustanny, sakramentalny kontakt z Chrystusem, aby sam Chrystus przez Ducha Świętego tworzył w nas nasze z Nim powiązania na chwałę Ojca.

Przeżywając obojętność, oschłość, spokój emocji, wchodzimy powoli w oczyszczenie bierne, które wprowadza nas w drugie nawrócenie i trwa podczas drogi oświecenia.

b) Drugie nawrócenie (droga oświecenia)

Pogłębia się nasza wiara, utrwala się łaska, umacniają się cnoty nabyte i wlane, uwyraźnia się działanie darów Ducha Świętego. Bóg tworzy nasze życie religijne.

Dar mądrości doskonali w nas miłość, dar rozumu — wiarę, dar umiejętności — nadzieję, dar rady — roztropność, dar pobożności — religię, dar męstwa — męstwo, dar bo jaźni Bożej — umiarkowanie.

Dodajmy, że umiarkowanie jako cnota moralna, wspomagana darem bojaźni Bożej, wiąże z sobą łagodność, pokorę, czystość. Męstwo, wspomagane darem męstwa, doskonali cierpliwość. Dar pobożności obok religii, pokuty i posłuszeństwa, doskonali sprawiedliwość. Dar rady pogłębia roztropność, Te cnoty moralne, wspomagane darami, dotyczą nadprzyrodzonych środków dojścia do Boga.

Samego Boga dosięgamy miłością, wiarą i nadzieją, gdy przenika je dar mądrości, rozumu, umiejętności.

A dzięki darom Ducha Świętego nas dosięga Bóg i obecny w nas wywołuje przystosowanie do siebie, które jest oczyszczeniem biernym, wprowadzającym w etap oświecenia, przeżywanego jako ciemna noc duszy.

Jest to najpierw, na początku drogi oświecenia, ciemna noc zmysłów i emocji. Pod koniec drogi oświecenia staje się ciemną, nocą umysłu: intelektu i woli.

Znaki początkowego biernego, oczyszczenia: obojętność w postaci braku zainteresowania rzeczami materialnymi i duchowymi, oschłość jako niemożność

rozmyślania i kierowania do Boga modlitewnych aktów strzelistych, poczucie grzeszności i opuszczenia przez Boga, ciągła pamięć o Bogu i żywe pragnienie Boga.

Dar umiejętności wywołuje w nas pomijanie rzeczy i uwyraźnienie Boga. Dar rozumu pogłębia w nas modlitwę ustną, myślną i prostego wejrzenia wyzwalając kontemplację czynną, by ją przekształcić z czasem w kontemplację bierną. Dar bojaźni Bożej ożywia w nas pamięć o Bogu i pragnienie Boga wzmagając zarazem poczucie grzeszności i opuszczenia przez Boga.

Uwyraźniające się w nas działanie darów to zarazem uwyraźnianie się dokonywanych w nas przez Boga oczyszczeń. Następuje przebudowanie i pogłębienie naszych więzi z Bogiem, odsunięcie nas od nas i zbliżenie do Boga. Bóg wiąże nas mocniej z sobą, a oddala nas od nas samych. To właśnie jest źródłem poczucia zagrożenia. Tymczasem jest to tylko uwalnianie nas od próżności i umacnianie pokory.

Właśnie dar bojaźni Bożej doskonaląc w nas umiarkowanie, które jest cnotą równowagi, swoistej prawdy o wszystkim, doskonali zarazem związaną z umiarkowaniem pokorę, jako zaakceptowaną przez nas prawdę o Bogu i o nas. Bóg jawi się w swej niezwykłej świętości. My, patrząc na siebie, rozpoznajemy zgodnie z prawdą naszą grzeszność. Uznajemy to uzyskując pokorę, właściwy i prawdziwy wynik naszego, dobrze odebranego zetknięcia z Bogiem. Dar bojaźni Bożej doskonaląc naszą pokorę, zarazem zresztą czystość i łagodność, chroniącą przed przerażeniem się naszą grzesznością, musi zarazem wywołać i pamięć o Bogu, i poczucie grzeszności, pragnienie Boga i niepokój, że Bóg nas opuści z powodu naszych grzechów.

Dar rozumu zaczyna doskonalić w nas wiarę, dzięki czemu głębiej rozumiemy Boga i pełniej Go odbieramy. Powinniśmy więc także zrozumieć, że nasza modlitwa ustna, myślna, prostego wejrzenia musi ulec pogłębieniu. Dar rozumu wyzwala nas z tych etapów modlitwy. Jednak przyzwyczajeni do takich postaci modlitwy, nie nadążając za dokonywanymi w nas przez Boga przemianami, przeżywamy właśnie poczucie zagrożenia, lęk, że Bóg nas porzuca, opuszcza. Jeszcze nie dość mocno funkcjonuje w nas pokora, łagodność zachowań, umiarkowanie w decyzjach. Jeszcze jesteśmy przywiązani do siebie, jeszcze nie jesteśmy całkowicie skierowani do Boga, jeszcze nie ma w nas tego obdarowania Boga swą osobą i w takiej wyłączności i wierności, które są pełną czystością. Jeszcze chcielibyśmy zachować sobie samych

siebie i chcielibyśmy obdarować sobą Boga. Jeszcze jest w nas to rozdwojenie: próżność i łagodność, pycha i pokora, łakomstwo i umiarkowanie, już wierność Bogu, lecz i wiązanie się z innymi celami, co nazywa się nieczystością, jest zazdrość, wywołana poczuciem opuszczenia przez Boga i niecierpliwe pragnienie Boga, połowicznie przyznające Bogu wolność w podjęciu naszej tęsknoty, jest już obojętność na rzeczy, lecz i wypatrywanie pociech, także gniew, także lenistwo, pozostałości siedmiu grzechów głównych.

Oczyszczenie bierne duszy to miłosierne oczyszczenie nas przez Boga z pozostałości właśnie siedmiu grzechów głównych, z przywiązana które wpływają na myślenie, decyzje i emocje. Gdy Bóg nas wyzwoli z tych pozostałości, z przywiązania do rzeczy i pełniej skieruje do siebie, zmieni się nasze myślenie, uwyraźnią decyzje, zajaśnieją emocje.

Dar umiejętności uczy nas prawidłowego odniesienia do rzeczy, a więc ustawienia ich na drugim miejscu i przyznania w nas pierwszego miejsca Bogu. Uczy tym samym wiązania z Bogiem nadziei, która chroni przed doznaniem przerażenia i rozpaczy. Rozpacz bowiem to zachowanie wobec nieobecnego dobra, które wydaje się nieosiągalne, utracone. Nasze poczucie grzeszności skłania nas do poczucia utraty i wejścia na drogę rozpaczy, lecz chroni nas nadzieja, że Bóg jednak nas nie odrzuci. Nadzieja to zachowanie wobec nieobecnego dobra, które wydaje się osiągalne. Jest to prawidłowe zachowanie wobec Boga: oczekiwanie, akceptowanie wolności Boga i tęsknota, która wyzwala płacz. Nadzieja bowiem, doskonalona darem umiejętności, który uzdalnia intelekt do właściwej, oceny rzeczy, wiąże się z zapowiedzią Chrystusa, że płaczący będą pocieszeni. W nadziei jest więc skierowanie do Boga, pragnienie Boga mimo naszego poczucia grzeszności i odrzucenia. Jest punkt oparcia, pozwalający przetrwać oczyszczenie na drodze oświecenia, tak potrzebnej, wychowującej i tak trudnej.

Wspomaga nas na tej drodze w początkach biernego oczyszczenia głównie dar bojaźni Bożej, dar umiejętności i dar pobożności. Dar rozumu, który także już działa, stanie się naszym ratunkiem o wiele pełniej w końcowym etapie oczyszczenia ostatecznie ukierunkowując intelekt. Teraz zaczyna go oczyszczać. Pilniejsza jednak jest dla nas pokora, nadzieja i pokuta, które powinny towarzyszyć poczuciu grzeszności.

Dar pobożności, który doskonali naszą więź z Bogiem, stanowiącą religię, ożywia właśnie pokutę, posłuszeństwo i sprawiedliwość. Kieruje nas do Boga skłaniając do czci i zadośćuczynienia za grzechy. Poczucie sprawiedliwości sprzyja podjęciu pokuty, a posłuszeństwo życzeniom Boga, wyrażonym w przykazaniach, zabezpiecza przed ucieczką z powodu wywołującej lęk świętości Boga. Nie uciekamy, trwamy w bólu biernych oczyszczeń.

Pod koniec drogi oświecenia oczyszczenie pogłębia się i poszerza. Boleśniejsza w związku z tym staje się ciemna noc duszy, już pełna, ogarniająca wszystko w człowieku, teraz głównie jego intelekt i wolę.

Znaki tego końcowego biernego oczyszczenia: utrata przywiązania do rzeczy materialnych i duchowych w wyniku działania daru umiejętności, jeszcze pełniejsza oschłość w modlitwie, doskonalonej darem rozumu; sumienie nie wyrzuca nam grzechu ciężkiego po etapie pokuty, podjętej przez nas dzięki darowi pobożności, lecz męczy nas dojmujące poczucie opuszczenia przez Boga, wyzwalane przez dar bojaźni Bożej, doskonalącej zarazem pokorę, i trwa w nas nienasycone pragnienie Boga.

Znaki początkowego i końcowego oczyszczenia są te same, lecz teraz dotkliwsze. Mniej tylko dokucza nam poczucie grzeszności. Mniej już po prostu myślimy o sobie, a zarazem prawdziwiej i sprawiedliwiej. Bardziej myślimy o Bogu, z większą ufnością i zgodnie z obietnicą, że grzechów odpuszczonych Bóg nie pamięta. Jesteśmy spokojniejsi, mimo że pełni bólu, cierpienia i tęsknoty.

Wspomaga nas teraz dar męstwa, dar rady i dar rozumu.

Dar męstwa uzdalnia naszą cnotę męstwa do przezwyciężenia lęku, groźnej postaci poczucia zagrożenia, które zjawiło się w nas, wywołane tym wszystkim, co Bóg w nas sprawia. Doskonali też wyznaczoną męstwem cierpliwość, tak potrzebną, by lęk i ból przekształciły się w cierpienie, które, gdy wspomaga je żal za grzechy i pokuta, wyzwala tęsknotę, w tym wypadku dotkliwe, jak głód, pragnienie Boga. Dar męstwa usuwa przerażenie, umacnia sprawiedliwość. Zabezpiecza przed rozpaczą i wprowadza w pokutę, tak potrzebną, gdyż leczącą rany, zadane grzechem. Wyzwala z niemocy, lenistwa, małoduszności, oczyszcza i jednoczy emocje gniewliwe.

Dar rady wnika w roztropność, która kieruje działaniami intelektu. Wnika więc także w intelekt, aktywizując go do poznawania i chroniąc przed ignorancją. Skłania do

działań miłosiernych, do motywowania czynów dobrocią, do postępowania, zgodnego z radami Ducha Świętego. Jest zdolnością do podejmowania czynności, zapewniających osiąganie celu ostatecznego i szczęścia, oglądania Boga „twarzą w twarz" w życiu wiecznym.

Dodajmy, że tak, jak dar rady ratuje intelekt wiążąc go przez poznanie z ostatecznym celem życia, tak dar pobożności doskonali wolę. Dar męstwa chroni emocje gniewliwe, a dar bojaźni Bożej emocje pożądliwe.

Dar rozumu doskonali naszą wiarę poddając ją wpływom Ducha Świętego, co pozwala nam pełniej i trafniej rozumieć Objawienie. Rozświetla sam przedmiot wiary: Boga. Informowana o Bogu wola skłania nas do uznania objawionych o Bogu prawd wiary. Dar rozumu przygotowuje też nasz intelekt do odbierania kiedyś bezpośrednio Boga w życiu wiecznym, gdy wspomagani darem rady podejmiemy działania, zapewniające utrwalenie zbawienia. Dar rozumu wiąże nas więc z błogosławieństwem oglądania Boga, dostępnego, tym, którzy są czystego serca.

Dar rozumu oczyścił wiarę. Wiara oczyściła intelekt i wolę, które pragną bezpośredniego widzenia i doznawania Boga. Nie jest to jednak dostępne w tym życiu. Wzmaga się więc cierpienie, tęsknoty. Spotkaniem z Bogiem jest modlitwa, głównie modlitwa kontemplacji wlanej biernej, wychowującej wolę i intelekt.

Trwanie w modlitwie jest znakiem, że kończy się bierna noc duszy i miłości.

c) Trzecie nawrócenie (droga zjednoczenia)

Już dominują w człowieku dary Ducha Świętego, głównie dar mądrości, doskonalący miłość. Trwa pełna miłość do Boga i pełna tęsknota.

Dar mądrości już teraz do końca oczyszcza miłość. Człowiek jest w stanie pojąć, wewnętrzne życie Trójcy Świętej. Jest także w stanie je cenić, wybierać, kochać, brać w nim udział. Dar mądrości wyznacza miarę miłości. Stworzyła go zresztą miłość Boża. Owocuje pokojem, wprowadza ład, uwyraźnia nasze synostwo względem Boga: pełną czci miłość i pogłębia wiarę łącząc w niej rozumienie z umiłowaniem.

Znakami trwania w nas drogi zjednoczenia są: miłość do Boga, heroiczna wiara, pełna nadzieja, rozumienie krzyża, udział w cierpieniu Chrystusa w Ogrójcu, nieustanna modlitwa, wytrwałość w cierpieniu, poddanie się działaniu Ducha Świętego.

Znakami zamieszkania w nas Trójcy Świętej są: poczucie, że nie mamy grzechu ciężkiego, radosne słuchanie mówiących o Bogu, umiłowanie czytania Ewangelii, potrzeba nieustannej modlitwy, zupełne ufanie Bogu, panowanie nad namiętnościami, mówienie o Bogu.

Wyraża nas teraz modlitwa. Po etapie kontemplacji biernej ma ona trzy kolejne postacie: jest to modlitwa oschłego i bolesnego zjednoczenia, modlitwa zjednoczenia ekstatycznego i modlitwa zjednoczenia przemieniającego.

Modlitwie oschłego i bolesnego zjednoczenia towarzyszy brak pociech, poczucie odrzucenia, tęsknota do Boga, niemożność modlenia się, pokusy, trwanie przy Bogu. Raz jeszcze jak gdyby powtarza się cała ciemna noc duszy lub może jest to tylko ślad tej nocy w psychice do czasu, gdy człowiek uzyska etap modlitwy zjednoczenia ekstatycznego.

Modlitwa zjednoczenia ekstatycznego to światło Boże w intelekcie i miłość w woli, lecz zarazem mała rola intelektu, woli, emocji, oderwanie od stworzeń, zajmowanie się tylko Bogiem, cierpienie z powodu dawnych grzechów i grzechów świata, żal, pokuta, rozumienie ceny męki Chrystusa i Matki Bożej, cierpliwość płynąca z modlitwy, samotność, tęsknota i ból, że nie doznaję bezpośrednio Boga „twarzą w twarz". Jest ta modlitwa zarazem napędem naszych działań apostolskich. Dzięki darowi rady umiemy służyć ludziom tym, czym Bóg chce ich obdarować. Trafiamy właśnie na to, co ludziom potrzebne. Jest to działalność apostolska już zgodna z życzeniami Boga.

Modlitwa zjednoczenia przemieniającego: aktualne i stałe powiązanie z Bogiem, jedność z Bogiem, pełna zgodność naszej woli z wolą Boga i pełny udział w wewnętrznym życiu Trójcy Świętej. Brak już tylko uszczęśliwiającego widzenia Boga „twarzą w twarz".

3) ZAGROŻENIA WYWOŁANE NASZĄ INTERWENCJĄ W POWODOWANE PRZEZ BOGA OCZYSZCZENIA

Podstawowym zagrożeniem naszego życia religijnego jesteśmy my sami, przywiązani do swego projektu kontaktów z Bogiem, do decydowania o sposobach rozwoju miłości, do motywowania emocji swoim myśleniem i wyborami. Przyjmujemy do wiadomości prośbę Boga o powiązanie z Nim przez miłość, wiarę i nadzieję,

wyrażamy zgodę i budujemy kontakty z Bogiem. Nie bierzemy pod uwagę tego, że skoro są to kontakty z kimś drugim, właśnie z Bogiem, to i Bóg ma coś do powiedzenia w tej sprawie. Bóg staje się w nas obecny. Gościmy Go w duszy, wyznaczamy Mu miejsce i określone zadania, podejmujemy oczyszczenie czynne: przystosowanie do Boga. Bóg widzi, że otaczamy go rzeczami, że przystosowujemy się do jakiejś idei Boga, do wyobrażenia o Nim, nie do Niego. Dużo mówimy, nie słuchamy, co Bóg mówi. Nie nawiązują się kontakty z realnym Bogiem. Bóg usiłuje dotrzeć do nas. Usuwa trochę rzeczy, usiłuje zmienić nasze o nim wyobrażenia. Przyjmujemy to spokojnie, zgadzamy się. Bóg więc wskazuje dalej na sposoby zaprzyjaźnienia. Kwestionuje nasze projekty kontaktów, odsuwa nas od naszego myślenia i decyzji, ukazuje swoje, pełniejsze, prawdziwsze i lepsze. I wtedy niepokoimy się, czujemy się zagrożeni.

Pozornym zagrożeniem naszego życia religijnego staje się teraz Bóg. Jest to pozorne zagrożenie w porządku celu i skutków naszego przystosowania do Boga. W porządku przeżycia jest to faktyczne poczucie zagrożenia. Wydaje się nam, że rozpada się nasze życie religijne, gdyż rozpadł się nasz model kontaktów z Bogiem. Posługując się swym myśleniem i swymi decyzjami sądzimy, że utraciliśmy Boga i miłość. A naprawdę utraciliśmy tylko swoje projekty. Nie wiemy jednak o tym i nie zawsze umie to rozpoznać nasz spowiednik. Przeżywamy więc lęk, ból, zawstydzenie, smutek, utratę celu życia, wprost rozpacz. Ogarnia nas ona i pewnie by nas zniszczyła, gdyby nie tęsknota do Boga i cierpienie wywołane przypuszczeniem, że tracimy Boga.

Spowiednik i wychowawca powinni w naszym lęku i bólu poszukiwać tej tęsknoty i cierpienia. Gdy tęsknimy, gdy cierpimy, to znak, że nie utraciliśmy Boga, że Bóg doskonały i święty jest w nas obecny mimo naszych grzechów, które z ostrością widzimy.

Spowiednik często skupia uwagę na tych grzechach i ostro nas gromi pogłębiając lęk i ból, a powinien patrzeć na stopień żalu, na nasze zmartwienie tym, że grzeszyliśmy. Gdy ten żal i zmartwienie w nas wykryje, powinien kierować naszą uwagę na Boga, na Jego świętość, którą Bóg chce z nami dzielić. Powinien zakazać nam rozważania grzechów. Spotkanie jednak ze świętością Boga znowu uwyraźnia nasze grzechy. Pełni żalu i zmartwienia ponownie przystępujemy do spowiedzi. Znowu

ukazujemy naszą grzeszność. Spowiednik najczęściej kwestionuje te grzechy wywołując w nas przekonanie, że one, te grzechy, zupełnie nas dyskwalifikują. Zaczyna nam się wydawać, że nie ma co marzyć o kontaktach z Bogiem. Tęsknimy jednak do Boga, chcemy przemóc w sobie stan grzechu. Przychodzimy do spowiedzi, wciąż przychodzimy, rysujemy ostro i dokładnie swoje winy. Spowiednik je atakuje, przyzwyczaja nas do myślenia o grzechach. Myślimy o nich, wyznajemy je, ze zgrozą opowiadamy to, co się powtórzyło, zamartwiamy się swoją grzesznością i powoli nasze umęczone sumienie wypełnia się jeszcze bardziej lękiem i bólem, a my wciąż rozważając grzechy stajemy się skrupulantami.

Nie ożywiono w nas żalu i zmartwienia. Nie ożywiliśmy w sobie żalu i zmartwienia. Nie związaliśmy ich z tęsknotą do Boga i z cierpieniem. Pozostaliśmy w myśleniu o grzechach. Myślenie o Bogu uchroniłoby nas przed chorobą skrupułów.

Skrupuły to kolejne zagrożenie naszego, życia religijnego, skutek naszego myślenia o sobie, a nie o Bogu, myślenia o grzechach. Jeszcze bowiem grzeszymy. W wąskich ramach naszego życia codziennego znowu popadamy w grzechy, w te same grzechy. Wyznajemy je. Niedoświadczony spowiednik, nie śledzący w nas stopnia żalu i tęsknoty, lecz zmartwiony naszą grzesznością, szuka w pamięci zaleceń podręcznikowych i uruchamiając rozstrzyganie prawnicze, nie widząc ponadto, że penitent jest już na etapie skrupułów, odmawia rozgrzeszenia z powodu braku poprawy. Nie zawsze ten ktoś spowiadający się, ktoś z poczuciem opuszczenia przez Boga, odepchnięty teraz od konfesjonału, wróci z prośbą o rozgrzeszenie. Odejdzie z poczuciem, że przegrał, że utracił życie religijne, że nie wyzwolił się z grzechów. Może się zdarzyć, że przerwie życie religijne, że właśnie je utraci.

Osoby, dotknięte chorobą skrupułów, trzeba zawsze rozgrzeszać. Trzeba zabronić im mówienia o grzechach, nakazać mówienie na spowiedzi o Bogu, by odwrócić ich myślenie od rozważania stanu duszy, stopnia jej grzeszności. Aby je bronić przed niszczącym poczuciem grzeszności i przyzwyczajać do skupienia uwagi na osobie Boga, trzeba nakazać im częstą spowiedź, której zresztą szukają, gdyż szukają pocieszenia, uwolnienia od lęku i bólu. Pozostawione w tych postaciach poczucia zagrożenia i odepchnięcia, przeżyją zawstydzenie i smutek, zaawansowane etapy rozpaczy.

Wyobraźnia wyolbrzymia grzechy, szatan wzmaga to wyolbrzymienie. A przecież grzechy, z których nas rozgrzeszono, nie istnieją.

Pierwszy skutek naszego kontaktu z Bogiem, poczucie grzeszności wyraźniejszej w świetle Boga, może nas zgubić. Możemy nie przetrwać początku oczyszczeń.

Ratunkiem jest nadzieja wsparta na tęsknocie i cierpieniu, żalu i zmartwieniu. Trzeba zaufać Bogu i swej tęsknocie, wbrew, jak nam się wydaje, szansom i nadziei. Trzeba, właśnie trwać w nadziei, nawet gdy nie mamy nadziei. Znaczy to, że nie należy ufać przeżyciu nadziei, lecz że należy ufać nadziei jako danej przez Boga obietnicy zbawienia.

Ta obietnicą sygnalizuje miłość, którą Bóg zawsze nas obdarowuje. Trzeba więc wspomagać nadzieję obietnicą miłości. I trzeba zarazem podtrzymywać w człowieku jego miłość przy pomocy pogłębiania poznania przez kontakt z prawdą oraz aktywizowania decyzji najpełniejszym dobrem. Dzięki temu miłość oprze się na prawdzie i dobru.

Zarazem trzeba ratować emocje przez fascynowanie ich pięknem oraz budzić łagodność i wdzięczność. Łagodność chroni przed wyolbrzymieniem poczucia zagrożenia, a wdzięczność kieruje do osób, także więc do osoby Boga.

a) Wydobywanie z zagrożeń w pierwszym nawróceniu

W większości wypadków nie ulegamy chorobie skrupułów, kierujemy się ku Bogu pełni żalu i zmartwienia, podejmujemy pokutę przez umartwienie i modlitwę. Ogarnia nas jednak zaraz obojętność, oschłość, zaniedbanie emocji.

Skrupulantów poznajemy po tym, że dokładnie, zbyt dokładnie opisują grzechy. W tej dokładności powinniśmy jednak podejrzewać zarazem znak zaawansowanego nawrócenia i początek drogi oświecenia. Ta dokładność może być przecież wynikiem zetknięcia się ze świętością Boga, uwyraźniającą naszą grzeszność. Sposobem sprawdzenia, czy są to skrupuły, czy nawrócenie, jest dopytywanie się o zainteresowanie rzeczami, o radość w modlitwie, o emocjonalne fascynacje. Jeżeli stwierdzimy obojętność, oschłość, ciszę emocji i zarazem trwanie modlitwy, tęsknotę i cierpienie, żal i zmartwienie, to znak, że pogłębia się pierwsze nawrócenie, w którym

występuje właśnie poczucie grzeszności. Te same znaki powtarzają się w końcowych etapach drogi oświecenia, lecz nie występuje wśród nich poczucie grzechu. Wtedy sumienie nie wyrzuca nam grzechu ciężkiego i penitent z niego się nie spowiada. Dokładność w opisywaniu grzechów wskazuje więc albo na skrupuły, albo na pogłębianie się nawrócenia, gdy wyznawaniu grzechów towarzyszy obojętność i oschłość.

Jeżeli jest to nawrócenie, to czeka nas trud przetrwania obojętności, oschłości i uwięzienia emocji.

Obojętność to zmiana celów, a nie niszczenie zainteresowań. Ważniejszy staje się dla nas Bóg. Mniej ważne stają się dobra materialne i duchowe. Stają się mniej ważne dla mnie, co nie znaczy, że przestaję o nie się troszczyć. Często w etapie obojętności grozi nam rezygnowanie z uczenia się, kontynuowania studiów, z pracy, którą służyliśmy innym. Grozi nam to wtedy, gdy z obojętnością połączy się lenistwo. Słusznie więc wychowawcy przestrzegają przed lenistwem, zachęcają do pracy, do podejmowania trudu, który broni przed utratą zainteresowań, gdyż przekształcenie obojętności w brak zainteresowań grozi odwróceniem się także od Boga. Sami możemy się bronić uznając studia i każdą pracę za umartwienie i pokutę, podejmowane w celu przybliżenia się do Boga, do którego tęsknimy. Wspomaga nas tu dar pobożności, który przenikając wolę skłania do pokuty, zarazem do posłuszeństwa i Bogu, i spowiednikowi, i wychowawcy. Ratuje nas posłuszeństwo wartościowym zadaniom, potrzebie prawdziwej wiedzy i potrzebie trafnych decyzji zgodnie z ożywianą przez dar pobożności sprawiedliwością, która nie pozwala niszczyć swego intelektu i swej woli, lecz każe je doskonalić.

Oschłość to utrata pociechy, płynącej z modlitwy, utrata zadowolenia z życia religijnego, utrata radości, że Bóg nas kocha. Nasza modlitwa jest zimna, rozmyślanie jest krzyżową drogą myśli, przerywanej roztargnieniami. Przeraża nas ta sytuacja. Prawie boimy się modlitwy. Jakże przydaje się tu umiejętność podejmowania trudu. Jakże ważne jest podjęcie modlitwy z poczucia sprawiedliwości, aby oddać Bogu to, co Boskie, i z poczucia posłuszeństwa Chrystusowi, aby nie ustawać w modlitwie. Powoli uczymy się, że modlitwa to trwanie z Bogiem. Jesteśmy razem. Czy warto więc przejmować się roztargnieniami? Niech sobie szaleją. Czy ma znaczenie pociecha,

nastrój, radość? Przecież nie chodzi tu o te ozdoby spotkania, lecz o miłość, która wiąże nas z Bogiem. Dar umiejętności uwyraźnia nam istotę modlitwy, jej doskonalsze postaci i budzi nadzieję, wprowadza w nadzieję, która stanowi oparcie w okresie lęku, zawstydzenia, bólu, smutku, przemiany celów życia. Uczy nas także przez oschłość rozpoznawania i wyboru tego, co istotne, ważne, podstawowe, pierwsze, naprawdę prawdziwe, dobre i piękne.

Uwięzienie emocji to ich izolacja, pominięcie, zablokowanie, odsunięcie od intelektu i woli, od ważnych spraw naszego życia religijnego. Opanowanie ciała Wywołuje tę izolację, wyciszenie emocji. Często ten pierwszy skutek opanowania ciała, regulowany umiarkowaniem, staje się programem wychowawczym. Jest to pozornie dobry program. Gdy bowiem pogłębi się oczyszczenie bierne i ustali się nasze ukierunkowanie ku Bogu, motywowanie Bogiem działań intelektu i woli, wyznaczenie Bogu pierwszego miejsca wśród celów życia, obdarowanie Boga naszą osobą wyłączne i wierne, stanowiące czystość, wtedy nasze emocje, psychika, ciało znajdą się poza tymi celami. Nie mogą Go doznawać, gdyż Bóg jest duchem. Pozbawione więc celu, izolowane, pominięte, zablokowane, odsunięte, kapryszą, kierują się do swych bezpośrednich fascynacji, wywołują emocjonalny chaos, nazywany pokusą nieczystości, to znaczy nie skierowania ku Bogu. Tradycyjna ascetyka, oparta na teorii konfliktu między duszą i ciałem, zaleca tu ascezę wyniszczenia ciała emocji, psychiki, zatarcia wrażliwości na wzruszenie, fascynację tym, co fizyczne, cielesne, materialne, rozumiejąc przez umartwienie ograniczenie pola naszego życia. Nowsza, ascetyka, uwzględniająca jedność duszy i ciała, zaleca ascezę wspierania emocjami działań intelektu i woli, traktowania wzruszeń, i zafascynowania tym, co fizyczne, cielesne, materialne, bez pruderii i zakłamania jako wezwania do służenia prawdą i dobrem, a nie do zabierania sobie pocieszeń, nastrojów, radości, wzruszeń i zafascynowań. To zabieranie ich sobie jest nieczystością. Nie musimy jednak ich sobie zabierać. Mogą być one wezwaniem, tak jak wezwaniem do pomagania ludziom jest ich choroba, lęk, ból, bieda, głód, zagubienie, uwięzienie, bezdomność, smutek, przerażenie. Mamy przecież leczyć ludzi, dzielić się z biednymi chlebem, odwiedzać uwięzionych, pocieszać smutnych, chronić ich, udzielać gościny; pomagać. Wzywa nas czyjaś choroba, głód, smutek. Może podobnie wzywać nas wzruszenie, fascynacja. W

kierunku takiego posługiwania się emocjami, ciałem, psychiką ma prowadzić nas umartwienie. Nie będzie ono wtedy ograniczeniem pola naszego życia, lecz ofiarowaniem Bogu całego obszaru człowieka. Emocje, wprowadzone w służbę ludziom i Bogu, nie będą kapryśnie realizowały dla siebie swych osobnych celów. To „dla siebie" jest właśnie nieczystością. Jako motyw, mobilizacja, poddanie intelektowi i woli, są sposobem służby i pełnienia powołania. Dar bojaźni Bożej wzmacniając umiarkowanie, łagodność, czystość, pokorę, pomaga nam w uzyskiwaniu wewnętrznej równowagi, w unikaniu, skrajności w zachowaniach i umartwieniu, w posłużeniu się emocjami dla dobra człowieka, gdyż jest darem chroniącym i wychowującym emocje pożądania. Wzruszenie i fascynacja nie muszą nas niszczyć. Poczucie grzeszności i oddalenia się od nas Boga, nie muszą wywoływać w nas przerażenia, prowadzącego do rozpaczy. Mogą nas właśnie skłaniać do służby ludziom, do żalu za grzechy i do pokuty, do wierności Bogu.

Zaniedbanie emocji, niedopuszczenie ich do udziału w naszej służbie ludziom i Bogu, prawdzie i dobru, może przekształcić oschłość w oziębłość. Oschłość jest brakiem pociechy i zadowolenia z pracy, lecz zarazem jest wiernym wypełnianiem obowiązków. Oziębłość jest zaniedbaniem obowiązków, które nie przynoszą zadowolenia i pociechy. Z oschłości wyprowadza nas wypełnianie obowiązków. Zaniedbanie ich może doprowadzić do tego, że nie przetrwamy biernego oczyszczenia. To oczyszczenie polega na osłabieniu dominacji emocji, nie na ich wyniszczeniu, polega na podaniu ich intelektowi. To tylko my, bojąc się dominacji emocji, nastroju, wzruszeń, całkowicie je izolujemy i w ten sposób niszczymy cel oczyszczenia: emocje mają nam służyć, mają służyć ludziom i Bogu, a nie nami władać przez spełnianie swych osobnych fascynacji. Mają fascynować się tym, co ukaże im intelekt, wspomagany darem rady.

Na tym etapie początkowego oczyszczenia biernego dary Ducha Świętego jeszcze nie działają w całej pełni. Jeszcze nie umiemy odbierać tego, co Bóg w nas wnosi. Jeszcze wciąż dominuje w nas kierowanie się do Boga na miarę naszych rozumień i decyzji. Jeszcze na swój ludzki sposób przeżywamy oczyszczenie bierne jako utratę Boga, miłości, wiary i bojąc się cierpienia tęsknoty, które w nas trwa zadając ból, uciekamy właśnie w lęk, ból, zawstydzenie, smutek, w typowe etapy rozpaczy.

Chroni nas przed nią wciąż trwająca tęsknota, chroni w ten sposób, że nie realizują się skutki rozpaczy. Nie chroni jednak przed przeżywaniem rozpaczy. Psychika bowiem, zresztą także intelekt i wola, nie doznają bezpośrednio Boga. A myślenie jest często za słabe, by zdominowało wolę, psychikę, emocje i wyznaczyło im ich rolę w służbie Bogu. To myślenie, jest raczej zdezorientowane.

Należy wtedy bronić człowieka za pomocą tego wszystkiego, czym ratujemy go przed rozpaczą. Trzeba najpierw ratować emocje. Słusznie wychowawcy życia religijnego zalecają opanowanie ciała. Jak je opanować? Czym scalić emocje, pożądania, wzruszenia, gdyż scalenie jest ich opanowaniem, jest opanowaniem tak zwanych pokus. Pokusa to dopominanie się emocji o jej osobny cel. Nie można osiągać celu każdej osobnej emocji, gdyż wprowadza to chaos, który rozbija psychikę i ją niszczy. Trzeba scalić emocje, co można nazywać przezwyciężeniem pokus, teraz nasilonych, gdyż psychiki, emocji i ciała jeszcze nie włączyliśmy w służbę ludziom i Bogu. Jeżeli zakonodawcy zalecali przebywanie w pięknych krajobrazach, to scalajmy emocje pięknem. Odwracajmy je od ich osobnych celów. Poddajmy je zniewalającej sile piękna. Odwrócimy przy okazji uwagę intelektu od naszych grzechów i poprzez piękno zainteresujemy go pięknem Boga, skąd blisko do Boga samego w sobie. Merton radzi nawet, aby w rachunkach sumienia nie rozpamiętywać grzechów, lecz wzbudzać żal z motywu piękna i świętości Boga. Żal powinien wzmagać naszą tęsknotę do Boga, a nie nasze poczucie grzeszności. Piękno osłabi też lęk, uchroni przed zazdrością o Boga, przed wywołanym zazdrością niecierpliwym i bezładnym stosowaniem umartwień, by nimi zatrzymać przy nas Boga. Dodajmy, że nie mają one siły, by to sprawić. Mechaniczne, fizyczne, nawet duchowe umartwienia nie umacniają miłości. One tylko wyrażają miłość. A Bóg reaguje na nią swoją wolnością. Nie podlega naszym mechanicznym sposobom przymuszenia Go do spotkania z nami. Nie uzyskując tego spotkania na miarę, którą sobie wyobraziliśmy, przeżywamy zawstydzenie i zamykamy się w bólu. Z zawstydzenia wyciąga nas pocieszenie, radość. Bóg czasem wtedy zsyła w naszą modlitwę pociechę, zadowolenie, radość albo stawia na naszej drodze człowieka, który uspokoi, poradzi, podtrzyma na duchu, zsyła nam spowiednika, wychowawcę, mistrza. Ból leczy się pośrednio przez budzenie myślenia, by ujęty refleksją został przeniesiony w duszę i stał się cierpieniem. Gdy przerodzi siew smutek, trzeba w tym

smutku wzmacniać aspekt cierpliwości. i oczekiwania. Trzeba więc rozmawiać z chorym na smutek, by pobudzić jego myślenie. Trzeba zlecać mu zadania, które wymagają jego inicjatywy, aktywizującej wolę. Trzeba intelekt i wolę wiązać z jego emocjami przez piękno, które scala nie tylko emocje, lecz także całą osobowość. Nie można oczyszczenia biernego przekształcać w oczyszczenie czynne ingerując w ten sposób, że oschłość, wychowującą emocje, pogłębiamy w kierunku uczynienia jej sposobem izolacji uczuć, odrywania ich od intelektu. Ta izolacja nie powoduje oziębłości, staje się tylko zagrożeniem, drogą do rozbicia psychiki, do zniszczenia jej jedności. Piękno scala naszą osobowość. Poddaje ją jednemu celowi i przyzwyczaja emocje do współpracy z intelektem, z czasem do wspólnego poszukiwania Boga.

Przed poczuciem zagrożenia utratą Boga ratujmy więc ludzi tak, jak ratuje się zrozpaczonych.

Gdy przeżywają lęk, uczmy ich życzliwego i ufnego myślenia o Bogu, wprost zaufania do Boga pokazując „zalety" Boga i wartość naszych z Nim powiązań. Uczmy zarazem akceptowania wolności Boga i właśnie zaufania tej wolności, której Bóg nie użyje przeciw nam; nie odrzuci On naszej miłości, lecz ją podejmie, gdyż pragnie naszego szczęścia i stałych z nami powiązań przez miłość.

Gdy przeżywają zawstydzenie, uczmy umiejętności zwierzania się ze swych niepokojów. Uczmy korzystania ze spowiedzi, z wyjaśnień kierownika duchowego. Uczmy też spowiedników, aby nasze przygnębiające nas wszystkie „nie" przekształcali w „tak". Uczmy korzystania z pomocy, którą jest rodzina własna lub zakonna, rozmowy z przyjaciółmi. To właśnie wyrywa z zawstydzenia i nie pozwala zamknąć się w izolującym nas bólu i smutku. Trzeba też uczyć bezinteresowności, to znaczy nie oczekiwania rewanżu za świadczoną dobroć, nie oczekiwania nawet wzajemnej miłości: będę kochał Boga nawet wtedy, gdyby Bóg mnie nie kochał. Trzeba ukształtować w sobie aż taką zgodę. Łatwo tej postawy nauczyć matki, które kochają dzieci nawet nie kochające. Trudniej nauczyć tego młodych, którzy miłość wiążą ze szczęściem, polegającym na odwzajemnionej miłości. Trzeba więc uczyć oddzielenia miłości od szczęścia ukazując miłość jako służbę.

Gdy przeżywają ból, trzeba skłaniać do pokuty, by ożywione nią myślenie i decyzje pogłębiły tęsknotę i cierpienie, które zahartują duszę. Przestaniemy wtedy bać się bólu i zaczniemy kierować się do Boga mimo bólu w tęsknocie i cierpieniu.

A gdy przeżywają smutek, trzeba z całym wysiłkiem budzić cierpliwość, oczekiwanie. Trzeba z nimi rozmawiać, rozważać prawdę o Bogu, leczyć ich pięknem treści filozofii, teologii, Ewangelii. To piękno może scalić emocje, myślenie i decyzje, co na tym etapie, jest właśnie ratunkiem: przezwyciężeniem w przeżyciach pierwszego etapu rozpaczy.

b) Wydobywanie z zagrożeń w drugim nawróceniu

Omawiając zaczynające się w pierwszym nawróceniu skutki obecności w nas Boga, przejawiające się w przeżyciach jako obojętność, oschłość, opanowanie emocji, już charakteryzujemy początki drugiego nawrócenia i biernego oczyszczenia duszy od strony wiążących się z nią w człowieku zmysłów, wzruszeń, uczuć. To bierne oczyszczenie pogłębia się. Pojawiają się znaki końcowego etapu oczyszczeń. Są one cały czas te same. Jest to wciąż obojętność, oschłość, wyciszenie emocji, ale i złagodzenie poczucia grzeszności. Już sumienie nie wyrzuca nam grzechu ciężkiego, poczucie jednak oddalenia się od nas Boga wciąż jest dotkliwe. Nie osłabia ono tęsknoty. Niszczy ją w zwykłej rozpaczy. Teraz to oddalenie wzmaga i pogłębia cierpienie, normalny stan w biernym oczyszczeniu duszy, który w końcowych etapach jest oczyszczeniem intelektu i woli.

Tęsknota i cierpienie to główne znaki biernego oczyszczenia, przeżywanego podobnie jak rozpacz. Nie jest to jednak rozpacz, gdyż w rozpaczy, jako procesie zagłady życia osobowego człowieka, nie ma tęsknoty i cierpienia. Są one tylko w biernym oczyszczeniu duszy, gdy dotyczą Boga, i są w przezwyciężaniu utraty celów życia, w zgodzie na los niekochanych, gdy dotyczą człowieka.

Zmiana celów życia, przeżywana jako utrata tych celów, dominuje w drugim nawróceniu. Jest ona obojętnością na wszystko, co nie jest Bogiem. Jest wynikiem tego przystosowania do Boga, które wymaga przebudowy osobowości. W oczyszczeniu biernym stanowi rozwój wewnętrzny człowieka. W procesie rozpaczy jako zagłady życia, gdy nie uratuje nas nadzieja, stanowi przejście do wygasania motywów

samoobrony. W rozpaczy jest tragedią. W oczyszczeniu biernym jest drogą do szczęścia. Jest bowiem wreszcie utrwaleniem w wyborze Boga.

Spowiednik lub kierownik duchowy muszą dokładnie ustalić, czy ktoś zwierzający im swoje wewnętrzne życie doznaje rozpaczy, czy biernego oczyszczenia. Powtórzmy, że w oczyszczeniu, biernym zawsze dominuje tęsknota do Boga i lęk, że Bóg od nas odszedł. I wciąż ta tęsknota i ten lęk każą nam mówić o Bogu. W rozpaczy nie ma tęsknoty. Jest ból i smutek oraz niechęć do mówienia o utraconej osobie.

W oczyszczeniu biernym zmiana celów życia jest wyrzeczeniem dla wybronienia i uwyraźnienia jednego celu, którym jest kontakt z Bogiem. Nie wygasają zainteresowania tymi innymi celami. Te cele stają się tylko czymś drugorzędnym, zespołem sposobów osiągania Boga, stosowanym i uprawianym z troską poczuciu spełnienia obowiązków dla chwały Boga.

W rozpaczy utrata celu życia jest wygasaniem zainteresowań. Ponieważ już nic nas nie cieszy, nie raduje, to nie podejmujemy żadnego wysiłku, żadnej pracy. Przechodzimy na pozycje lenistwa. Nie jest to jednak lenistwo, gdyż lenistwo poznajemy po niedokładności i zaniedbywaniu wykonywanej pracy mimo ambicji, by mieć dobre wyniki. Lenistwu towarzyszy ta ambicja. W rozpaczy nie mobilizuje nas ambicja, potrzeba spełnienia obowiązku, uzyskania dobrych wyników. Jest cisza, odejście, izolacja, ucieczka od pracy, od poznawania, od decyzji, od wzruszeń. Nie przejmuje nas, nie porusza czyjaś bieda, choroby, głód, uwięzienie, bezdomność. Nie zaradzamy biedzie, chorobie, nie podajemy chleba, nie bronimy ludzi.

W oczyszczeniu biernym reagujemy na biedę ludzi, ich chorobę, głód, uwięzienie, bezdomność, samotność. I tylko martwimy się, że reagujemy za słabo, bez pasji, bez przejęcia, że naprawdę pociąga nas tylko temat Boga, czytanie Ewangelii, ciągłe myślenie o Bogu, modlitwa mimo braku pociech, nastroju, pełna roztargnień i niepokoju, że jest niedoskonała, nie na miarę czci i świętości Boga.

Tę modlitwę właśnie Bóg przekształca, pogłębia, czyni sposobem wyrażania aktualnego stopnia miłości. Teraz jesteśmy w stanie tylko trwać przed Bogiem, przed Hostią, bez słów, bez myślenia, być razem. Uważamy to za brak modlitwy. Nie zawsze spowiednik akceptuje ten sposób modlenia się. Nie wie dokładnie, czy są to przejawy rozwoju duchowego, czy lenistwo. Nakazuje używanie słów, rozmyślania, aktów

strzelistych. Nam nie kojarzą się słowa, myśli, nawet nie możemy skierować do Boga żywszej emocji, gdyż trwa w nas wewnętrzne spotkanie żywe i głębokie, przekraczające słowa, myśli i treść aktu strzelistego. Spowiednik po prostu nie wierzy, że w kimś pogłębia się życie religijne. Jest zresztą przyzwyczajony do traktowania penitentów na poziomie katechumenatu i grzeszności. Pozostajemy więc sam na sam z Bogiem w swej niepewności i tęsknocie.

Nie ufamy sposobom naszej modlitwy. Nie wystarcza nam nadzieja, gdyż pragniemy miłości, którą przywykliśmy mierzyć pasją, nastrojem, pociechą, radością. Nie ma pasji, nastroju, pociechy, radości. Jest tęsknota i bolesne cierpienie poczucia nieobecności Boga. Nie umiemy jeszcze oczekiwać, cierpliwie czekać. Ufamy bardziej niecierpliwości, której nie umiemy poddać umiarkowaniu i łagodności. Trudno nam zaakceptować swój stan z całą pokorą, w całej jego prawdzie. Pozwalamy emocjom sięgać po ich bezpośrednie cele i czynimy z tych działań sposób przyspieszania dochodzenia do Boga. Nie wiemy, że wolność Boga rozstrzyga o spotkaniu. Jeszcze sami swymi działaniami przynaglamy Boga, gdyż nie mamy wprawy w znoszeniu tęsknoty i cierpienia. Zarazem martwimy się, że jesteśmy niecierpliwi, nieumiarkowani, niewierni, a tym samym za mało czyści. Chcemy ten stan poprawić. Wprowadzamy ascetyczny rygor i niekiedy krzywdzimy ludzi odmawiając im swej obecności, swego zainteresowania, potrzebnej im troski i czułości. Jeszcze bowiem nie umiemy z tych zachowań czynić sposobu wyrażania miłości ludziom i Bogu, boimy się, że czynimy je celem, który oddala od Boga.

To umęczenie wprowadza nas w niebezpieczeństwo zaniechania działań, wycofania się z walki o wytęsknioną miłość Boga. Wspiera nas jednak dar męstwa, dar rady i dar rozumu, które zarazem wyzwalają w przeżyciach swoje odwrotności.

Męstwo to wytrwałość w trudach, tęsknocie, cierpieniu, w wierności prawdzie, dobru i Bogu. Często jednak mylimy męstwo z odwagą. Decydujemy się na działania odważne szybko realizowane, nie przemyślane, nie sprawdzone w tym, czy są skuteczne. Odwaga jest odwrotnością tchórzostwa, a nie znakiem męstwa. Męstwo jest związane z cierpliwością, sprawiedliwością, pokutą i wspomagane darem męstwa właśnie opanowuje emocje gwałtowne, chroni przed nie przemyślanym działaniem. Potrzebna nam jest teraz dobra wiedza, umiejętność trafnych identyfikacji, wprost

metafizyka bytu i teologia podstawowych prawd wiary. Dostarczają one pewności, gdy nikt nas nie wspomaga radą, gdy nie wiemy, jak chronić swą potrzebę Boga. To zdezorientowanie pogłębia w nas poczucie zagrożenia, które wyzwala niecierpliwość, bezradność, wprost niemoc, podczas gdy powinna w nas pogłębiać się pokuta i cierpliwość mimo nasilającego się głodu Boga. Głód zagraża życiu. Czasem Bóg ratuje to życie wspomagając ludzi doznaniem widzeń Boga lub doświadczeniem mistycznym, aby stały się one w tym zagubieniu i zdezorientowaniu oparciem dla pewności, że jest, że otacza nas opieką. Ratują nas wspomagając naszą naturalną pewność, zwykłe doznania i myślenie, chroniące decyzję i emocje przed zachowaniami niszczącymi życie religijne. A powinniśmy umieć kierować się wiarą.

Roztropność, wspomagana darem rady, mobilizuje intelekt do pracy, do nabywania wiedzy o Bogu, o człowieku, o jego powiązaniach z Bogiem i z ludźmi, do wiedzy o humanizmie i o życiu religijnym. Tej wiedzy właśnie nam brakuje, skoro poddajemy się temu, co nam zagraża. Wiedza nie powoduje rozwoju religijnego, pomaga jednak w rozpoznaniu i wyborze środków, które kierują do celu ostatecznego i do zbawienia. Często, umiejąc korzystać z wiedzy filozoficznej i teologicznej, popełniamy błąd utożsamienia tej wiedzy z życiem religijnym. Na tym etapie, pod koniec biernych oczyszczeń, wprowadzających na drogę zjednoczenia, zagraża nam ta subtelna pomyłka, tak zresztą zrozumiała, Ceniąc rozważanie, jako modlitwę myślną, tak do tego przywykamy, że w ogóle rozwijające się myślenie teologiczne, pełniejsze rozumienie Objawienia, uznajemy za rozwój naszych kontaktów z Bogiem. Tymczasem te kontakty to miłość, wiara i nadzieja, żywe więzi z Bogiem, gdy kochamy, wierzymy i oczekujemy tego, co Bóg w nas wnosi przez dary Ducha Świętego. Te kontakty są tym, co Bóg w nas utworzy, nie zaś tym, co my wypracujemy, wymyślimy i zdecydujemy. Pomylenie życia umysłowego z życiem religijnym to niszczenie skutku biernych oczyszczeń, znowu powrót do oczyszczenia czynnego, ujęcie Boga w nasz projekt i dostosowywanie siebie do tego projektu. Jeszcze więc pod koniec drogi biernego oczyszczenia grozi nam jej zniszczenie tym niedopatrzeniem, które jest właśnie uznaniem życia umysłowego za życie religijne. To życie umysłowe funkcjonuje teraz tak jak ignorancja, która jest typowym przejawem rozpaczy na jej etapie utraty celu życia. Znów jest nam potrzebny mistrz, nauczyciel, kierownik duchowy, ten, który umie

dobrze identyfikować, nie pomylić rzeczywistości z myśleniem o niej. Potrzebna nam jest wiara jako trwanie przez prawdę wobec rzeczywistości Boga.

Wiarę wspomaga dar rozumu. Dzięki niemu lepiej i trafniej rozumiemy Boga. Umiemy nie pomylić Go z naszym ujęciem, z ideą, modelem. Ale na etapie biernych oczyszczeń jeszcze ingerujemy w działanie Boga nie akceptując ich, nie nawiązując do nich naszą działalnością. Jeszcze nie nastąpiło pełne uzgodnienie woli Boga z naszą wolą. Jeszcze zagrażają nam ślady grzechów głównych, a najbardziej pycha, ta niewierność prawdzie i umiejętności pominięcia siebie. Wciąż my, ja. Wciąż chcemy mieć własne zdanie na temat kontaktów z Bogiem. A powinien je mieć Bóg, gdyż On tworzy nasze z Nim powiązania. On jest autorem i przyczyną swej w nas obecności. Boga się nie zdobywa, lecz przyjmuje jak każdy dar. Bóg wiąże się z nami w pozycjach daru swej obecności i Osoby. Dar wymaga wolności i miłości. Życie religijne jest z tego względu miłością stanowiącą sposób obecności w nas Boga.

Przed utratą celu życia, którym jest Bóg, ratujemy ludzi wywołując także zgodę na samotność miłości. Dopuszczamy agonię potrzeby szczęścia, daru wzajemności, uznania wyników naszej pracy, naszego czynnego oczyszczenia. Uczymy tym samym uwalniania się od próżności i pychy, a powoli miłowania prawdy i dobra. To miłowanie wprowadzi radość pełną jeszcze cierpienia, lecz i tęsknoty, która wyzwala zwierzenie, pracę, modlitwę i tym samym wyrażanie miłości, zawsze zbliżającej do Boga.

c) Wydobywanie z zagrożeń w trzecim nawróceniu

Już jednoczymy się z Bogiem, już trwa miłość. Nie ma jednak bezpośredniego spotkania, widzenia Boga „twarzą w twarz", doznawania Jego obecności. Jest tylko tęsknota. Jest nieobecność Boga w psychice, emocjach, w intelekcie, woli, gdyż Bóg przebywa nie w tych władzach, lecz w istocie naszej duszy. Trwa także w nas wiara i nadzieja, sposoby kontaktu z Bogiem, dostępne na ziemi, wspaniałe, lecz oddzielające.

Zjednoczenie z Bogiem musi więc mieć jeszcze postać modlitwy oschłej i bolesnej. Odsunęliśmy siebie, bliżej nas jest Bóg niż my. Spełniamy jeden cel. Inne cele są na drugim miejscu. Nie pocieszają, nie radują. Bóg obdarowuje nas swą Osobą, nie pociechami i radością. Wiemy to, lecz psychika jest głodna i Boga, i pociech, i radości. Znów więc dokucza nam poczucie niespełnienia, odrzucenia i dokucza nam tęsknota.

Trwamy przy Bogu i całą wierność wyraża nasza modlitwa, stała, nieustanna, jako dostępna teraz postać współobecności: Męczą nas też pokusy, lecz już wiemy, że są dziecinną propozycją, naiwną. Umiemy im nie ulec. Pomaga nam w tym wierność, fascynująca miłość. Intelekt skłania jednak do wybrania swych propozycji, wola ma ochotę ujawnić się w swych wyborach, emocje pragną swych bezpośrednich celów.

Już jednak nic złego się nie stanie. Już miłość łączy nas z Bogiem. Pokusy są tylko pokusami. Są nawet sposobami starcia z nas śladu grzechów głównych.

Te ślady to skłonności, wsparte na tym, co nas stanowi: na jedności duszy i ciała, lecz ukierunkowujące nas ku nam. Tymczasem rozwój wewnętrzny człowieka na poziomie humanizmu i życia religijnego to skierowanie ku innym osobom, ku ludziom i Bogu, spełniane w powiązaniach przez miłość, wiarę i nadzieję, pogłębiane darami Ducha Świętego. Pełne zjednoczenie wymaga oczyszczenia także ż tych skłonności. Pokusy przypominają nam te skłonności i dzięki temu podejmujemy trud ich usunięcia.

Nie jest to likwidacja wszystkiego, co nasze. Jest to nabycie prawidłowych odniesień do ludzi i Boga, wreszcie znalezienie się w pełnej wolności, w dobrych rozpoznaniach i wyborach, trwanie w miłości, podtrzymywane darami Ducha Świętego i zarazem naszym myśleniem, decyzjami i siłą emocji, włączonych w troskę o miłość.

Dobre rozumienia i słuszne decyzje, rozjaśnianie myślenia światłem Bożym i wypełnienie woli miłością to już postać modlitwy ekstatycznej, właśnie otwierającej nas na ludzi i Boga, uwalniającej od ograniczającego nas skierowania się ku sobie i do celów drugorzędnych. Jesteśmy skierowani ku Bogu. Rozumiemy Wcielenie, Mękę i Odkupienie Chrystusa. Modlimy się. I tylko boli nas w dalszym ciągu oddzielenie od Boga wiarą i nadzieją, poczucie samotności.

To oddzielenie, sprawiające mękę, cierpienie, bolesną tęsknotę, jest tak wielkie, że przypomina umieranie. Myślę, że na tym etapie modlitwy można właśnie umrzeć z tęsknoty. Święci wciąż wtedy wyrażali Bogu zgodę na trwanie w tej męce. Pomogło im to uspokoić przeżycia.

Zagrożeniem życia religijnego jest w tym wypadku ewentualność śmierci, przerwanie rozwoju życia religijnego, które powinno osiągnąć stan modlitwy zjednoczenia przemieniającego, pełną jedność z Bogiem w miłości. Ten bowiem stan Bóg chce utrwalić na zawsze w zbawieniu. Wspomaga nas i chroni dar mądrości, który

oczyszcza i doskonali miłość. Chroni nas miłość, wywołująca postawę czci i służby, wspomagająca zgodę na przyjęcie wszystkiego, co Bóg zdecyduje, gdy dana nam jest także jedność naszej woli z wolą Boga, najpełniejsza postać pokory.

W okresie biernego oczyszczenia duszy, a głównie zjednoczenia z Bogiem, nie przeżywamy tego, co dzieje się w trzecim etapie rozpaczy. Przeżywamy jednak modlitwę oschłego i bolesnego zjednoczenia. Aby ją przetrwać święci stosowali surowe umartwienia, ciężką pokutę. Zadawano im ból kwestionując ich przywiązanie do Boga, szczerość i prawdziwość ich życia religijnego. Zgadzali się na ten ból, leczyli się tym bólem, umacniali, gdyż już nic, nawet ból, nie mogły oddzielić ich od Boga. Chodziło o zobiektywizowanie przeżyć, a nie powiązań z Bogiem. Te przeżycia atakowali rozważaniem brzydoty grzechu, grozy piekła, by mieć siłę, wspartą emocjami, zaufania miłosierdziu Boga. Trzeba im pomagać przez obdarowywanie ich zaufaniem, które przecież jest odwrotnością zagrożenia.

A potem, zresztą zawsze, trzeba wzmacniać duchowe i fizyczne siły do przetrwania tęsknoty. Te siły to motywy życia, wśród których główny jest pokorną i cierpliwą zgodą na kierujące nami życzenia Boga.

Kończąc rozważania o biernym oczyszczeniu duszy dopowiedzmy, że ciemna noc miłości dzieje się w człowieku między modlitwą nabytego skupienia a modlitwą prostego zjednoczenia. Samą ciemną noc wyrażają dwie odmiany modlitwy: modlitwa kontemplacji wlanej czynnej i modlitwa kontemplacji wlanej biernej doskonalącej wolę. Te odmiany modlitwy przejawiają zupełnie zrozumiały proces psychiczny, który polega na tym, że już szukamy Boga na mocy Jego inicjatywy i wezwania, że już pełniej akceptujemy życzenia Boże, lecz jeszcze nie wszystkie umiemy rozpoznać. W modlitwie kontemplacji wlanej czynnej Bóg właśnie powoduje, że Go szukamy. W modlitwie kontemplacji wlanej biernej nasze życzenia stają się zgodne z życzeniami Boga. Brakuje nam tylko pełnego poznania tych życzeń. Poznajemy je i rozumiemy w modlitwie prostego zjednoczenia. Zanim to rozumienie nastąpi, bronimy jeszcze własnej propozycji życia religijnego, kierujemy się swoim pojmowaniem odniesień do Boga. Bóg musi je pogłębić lub zmienić. Ten trud przyjmowania tego, co Bóg w nas zmienia, trud przyjęcia za swoje życzeń Bożych i zrozumienia prawd wiary, przeżywamy właśnie jako ciemną noc miłości.

Ciemna noc miłości dzieje się właśnie w naszych przeżyciach, w obrębie psychiki, która jest sumą działań duszy i ciała, działań kształtowanych przez kulturę w ich celach i sposobach uzyskiwania celów. Wpływ kultury często powoduje, że przeciwstawiamy się wpływowi Boga. Często bowiem nie rozumiemy udzielanych nam przez Boga sposobów trwania z Nim w religijnym kontakcie. Bywamy wierniejsi swojemu projektowi życia religijnego niż propozycji Boga. Usuwana w oczyszczeniu biernym nasza propozycja więzi z Bogiem każe nam przypuszczać, że nasze życie religijne załamuje się i ginie. Tymczasem Bóg je tylko przemienia tak, by było faktyczną więzią człowieka z Bogiem. Nie wiedząc tego wszystkiego i nie umiejąc rozpoznać działań Boga, przeżywamy lęk i kryzys. Gdy martwimy się tym wszystkim, dzieje się w nas ciemna noc miłości.

Dodajmy, że modlitwa we wszystkich jej odmianach jest sposobem przejawiania się intensywności naszej miłości do Boga i jest zarazem prośbą o trwanie tej miłości. Jest także prośbą o przetrwanie ciemnej nocy miłości.

UWAGI O HEROIZMIE

(Zakończenie)

Aby przetrwać tęsknotę i cierpienie, nie poddać się rozpaczy i zbudować w sobie nadzieję, żyć kontemplacją i zarazem działaniem, pełnią życia intelektualnego i pełnią aktywności, które są służbą ludziom, pogłębić życie religijne w ciemnej nocy duszy i miłości oraz poddać się skutkom biernego oczyszczenia, potrzeba nie tyle siły psychicznej, ile raczej pominięcia siebie w wiernym trwaniu po stronie ludzi i Boga, po stronie prawdy i dobra, w konsekwentnym humanizmie i w stałej metanoi, po prostu potrzeba heroizmu.

Heroizm jest dosłownie wiernością prawdzie i dobru, ludziom i Bogu. Gdy tę wierność ćwiczymy w ciągłej metanoi, która jest oczyszczeniem czynnym i gdy udoskonali ją Bóg w oczyszczeniu biernym, heroizm staje się czymś zwyczajnym: pracą naszą i pracą Boga dla dobra ludzi i chwały Bożej. Jest więc heroizm dosłownie służbą. Tę służbę pełnimy wtedy, gdy pominiemy siebie, swoje ambicje i cele inne niż prawda i dobro. Gdy po udoskonaleniu w oczyszczeniu czynnym i biernym umiemy rozpoznawać prawdę i trafnie wybierać dobro, także trwać przy nich wiernie i z miłością, heroizm nie jest trudny. Jest naszym codziennym zachowaniem. Jest łatwy i nawet nie wiemy, że to jest heroizm.

Ujęty w prostszych, zwyczajnych słowach, heroizm jest kierowaniem się w życiu rozsądkiem i dobrocią, rozumieniem prawdy i wyborem dobra, lecz konsekwentnie, wiernie, zawsze. Gdy pominiemy siebie, gdy niczego dla siebie nie oczekujemy służąc ludziom i Bogu miłością, wiarą i nadzieją, ta wierność prawdzie i dobru nie sprawia kłopotu.

Ich obrona wymaga niekiedy tylko dłuższej pracy, gdyż opór ludzi i nasz opór, sprzeciwy i zarzuty, przeciwdziałania z pozycji błędu i zła, są zwykłą drogą pod wiatr, czasem w deszczu i burzy, wśród grzmotów i błyskawic. Któż z nas jednak gniewa się na wiatr i burzę, kto atakuje je i zwalcza? Trzeba je przeczekać, trzeba cierpliwie przeczekać ciemną noc duszy i miłości trwając wiernie przy prawdzie i dobru z miłością, wiarą i nadzieją. Burza mija, wiatr ustaje. Zawsze wygrywa rozsądek, umiar, dobroć. Zawsze wartością jest rozumność oraz służba ludziom i Bogu.

Wprost nie ma ucieczki od heroizmu, gdyż nie można uciec od prawdy i dobra, od miłości, wiary i nadziei, od ludzi i Boga. Przebywanie w błędzie i złu niszczy człowieka, a przede wszystkim nudzi. Tam nie można żyć, tam się umiera. Człowiek wraca więc do prawdy i dobra, często nie na stałe, lecz wraca. Wraca wtedy do heroizmu, do trwania w powiązaniach z ludźmi i z Bogiem przez miłość, wiarę, nadzieję, wspomagane naszymi, rozumieniami i decyzją, łaską i darami Ducha Świętego.

Jedyną przeszkodą w osiągnięciu heroizmu jest miłość siebie, zawsze nierozsądna. Jest to jedyna miłość, której nie warto realizować. Gdy jej nie podejmujemy, staje się nam dostępny heroizm jako właśnie wierność prawdzie i dobru, ludziom i Bogu. Ta wierność nas strzeże, wychowuje i doskonali, sytuuje w pokorze, w jedności z wolą Bożą i wyzwala zgodę nawet na ciemną noc miłości.

* * *

Dodajmy tu, że w naszym życiu religijnym, które jest łączącą nas z Bogiem miłością, wiarą i nadzieją, dominuje miłość. Troszcząc się o pogłębienie życia religijnego przez przetrwanie ciemnej nocy miłości, zabiegamy głównie o utrwalenie i pogłębienie miłości. Wyraża ją modlitwa i tą modlitwą miłość chronimy. Także Bóg wnosi w naszą miłość przez siebie stworzoną dla nas miłość wlaną. Chroni ją ponadto i rozwija darami Ducha Świętego, głównie darem mądrości.

Już jednak dzięki naszym staraniom miłość uzyskuje swe różne poziomy i odmiany.

Jest najpierw miłość naturalną i podstawową relacją życzliwości, gdy dwie osoby odnoszą się do siebie swą istnienie swą własnością realności. Gdy ta miłość łączy osoby ludzkie, spełnia się humanizm. Gdy łączy osoby ludzkie z Bogiem, jesteśmy w religii.

Ta miłość, gdy czerpie swą moc i trwanie z samego istnienia osób, jest na tym poziomie tylko zgodnością natur (*connaturalitas*). Gdy poszerza ją pragnienie kontaktu z osobami dla naszego dobra z motywu ich piękna, jest pożądaniem (*concupiscentia*) cielesnym lub duchowym. Gdy jest naszym skierowaniem się do osób dla ich dobra,

staje się miłością osobową (*dilectio*): służeniem osobie w poczuciu czci. To służenie z czcią, poszerzone o branie udziału w cierpieniu osób lub ich radości, czyni miłość osobową bezinteresowną troską o innych (*caritas*). Gdy miłość jest trwała i wierna, stanowi przyjaźń (*amicitia*). Gdy towarzyszy jej tęsknota do wybranej osoby, staje się miłością połączoną z cierpieniem (*amor*).

Miłość w postaci *amor*, jako więc miłość powiązana z cierpieniem tęsknoty, jest także naszym normalnym odniesieniem do Boga.

Nasza naturalna miłość może być z kolei wypełniona miłością wlaną. Jest wtedy odniesieniem naszej osoby ido Boga. Gdy dzięki darom Ducha Świętego dostrzeżemy piękno naszych kontaktów z Bogiem i ogarniemy miłością Chrystusa — Boga-Człowieka, staje się ta miłość poszukiwaniem dobra dla nas. Gdy skierujemy się do Boga w poczuciu czci i służby, gdy uczynimy życzenia Boga swoimi życzeniami, nasza miłość stanie się pełnym wyborem Boga, wiernym i trwałym. Zawsze jednak będzie jej towarzyszyło cierpienie tęsknoty do oglądania Boga „twarzą w twarz".

Przetrwanie cierpienia tęsknoty jest przetrwaniem ciemnej nocy miłości.